



MAREK NOWAK

# KLINIKA PSYCHIATRYCZNA



MAREK NOWAK

**KLINIKA  
PSYCHIATRYCZNA**

Krajowa Agencja Wydawnicza Katowice 1987

Projekt okładki i strony tytułowej Ernest Marek

Redakcja Barbara Korzon

Redakcja techniczna Iwona Szoska

Korekta Mariola Gęstwa

© Copyright by Marek Nowak, Katowice 1987

ISBN 83-03-01891-4

Krajowa Agencja Wydawnicza

Katowice 1987

Wydanie I, nakład 39.690+350 eg\*

Ark. wyd. 12,10, ark. druk. 12,30

Papier offset III/80g/B

Oddano do składania w październiku 1988

Podpisano do druku w marcu 1987

Druk ukończono w sierpniu 1981

Skład, druk, oprawa Drukarnia TRANSREMO  
w Międzychodzie

## KLINIKA PSYCHIATRYCZNA

Kim, my ludzie, właściwie jesteśmy? Fenomenem w skali Kosmosu? Jedną, z wielu cywilizacji? Nie istniejącym w rzeczywistości mirażem i snem kosmicznej praistoty? Jaki jest sens naszego bytowania? Już człowiek pierwotny łamał sobie wielką, niekształtną głowę nad odpowiedzią na te pytania — i nic nie wymyślił. Nie, wcale nie dlatego, że był głupszy od nas, ludzi cywilizowanych z końca XX wieku. Bo czy my wiemy coś więcej na ten temat? Czy w porównaniu z epoką jaskiniowców zbliżyliśmy się choć o krok do granicy poznania własnej tożsamości w Kosmosie? Być może prawda — prawda o nas — w ogóle nie istnieje jako kategoria obiektywna, potencjalnie możliwa do objęcia ludzkim rozumem. Nie na wiele zda się też pomoc komputera — choćby najnowszej generacji. To wcale nieprawda, że komputer wie wszystko, nie wiercie w takie brednie, jest to urządzenie proste, szczerze i gdzież mu tam do rozwikływania naszych ludzkich zawłości.... Zapytany o sens naszego życia, odpowie: — Jeść, pić, spać, reprodukować i uśmiechać się od ucha do ucha...

Ale nas, ludzi, istot wspaniałych, obdarzonych umysłem delikatnym i subtelnym, taka odpowiedź oczywiście nie zadowoli. Wiemy przecież choćby podświadomie, że sens naszego istnienia jest głębszy, inny i nie może ograniczać się — przynigdy! —

do samej fizjologii. O, nieładnie, panie komputerze... Jak pan mógł nas, swoich twórców, ustawić w jednym rzędzie z krową, muchą i euglena zieloną? Czyste bluźnierstwo, mikroprocesorowe rozpasanie! Co więc robić? Ano na razie jeść, pić, spać, reprodukować i uśmiechać się od ucha do ucha... Paradoks? A innych paradoksów nie znacie? Nie uczyliście się o nich w szkole? Trzeba było czytać uważnie te wszystkie teorie, co zakładają jedno i udowadniają drugie, czym przeczą pierwszemu; na tym właśnie polega porządek rzeczy — czyli paradoks.

Żal mi szczerze całych pokoleń samorodnych i edukowanych filozofów, którzy trawili noce na jałowych poszukiwaniach uzasadnienia ludzkiej egzystencji. Mogę sobie pozwolić na luksus współczucia i pewną wyższość... ponieważ ja znam prawdę! A tak!! I powiem wam, jak to jest z nami, ludźmi, niczego w bawełnę owijał nie będę. Sami się przekonacie, że w gruncie rzeczy sprawa jest prosta jak drut — albo nawet jak promień laserowy. To, co powiem, ani wam, ani mnie splendoru nie doda — na pewno nie poczujecie się pępkiem Wszechświata — jak niektórzy... Ale w końcu lepsza jest najgorsza pewność niż brak tej pewności — co z kolei stwarza szerokie pole do popisu dla rozmaitych spekulantów intelektualnych. Mam również świadomość, że nie poczujecie do mnie sympatii, kiedy wygarnę wreszcie to, co wiem... Ale nie jest moim zamiarem zostać czyimkolwiek ulubieńcem — bo i po co? Z czystym sumieniem dobiore się teraz do waszych umysłów. Do

tych niezgłębionych pokładów samozadowolenia, obłudy podlanej przesądem i stereotypem homocentryzmu, bólu istnienia i zwątpienia... Chcecie wiedzieć, kim MY, ludzie właściwie jesteście? No to posłuchajcie, a ironię i niedowierzające uśmiechy zostawcie na potem... Zrzednie wam mina, oj zrzednie, bo to wcale nie będzie opowieść do śmiechu.

Każde dziecko podświadomie zna teorie Freuda, ale oczywiście nie potrafi tego należycie spożytkować ze zrozumiałych biologicznie względów. Później życie porywa człowieka i gna przed sobą jak wiatr papierek po cukierku. Nie ma wtedy już ani czasu, ani możliwości, by zastanawiać się nad samym sobą i wspierać się przy tym dziełami starego Austriaka. Inaczej było w moim wypadku. Już od najmłodszych lat wykazywałem typowe cechy introwertyka: zamiast bawić się z innymi dziećmi, zamykałem się w sobie i całymi godzinami kontemplowałem własną jaźń — wtedy jeszcze na dziecienny, naiwny sposób. Moje zachowanie tak dalece niepokoiło rodziców, że kilkakrotnie korzystali z porad psychologów, którzy jednak zmian patologicznych w mojej osobowości nie stwierdzili. Szczery śmiech ogarnia mnie teraz, gdy przypomnę sobie wizyty u pań i panów w białych kitlach, patrzących na mnie z dobrotliwym uśmiechem Alberta Schweitzera lub innego dobrego człowieka... A w gruncie rzeczy patrzyli na mnie jak na pomarańczową żabę o siedmiu łapach! Zadawali mnóstwo głupich pytań, na które odpowiadałem byle jak, co tylko ślina przynieść mogła na język małego chłopca. Bałem się tylko, że niespodziewanie wyrwą

mi zęba albo zrobi jakiś paskudny zastrzyk, dlatego przy rozwiązywaniu testów zachowywałem wzmożona czujność, tak jak robi to zając śpiący pod krzakiem, zdolny do natychmiastowej ucieczki, gdy tylko poczuje zagrożenie. Na moje mrukowate usposobienie zdaniem psychologów rada była jedna — biegać, pływać, grać w piłkę, układać domki z klocków, ale takie, żeby szybko można je było zburzyć, no i jak najwięcej kontaktów z rówieśnikami... Tak postępując miałem rzekomo szanse, by wyrosnąć na normalnego człowieka, takiego, który niczym nie odbija od otaczającego go tła ludzkiego. Nie skorzystałem z tej szansy. Oczywiście biegałem, pływałem, grałem w piłkę, ale tylko po to, żeby zmylić czujność rodziców, dziadków, a później grona pedagogicznego w szkole. I udało się... Co ciekawsze, szkoła stała się wręcz idealnym parawanem dla mojej ontologicznej zadumy i egzystencjalnego zaciętrzewienia. Z własnymi spostrzeżeniami na temat świata i ludzi nie wyrywałem się ani na lekcjach polskiego, ani biologii. Siedziałem cicho i rozmyślałem. Nikt zresztą nie pytał mnie o zdanie na jakikolwiek temat. Wielką korzyść odniosłem z umiejętności czytania i pisania — a tak! Nauczyłem się tego w szkole.

— Co czytasz, synku?

— Właśnie, proszę mamy, czytam o czerwonym kapturku... o brzydkich krasnoludkach.

Kłamałem jak z nut, ale tylko w ten sposób mogłem ukryć moją rzeczywistą lekturę. Na wierzchu trzymałem czerwone kapturki, a pod spodem „Teorię psychoanalizy” Freuda! Doskonały przewodnik po meandrach własnej osobowości! Tak

przynajmniej wtedy mi się wydawało. Nie muszę chyba mówić, jak ogromne kłopoty miałem ze zdobyciem tych książek w moim wieku, ale odrobina kłamstwa w połączeniu z pewnymi zdolnościami aktorskimi zawsze okazywały się skuteczne w odniesieniu do pani bibliotekarki...

Z czasem jednak doszedłem do wniosku, że to, co czytam, jest wprawdzie ciekawe, ale jakby monotonne — jednokierunkowe, pozbawione różnorodnych punktów widzenia. Potrzebowałem czegoś niezwykłego, działającego na wyobraźnię, co nie da się sklasyfikować i opisać nudnym językiem liczb i faktów z żelazną logiką połączonych związkami przyczynowymi.

Pewnego dnia zupełnie przypadkowo natrafiłem na książkę profesora Ochorowicza traktującą o zjawiskach paranormalnych i to było właśnie to, czego szukałem! Czuję, że znalazłem nowy żywioł — telepatię, telekinezę, lewitację, hipnozę... To było coś! Po Ochorowiczu poznałem jeszcze wielu innych autorów. W moich oczach ten z nich zyskiwał większe znaczenie, który parapsychologię traktował mniej naukowo, za to wkładał więcej wiary w to, co pisał. Autorów, którzy negowali obiektywne istnienie zjawisk parapsychologicznych, uważałem niemal za bluźnierców. Postanowiłem wreszcie, że samodzielnie zajmę się eksperymentowaniem. Przyznać muszę, że szło mi nie najlepiej, a prawdę mówiąc, wcale mi nie szło. Siłą woli nie przeniosłem z miejsca na miejsce ani jednego krzesła, nie potrafiłem wygiąć łyżki — nawet aluminiowej — nie odgadłem wyników totolotka ani tego, co się zdarzy w najbliższej przyszłości... Niepowodzenia te jednak w najmniejszym



stopniu nie wpłynęły na moja. wiarę w istnienie fenomenalnych zjawisk. Tłumaczyłem sobie, że nie jestem jeszcze należyście pod względem teoretycznym przygotowany do prowadzenia doświadczeń, że brak mi dostatecznej koncentracji psychicznej. Może było tak rzeczywiście.

Lata szybko mijały, zdarzało się, że sprawy drobne i nieistotne zupełnie przesłaniały mi horyzont myślowy. Kiedy jednak mijały te gorsze dni, ze zdwojone. pasją przystępowałem do pielęgnowania własnych zainteresowań. W tym czasie zapanowała zresztą moda na parapsychologię, radiestezję i inne zjawiska, które się filozofom nie śniły. Ja mogłem już wtedy uważać się za eksperta w tych dziedzinach — w dalszym ciągu jednak bez praktycznego potwierdzenia wiedzy teoretycznej. Zawsze wydawało mi się, że drzemią we mnie potężne siły parapsychiczne, które tylko czekają na odpowiednie okoliczności, by się wyzwolić. Myślałem, że pod tym względem dorównuję Ossowieckiemu czy Ochorowiczowi, nigdy natomiast nie przypuszczałem, że najlepiej nadaję się do roli bezwolnego medium, podatnego na wszelkie sugestie — taka była prawda, niestety. Usiłując hipnotyzować kogoś, zazwyczaj bardzo szybko wpadałem w stan autohipnozy ku rozbawieniu osoby, która miała być medium. Wcale mi ta rola nie odpowiadała, ale trudno.

Pewnie się zastanawiacie, jaki jest związek między poszukiwaniem sensu ludzkiej egzystencji a moimi paranormalnymi zainteresowaniami? Cierpliwości, tu właśnie tkwi tajemnica,

którą dane mi było poznać jeszcze jako organizmowi żywemu. Oczywiście mógłbym teraz powiedzieć, że to wasze ziemskie sprawy — i bawcie się sami w rozwiązywanie zagadek... Ale skoro już powiedziałem „a”, to z czystej uczciwości, z szacunku dla samego siebie wyjawię wam całą prawdę.

Swego czasu dużym powodzeniem cieszyła się książka „życie po życiu”, dość klarowna w założeniu i treści, niczego jednak nie wyjaśniająca, nie licząc egzaltowanych wypowiedzi kilku osób, które przeżyły śmierć kliniczną, a którym pozostała niezachwiana pewność... No trudno, gdyby te osoby zawędrowały troszkę dalej, zapewne poznałyby prawdę najprawdziwszą, tylko że i tak nie mogłyby zdać relacji nam, żywym. Półprawda albo prawda egzaltowana warta jest mniej niż przysłowiowy funt kłaków — o czym przekonacie się niebawem. Dużo ciekawsza wydała mi się książka „życie przed życiem”, traktująca o doznaniach embrionu i płodu przed narodzeniem, zakodowanych w najgłębszych warstwach podświadomości dorosłego osobnika. Co z kolei jest możliwe do odkodowania poprzez wprowadzenie człowieka w stan głębokiej hipnozy, a potem zebranie relacji o tym, co mu się przypomniało. Rzecz arcyciekawa — jak by to powiedział pan Jowialski.

Któregoś dnia, przechodząc koło miejscowego uniwersytetu, zauważyłem na drzwiach Wydziału Psychologii kolorowy plakat domowej roboty, z którego wynikało, że w czwartek o godzinie 17.30 odbędzie się prelekcja mgr Ewy Y. właśnie na temat książki „życie przed życiem”. Wstęp wolny — po prelekcji dyskusja. Sami rozumiecie, że nie mogłem takiej okazji

przegapić i w czwartek już o 17.00 zasiadłem w pierwszym rzędzie auli Wydziału Psychologii. Było już kilka osób, a w miarę upływu czasu sala zapelniała się coraz bardziej. Punktualnie o 17.30 wkroczyła mgr Ewa Y., bardzo ładna, długonoga dziewczyna i chyba niegłupia, skoro magister. Mówiła ponad godzinę swoim tajemniczo zmysłowym głosem. Udawałem, że słucham z największym zainteresowaniem, ale tak naprawdę wcale nie docierał do mnie sens prelekcji. Poszczególne zdania odbierałem jedynie jako swoisty rezonans własnego libido. Pani magister musiała mieć podobne odczucie, gdyż przez cały czas dyskretnie mnie obserwowała. Rzecz jasna, jako chłop z krwi i kości, przyjąłem to za dobrą monetę i aż nazbyt wiele zacząłem sobie obiecywać... Tymczasem zakończyła się prelekcja i rozpoczęto dyskusję, z której też niewiele rozumiałem, zapatrzony jak w obraz w panią Ewę Y. Wreszcie w pustej sali zostaliśmy tylko ona i ja. Ona bardzo powoli układała swoje notatki. Ja uznałem, że to najodpowiedniejszy moment, podszedłem do niej i powiedziałem:

— Chciałbym bardzo serdecznie pani podziękować za ten niezapomniany wieczór intelektualnej zadumy... Mówiła pani w sposób zachwycający.

— Ależ pan wcale nie słuchał tego, co mówiłam. Obserwowałam pana uważnie. Mogłabym wiedzieć, o czym pan wtedy myślał?

No nie, na opowiadanie świństw już przy pierwszej okazji na pewno mnie nie naciągnie. O czym myślałem, to myślałem,

moja sprawa — przynajmniej na razie. Freud nie zadałby tak głupiego pytania, nie ma mowy, pokiwałby po prostu głową z pełnym zrozumieniem dla moich intencji. Dalsza część naszej rozmowy — już na korytarzu — ugruntowała mnie w przekonaniu, że najwyraźniej zrobiłem na niej duże wrażenie.

— Jak tylko pana zobaczyłam, zaraz doszłam do wniosku, a mam w tym doświadczenie, że musi pan posiadać duże zdolności medialne, a dla nas, psychologów zajmujących się stanami podświadomości, tacy ludzie są wprost nieocenieni.

— Miło mi to usłyszeć szczególnie z ust pięknej pani psycholog.

— Dlatego chciałam panu zaproponować — kontynuowała — udział w bardzo ciekawym eksperymencie. Pan mi nie może odmówić!

Kobieta w każdym calu, pomyślałem. Mimo tytułu naukowego w dziedzinie tak wyzwolonej i pozbawionej kompleksów jak psychologia u żywa pretekstów, zmierza do celu ogródkami. Wolałbym oczywiście, żeby ten eksperyment odbył się już dzisiaj, wiedziałem jednak, że najbardziej skuteczne są metody subtelne, a cierpliwość zawsze zostaje nagrodzona. Więc dobrze, będę w przyszły poniedziałek o 16.00 w sali nr 34 i niech ten eksperyment stanie się prologiem naszej bliskiej, oby jak najbliższej znajomości. Chciałem ją jeszcze zaprosić na kawę, jak to się robi w takich wypadkach, ale wymówiła się późną porą. Co za pruderia!

W poniedziałek już od południa przygotowywałem się do eksperymentu. Po solidnej kąpieli spryskałem się francuskim dezodorantem o nadzwyczaj wyrafinowanej kompozycji zapachowej, podobno podniecającej kobiety — jak triumfalnie

donosił producent na opakowaniu. Włożyłem swoją najlepszą koszulę, a wcześniej oczywiście podkoszulek — zgodnie z wymogami dobrego wychowania. Do ciemnoszarego garnituru dobrałem elegancki, nie rzucający się w oczy krawat. Z zadowoleniem, choć bez narcystycznego zachwyty oglądałem swoje odbicie w lustrze: szyk, elegancja i wdzięk. Po tych groteskowych czynnościach, jak to teraz oceniam, wyszedłem z mieszkania. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wybieram się na spotkanie prawdy.

Oprócz mnie w eksperymencie brało udział kilka innych osób, kobiet i mężczyzn, też ubranych jak na bankiet w ambasadzie. Z przykrością stwierdziłem, że śliczna magister Ewa Y. bynajmniej mnie nie wyróżnia spośród zebranych. Owszem, była grzeczna i uśmiechnięta, ucieszyła się, że przyszedłem, ale innych mężczyzn traktowała w taki sam sposób. W jednej chwili z potencjalnego amanta przeistoczyłem się w królika doświadczalnego. Gdybym wiedział, że tak będzie, w ogóle bym nie przyszedł, cóż, stało się. Jeszcze skrycie liczyłem, że coś się zmieni po tym nieszczęsnym eksperymencie, o którym miałem bardzo mgliste wyobrażenie.

Sala nr 34 była chyba specjalnie przystosowana do badań stanów podświadomości. Znakomita akustyka, klimatyzacja pozwalająca oddychać pełną piersią, ściany pomalowane na delikatny odcień seledynu. Już sama ta zewnętrżność pozwalała osiągnąć stan wyciszenia rozbieganych myśli. Z którego kąta dolatywała cichuteńka melodia, ledwie słyszalna, przypominająca muzykę starohinduska. Na zasadzie prostego

skojarzenia pociągnąłem nosem, spodziewając się wyczuć aromat wschodniego kadzidła. Wszystkim powoli udzielił się nastrój tajemniczości. Dość głośne rozmowy stały się po chwili szeptami, coraz lepiej natomiast słyszeć było muzykę, choć nie zauważyłem żadnych urządzeń nagłaśniających. Przyszła pora na eksperyment. Chodziło o potwierdzenie lub zanegowanie tez zawartych w „życiu przed życiem”. Zostaniemy wprowadzeni w stan snu hipnotycznego — co powinno się udać bez większych kłopotów — by dotrzeć do najgłębszych głębin podświadomości i zawartych tam informacji, jeżeli takie istnieją. Następnie już po powrocie do stanu świadomości mieliśmy to wszystko spisać. Proste!

Na polecenie magister Ewy Y. położyliśmy się na miękkim, puszystym dywanie. Zamknąłem oczy. Było mi tak dobrze, że najchętniej bym zasnął. Tak, drzemka nieźle by mi zrobiła.... Przed oczami przelatywały mi nieokreślone bliżej obrazy — jak gdyby z przeszłości... Tak, ten płot pamiętam z dzieciństwa... Takiego misia też chyba miałem... Kiedy to było? A magister Ewa Y. mówiła i mówiła tym swoim zmysłowym, nieodparcie usypiającym głosem. Powieki miałem coraz cięższe, nogi i ręce jak z ołowiu... Myśli uciekały gdzieś do środka własnego JA... Wreszcie chyba zasnąłem pod wpływem sugestywnych poleceń... Czyich? Przecież ona realnie nie istnieje. Ona? I wtedy ujrzałem inny, ten naprawdę realnie istniejący świat. Przypominałem sobie, jak to było ze mną. Ale dlaczego nie pamiętałem tego wcześniej? Przecież to takie oczywiste... O, jest i

profesor Grybrudrybru, i moja dobra Limpicja... Więc to tak naprawdę wygląda? No pewnie, że tak!!! Jaki ja byłem głupi! No i chyba jestem nadal, bo inaczej stałoby się tak, jak powiedział profesor Grybrudrybru, kochany staruszek. Jakże oni razem z Limpicja starali się o mnie, jaką mnie otoczyli opieką, kiedy zacząłem być... I jestem w dalszym ciągu, niestety... Ci tam, no... co też im się wydawało, też są... Ależ będą mieć głupie miny! Byłem szczęśliwy, że jest tak, a nie inaczej! Chciałem pozostać tu dłużej, ale coś zaczynało mi przeszkadzać, coś niepokojącego, pochodzącego z zewnątrz, na co nie miałem najmniejszego wpływu. Staralem się siłą woli to zwalczyć, nadaremnie, było coraz potężniejsze... Nie chciałem wracać tam, choć wiedziałem, że już znajduję się na pograniczu dwóch światów. Obrazy stawały się coraz bardziej zamglone, pocziwy profesor Grybrudrybru przypominał już tylko pomarańczową plamę, moja Limpicja też się gdzieś zawieruszyła... Przez chwilę pędziłem w niewiadomym kierunku środkiem okrągłego korytarza o srebrzystych ścianach, który zdawał się nie mieć końca, nie, wcale się nie bałem, że mogę roztrzaskać się o podłogę, byłem zupełnie spokojny. Do mojej świadomości zaczęło docierać coraz więcej wrażeń napływających jakby z tego kierunku, w którym zmierzałem „z zawrotną szybkością, jak mi się zdawało. Najpierw był to głos kobiecy, którego nie mogłem jeszcze rozpoznać, z każdą chwilą intensywniejszy, a potem muzyka, którą chyba już gdzieś słyszałem... Nagle cały ruch ustał. Zahamowałem. Doznałem wstrząsu, jak gdybym spadł z

dużej wysokości, ale nie poczułem bólu. Otworzyłem oczy i rozejrzałem się wokół. Jako jedyny leżałem na dywanie, reszta uczestników eks... eksperymentu zajęta była spisywaniem swoich wrażeń. Robili to tak zapamiętali, że wyraźnie słyszałem skrzyp piór i długopisów. Ktoś stał nade mną — kobieta — sennym jeszcze wzrokiem zlustrowałem ją od nóg aż po głowę, a potem jeszcze raz od nóg... Powiedziała:

— No, nareszcie się pan obudził. Proszę teraz sięść i wszystko dokładnie opisać, póki wrażenia są jeszcze świeże, za chwilę nie będzie pan nic pamiętał.

Nie mogłem dłużej udawać nieświadomości i bezkarnie oglądać jej nóg. Wstałem, przeciągnąłem się kilkakrotnie jak kocur i wziąłem się do pisania. Tamten stan świadomości pamiętałem jeszcze dość dokładnie, ale ilekroć szukałem w pamięci jakiegoś szczegółu, zaczynała boleć mnie głowa. Ból ten ustawał, kiedy tylko otaczająca mnie rzeczywistość zaczynała dominować nad tamtą.

Pisałem i pisałem — czynność ta pochłonęła mnie zupełnie, tak że nie zauważyłem, kiedy reszta osób wyszła z sali, może mieli mniej do powiedzenia, a może ich sen nie był aż tak głęboki. Pozostaliśmy we dwójkę. Magister Ewa Y. wykazywała matczyną wprost cierpliwość i zrozumienie. Siedziała naprzeciwko cicho jak myszka, żeby nawet najmniejszym gestem nie rozproszyć mojej uwagi. Właściwie przestała mnie już interesować, jak zresztą wszystko, co działo się na tej planecie, co jeszcze niedawno uważałem za istotne w życiu człowieka... Przestało to mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ



już wiedziałem... a raczej, gwoli ścisłości, przypomniałem sobie... W związku z czym Freud — stary wariat — mógł się wypchać tym swoim wszechogarniającym libido, jeśli chodzi o mnie — trafił akurat jak kulą w płot... Zawsze byłem czło... istotą przyzwoitą, dotrzymującą raz danego słowa bez względu na okoliczności, dlatego nie przerwałem pisania, choć powinienem był to zrobić. Napisałem wszystko dokładnie od początku do końca, zgodnie z prawdą. Wtedy jeszcze sądziłem, że inni uczestnicy eksperymentu napisali to samo, bo jakże inaczej. Myliłem się, oni nie cofnęli się tak daleko jak ja, mogli więc zupełnie bezpiecznie pisać te swoje halucynacyjne androny. Oczywiście dla mgr Ewy Y. ich wypociny okazały się bardzo interesujące z naukowego punktu widzenia — uśmieć się można... Ja tymczasem wyszedłem na durnia, mimo to wcale nie było mi przykro z tego powodu, bo jak już powiedziałem, sprawy tego świata stały się dla mnie obce, by nie rzec — śmieszne. Czuję się jak pasażer, który samotnie czeka na pociąg w pustej poczekalni i niecierpliwie odlicza czas dzielący go od odjazdu... Prawda, że to banalne porównanie, ale najlepiej oddaje sytuację, w której się znalazłem.

Skończyłem i bez większego entuzjazmu oddałem cztery strony rękopisu (pismo zwarte) magister Ewie Y., która wciśnęła moją pracę na sam spód stosu kartek. Nie mieliśmy sobie już nic więcej do powiedzenia. Ona miała swój wielce interesujący materiał empiryczny, nad którym będzie teraz ślęczeć przez kilka następnych tygodni, a nawet miesięcy. Ja odkryłem prawdę o naszym świecie i to dało mi wielką satysfakcję. Jako

realista do szpiku kości wiedziałem, że wyniki tego eksperymentu nigdy nie ujrzą światła dziennego, nikt przecież biduli (mowa o magister Ewie Y.) w te rewelacje nie uwierzy.

No to teraz powiem już wszystko — jak to z nami jest. Wystawiłem waszą cierpliwość na ciężką próbę, ale inaczej postąpić nie mogłem. Przedstawiony ciąg zdarzeń połączony był ze sobą związkiem przyczynowo-skutkowym, żeby więc ujawnić prawdę, musiałem wcześniej opisać drogę, którą przebyłem, zanim tę niepojętość pojąłem — jeszcze za życia.

Dawno temu, trudno mi precyzyjnie operować jednostkami czasu, bo są zupełnie odmienne, mieszkałem na planecie o nazwie Jokula, w gwiazdozbiorze, o istnieniu którego pewnie nie słyszeliście. Nie ma to zresztą większego znaczenia. Byłem, a właściwie jestem, organizmem żywym, nie muszę chyba dodawać, że rozumnym, opartym w swej budowie na białku krzemowym. Wygląd mój kłócił się z kanonem estetyki, do jakiego cywilizacja (!) ziemską była przyzwyczajona. Tym niemniej na rodzinnej Jokuli uchodziłem za ładnego — i owszem... W tym czasie Jokula należała już do wielkiej rodziny kosmicznych istot rozumnych; 853 cywilizacje zgodnie ze sobą współpracowały i wzajemnie się wspomagały. (Zadajecie sobie teraz pytanie, dlaczego do tej pory nikt nie zwerbował Ziemiaków...). Co do wyglądu i składu chemicznego istot zamieszkujących Kosmos mogę powiedzieć, że w zasadzie wykorzystane zostały wszelkie możliwości ewolucyjnej przemiany materii nieożywionej w

ożywioną — jednym słowem różnorodność dech zapierająca. Co w żadnym razie nie utrudniało wzajemnych kontaktów, bo wszystkich łączył jeden wspólny mianownik — intelekt, kategoria uniwersalna w skali Wszechświata. Uwieńczeniem intelektualnej integracji było powołanie ogólnie kosmicznego parlamentu, w skład którego wchodziło po 100 tysięcy przedstawicieli każdej zamieszkałej planety. (Drugie pytanie: Czy jest w tym parlamencie miejsce zarezerwowane dla delegacji z Ziemi...?).

Na Jokuli żyło mi się nieźle. Byłem cenionym fachowcem rodotransfruktacji (mniejsza o to, co to jest), a moja Limpicja (ciało eteryczne płci odmiennej, wedle ziemskich pojęć coś pośredniego między dobrą wróżką, ciałem astralnym a pospolitą żoną, tego ostatniego było tylko około 10 procent) należała do najpowabniejszych istot na planecie. Nasze dzieci rosły zdrowo w kokonach, a najstarszy syn już nawet zaczął wykazywać cechy poczwarki, co nas niepomrotnie cieszyło... Tak, ukryć się tego nie da byłem istotą szczęśliwą! Szczęśliwą! Hej! I trwałaby ta idylla do dziś, gdyby nie to, że... pewne go dnia zwariowałem. Dobrze to prawo wszystkich istot rozumnych — zwariować, jeśli nie na stałe, jak to było w moim wypadku, to przynajmniej od czasu do czasu. Musiałem być zdecydowanie niebezpieczny dla otoczenia, skoro moja dobra Limpicja zdecydowała się zawieźć mnie do słynnego wszechkosmicznego psychiatry, profesora Grybrudrybru z planety Bruluzu. Trudno w tej chwili sprecyzować, na czym polegała moja choroba. Jakie były jej przyczyny? W każdym razie Grybrudrybru już po pierwszym

badaniu mego nieszczęsnego mózgu załamał macki. Mój stan był krytyczny, istniało realne niebezpieczeństwo, że nastąpią nieodwracalne zmiany w obrębie dmuchawy neuronowej, odpowiedzialnej za stopień inteligencji. Pamiętam to dokładnie, bo właśnie tak określił to profesor. Na szczęście już od dawna żadnej istoty rozumnej, której zdarzyło się zwariować, nie pozostawiano samej sobie. Zawsze mogła liczyć na wszechstronna pomoc wyspecjalizowanych lekarzy i młodszego personelu medycznego — w międzynarodowo-kosmicznym składzie — a zdrowie psychiczne poszczególnych osobników zawsze znajdowało się w centrum uwagi kosmicznego parlamentu, który nie szczędził środków na utrzymanie wysokiej sprawności intelektualnej całej społeczności.

— Stan chorego jest ciężki, ale nie beznadziejny. Wyślemy go na jakiś czas do naszej kliniki. Wróci zdrowy i czerstwy, tam panuje bardzo dobry klimat — taka to niezbyt wesołe wiadomość zakomunikował mojej Limpicji profesor Grybrudrybru. Do mnie się nie zwracał, byłem przecież wariatem.

Co było robić? Musiałem udać się do tej kliniki (ciepło, ciepło...). Umieszczono mnie w sali przygotowawczej — czekała mnie daleka, choć stosunkowo krótkotrwała podróż. Było tu już kilku innych osobników, a ciągle jeszcze ktoś przybywał, towarzystwo międzynarodowo-kosmiczne, najcięższe przypadki chorób psychicznych. Poczulem się troszkę lepiej, mogłem więc przyjrzeć im się dokładnie. Co za różnorodność! Ciekawe, na co cierpi ta brudna ścierka, wydmuchująca z siebie bańki

mydlane? Albo ten potworek o czterech kończynach — okropność! Niektórych znałem już wcześniej z racji międzyplanetarnych kontaktów i byłem oswojony z ich widokiem. No, ale nie sposób przecież poznać mieszkańców ponad ośmiuset światów. Nie rozmawialiśmy ze sobą, bo o czym...? Wprawdzie ścierka, o której mówiłem, podpełzła do Limpicji i w międzykosmicznym języku wybulgotała z siebie kilka grzecznościowych uwag, ale nawet Limpicja — osoba normalna — nie miała żadnej pewności, czy to nie wariacki bełkot. Dlatego wyraźnie dała do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę, ścierka odrobinę speszona odpełzła na swoje miejsce i przestała nas nagabywać. Kilku co bardziej niebezpiecznych osobników uwięziono w elektromagnetycznych klatkach — oj byłaby jatka, gdyby nie ta klatka... Limpicja przez cały czas trzymała mnie czule za wskaźnik hydrodynamiczny, muszę przyznać, że działało to na mnie uspokajająco, i powtarzała w kółko swoim słodziuteńkim głosem:

— Wrócisz, kochany, zdrowy, ja tu będę na ciebie czekała... Profesor powiedział, że wszystko będzie dobrze... Zobaczysz... Zaopiekuję się jajami, możesz być spokojny. Kiedy wrócisz, będą już dorodnymi larwami i poczwarkami. Wiesz, wczoraj znowu złożyłam dwieście...

Raptem wszyscy ucichli, do poczekalni wszedł asystent, niosąc na aluminiowej misce profesora Grybrudrybru w jego ulubionej żelatynowo-fermentacyjnej zalewie. Profesor zwrócił się do nas:

— Kto jeszcze jest do tego zdolny, niech słucha. Z waszymi mózgami ostatnio nie działa się najlepiej. Tylko nie zaprzeczajcie!

Ale my was z tego wyciągniemy! Pomożemy wam! Nie ma w końcu nic bardziej wartościowego niż zdrowy, pełnosprawny mózg. Za chwilę specjalnym ambulansem polecicie do naszej kosmicznej kliniki psychiatrycznej, znajdującej się na peryferiach Galaktyki, daleko od powszechnie uczęszczanych kosmicznych szlaków. Cicho tam, spokojnie... słowem, idealne warunki lecznicze. Musimy was tylko poddać odpowiedniej metamorfozie... hm... to nie będzie bolało, zapewniam. Zabieg odbędzie się już na tamtej planecie. Za pomoce drenoskopu ultrafioletowego wasze dotychczasowe organizmy zostaną przekształcone w wiązkę fal transcendentálnych. Automatycznie zapomnicie o wszystkim, czego doświadczyliście w obecnym życiu, oczywiście wasza pamięć nie zostanie wymazana na zawsze. Na jak długo? Będzie to zależało od postępów w leczeniu. Tak że nie ma się czym martwić. W swojej nowej powłóce będziecie wyglądać tak. Wiem, wiem, że nie jest to zachęcający widok, cóż robić? Musicie się z tym oswoić.

Na plazmatycznym ekranie naszym organom patrzenia ukazał się straszny widok. Więc naprawdę tak będziemy wyglądali? Kto to wymyślił? Chyba szaleniec jakiego Wszechświat nie widział! Ucieszył się tylko czterokończynowy potworek z okrągłą głową, ludzaco podobny do osobników prezentowanych na ekranie, choć może nie aż tak brzydki, ścierka natomiast okropnie się przeraziła, czego dowodem były całe kłęby piany unoszące się w powietrzu — tak obficie zaczęła ją wydzielać. Powoli jęła się przesuwać do wyjścia, ale asystent zauważył

ten manewr i rzucił ją w jakiś kąt — więcej jej nie widziałem. Tymczasem profesor kontynuował:

— Będziecie musieli przejść cały cykl rozwojowy organizmu, który przed chwilą widzieliście. Od zarodka jako kondensatora fal transcendentalnych, skumulowanych w innym organizmie (też na leczeniu), poprzez bardzo specyficzne narodziny, dzieciństwo i życie dorosłe. Uwaga! Na monitorach kontrolnych będziemy pilnie obserwować postępy w leczeniu. Jeżeli okażą się zadowalające, niezwłocznie podejmiemy decyzję o zakończeniu waszego życia tam, mamy na to odpowiednie sposoby... Może to nastąpić już na etapie embriona, ale też i w bardzo późnym wieku, reguły tu nie ma. Wam będzie się wydawać, że jesteście wybrańcami losu, że oprócz waszej planety cały Kosmos jest pusty i martwy. Będziecie całkowicie identyfikować się z tamtą planetą, z innymi osobnikami tego samego gatunku. Ciekawe, że już od dłuższego czasu obserwujemy pewną, że tak powiem, spontaniczną działalność naszych podopiecznych w dziedzinie kultury i nauki... Widzę, że was to zdumiewa, ale takie są fakty. Oczywiście wytwory tej kultury i nauki są paranoidalne, cóż, inne być nie mogą... Jednakże z naukowego punktu widzenia jest to bardzo ciekawy przypadek, szczególnie dla klinicysty. Osobiście uważam, że nie należy ingerować w tę... hm... działalność, uważam, że ma ona pozytywny wpływ na kurację. No cóż, zobaczymy, jak spisze się wasz turnus. Ja tyle miałem do powiedzenia, proszę teraz zajmować miejsca w ambulansie, życzę wszystkim szybkiego powrotu do zdrowia!

Otworzyła się śluza transportowa, za którą oczekiwał nas połyskujący zielonym światłem ambulans sanitarny w kształcie dysku. (Czy tak zwane UFO jest dla was jeszcze zagadka?). Ruszyliśmy niezwłocznie, gdy tylko ostatni pacjent znalazł się na pokładzie. Pośpiech był uzasadniony, bo poczekalnia już zaczęła zapełniać się pacjentami z następnego turnusu. Nie zdążyłem nawet tak serdecznie jak zamierzałem pożegnać się z moją Limpicją.

Wicie już teraz, co sobie przypomniałem, a następnie opisałem w czasie eksperymentu przeprowadzonego przez magister Ewę Y. W podróży do własnej podświadomości zawędrowałem najdalej i w ten sposób poznałem tajemnicę naszego bytu. Tak, tak, Ziemia jest wielkim kosmicznym domem wariatów, a my sami szaleńcami, tyle że przetransformowanymi w zakresie fal transcendentálnych. Na tej planecie nie ma bytu obiektywnego, nie ma nic wartościowego ani sensownego. Jest tylko krótsza lub dłuższa chwila potrzebna na wyleczenie. Sens odnajduje się sam, ale dopiero po powrocie... Być może ludzkie poszukiwanie sensu egzystencji jest jedynie nieświadomiona tęsknota za rzeczywistymi światami, które musieliśmy opuścić skutkiem obłądzenia. Mówicie często o przeznaczeniu, o złym albo dobrym losie, o szczęściu lub jego braku — a za tym wszystkim stoi profesor Grybrudrybru z grupą swoich współpracowników. Genialny staruszek!

Mam świadomość, że wielu z was nie uwierzy w tę opowieść, że w najlepszym razie złoży wszystko na karb wybujałej wyobraźni autora... Gwoli obiektywizmu i umiłowania prawdy



poddawajcie więc ocenie własne postępowanie, przyłóżcie do niego skalę wartości istoty rozumnej... Proszę bardzo! Rozejrzyjcie się uważnie wśród znajomych, sąsiadów, kolegów z pracy. I niech ktoś powie, że nie znane mu są takie określenia (oczywiście pod cudzym adresem), jak kretyn, debil, idiota, cymbał, dureń, głupek, półgłówek czy wreszcie pospolity wariat... Szczególnie dociekliwym polecam studia nad historię, naszej cywilizacji — starożytnej i tej, którą dziś sami tworzymy. Ileż tam faktów, facyków, okoliczności mniej lub bardziej doniosłych, które znakomicie potwierdzają prawdziwość moich słów. Jeżeli po tych wszystkich zabiegach nie wyciągniecie oczywistych wniosków... to nic złego się nie stanie. Bo niby dlaczego miałyby się stać? Nad wszystkim czuwa Grybrudrybru. Już on wie co robi. Tak więc nie ma się czym martwić, ale pomyśleć warto.

Po kilku dniach apatii — poznanie prawdy gniotło mnie wewnątrz jak ciężki, nieznośny kamień — doszedłem wreszcie do siebie i uznałem, że życie na tej planecie ma też bardzo przyjemne strony i że koniecznie trzeba z tego korzystać... Dlatego już jutro mam zamiar udać się na Wydział Psychologii tutejszego uniwersytetu pod pretekstem, że interesują mnie wyniki eksperymentu. Jestem pewien, że magister Ewa Y. zechce podzielić się ze mną swoimi wnioskami — i o to chodzi. A co!!!??

## SPOTKANIE

Ku zaskoczeniu wielu uczonych Wszechświat okazał się skończony. Nikt już nie musiał wysilać głowy, by wyobrazić sobie nieskończoność Kosmosu, od czego zdarzały się wypadki pomieszania zmysłów. Byli i tacy uczeni, którzy zacierali ręce z radością, kiedy galaktyki i mgławice zaczęły zbiegać się tam, gdzie ileś miliardów lat temu nastąpił ten wielki wybuch, od którego wszystko się zaczęło. Ich obliczenia okazały się superdokładne! Temperatura Kosmosu sukcesywnie wzrastała. Zadowoleni z tego faktu byli, i owszem, ogrodnicy; pomidory na krzakach dojrzewały szybko, ciesząc oko intensywną czerwienią, zbiory odbywały się kilka razy w roku, no i jaka oszczędność folii... Dzieci z determinacją na opalonych twarzyczkach wieszały sanki na hakach, godząc się tym samym z faktem, że zimy już więcej nie będzie. Ze względów dydaktycznych opowieści o bałwankach zaliczone zostały do mitów greckich obok historii o nimfach i satyrach. Doszczętnie wyginęło natomiast plemię marzycieli-podróżników do ciepłych krajów; wszędzie było ciepło, marzenia stały się więc bezprzedmiotowe. Perspektywa zagłady jakoś do ludzi nie docierała. Wszelkie dyskusje na ten temat kończyły się spokojnym i płynnym machnięciem ręką, co miało oznaczać:

— Teraz czy kiedy indziej, co za różnica?

Wbrew wszelkim przeciwnościom natury i nieubłaganym prawom fizyki znalazła się grupa pragnących przetrwać za wszelką cenę i kontynuować gatunek ludzki. Oczywiście nie w tym ograniczonym w czasie i przestrzeni Wszechświecie, którego cała materia znów miała się znaleźć w jednym punkcie, lecz gdzie indziej... dalej... Samo pragnienie nie było rzeczą jasną żadnym rozwiązaniem. Należało działać i to szybko! Cena stworzenia sobie choćby tylko mirażu życia wolnego od widma kosmicznej katastrofy była jednak wysoka. Poszły w ruch konta bankowe, ruchomości i nieruchomości, biżuteria, samochody i papiery wartościowe, nie licząc własnego wkładu pracy. Budowę wszech- i transkosmicznej rakiety prowadzono w tajemnicy, wykorzystując do tego celu na wpuł zrujnowane garaże i hangary oraz rzesze zaufanych chałupników, którzy wykonywali mniej ważne, choć nieodzowne elementy rakiety.

Uporano się wreszcie z zasadniczą częścią robót. Statek należało jeszcze pomalować, części mosiężne wyczyścić do połysku, zgromadzić żywność i... można było lecieć. Nie dało się już dłużej utrzymywać całej sprawy w ścisłej tajemnicy. Nie pozwalał na to ogrom rakiety. Sama plandeka, pod którą spoczywało srebrzyste cielsko, ważyła 50 tysięcy ton, a niektórzy twierdzili, że więcej. Wkrótce rakieta stała się atrakcją turystyczną, przyciągającą tłumy żądnych sensacji ludzi. Opinie tych, którzy nie zamierzali ruszać się z Ziemi, były podzielone:

— Znakomity pomysł, ale to chyba nie polecą, za wielkie.

— I po co to wszystko? Nie lepiej było za te pieniądze do-  
brze pożyć jeszcze kilka lat?

— Niech lecą na złamanie karku, jak im tu źle!

— Też bym leciała, ale nie mam czasu, mąż, dzieci, obowiąz-  
ki...

— Wszyscy zginą, głowę daje.

Wreszcie ku rozpaczy okolicznych sprzedawców frytek, lo-  
dów i piwa statek był gotowy do lotu, a załoga — animatorzy  
całego przedsięwzięcia — ulokowała się we wnętrzu rakiety.  
Liczne grono komentatorów dopatrywało się pewnych analogii...  
Ale jak oświadczył rzecznik prasowy dowódcy wyprawy, mimo  
ogromnych gabarytów statku jest zbyt mało miejsca, by zabierać  
jakieś zwierzaki i to jeszcze po parze. Tym niemniej dyskusje na  
ten temat nie ustawały.

Po rozjaśnionej coraz większą ilością gwiazd nocy nastał  
upalny ranek — dzień startu. Pozostający na Ziemi zachowali  
się bardzo przyzwoicie. W skład komitetu pożegnalnego weszli  
najzacniejsi obywatele i najpopularniejsze osobistości życia  
politycznego. Przydługim przemówieniom o serdecznych wię-  
zach międzyludzkich nie było końca. Kilkakrotnie następowały  
niezręczne przerwy, kiedy mówcom cisnęły się na usta trady-  
cyjne zwroty o szczęśliwej podróży, powrocie i rychłym spo-  
tkaniu, co przecież nie miało najmniejszego sensu, a z czego  
wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę. Na koniec zgromadzeni  
wokół rakiety Ziemianie zaintonowali starą, naprawdę bardzo  
starą pieśń pożegnalną, której tekst i melodię po wielu trudach  
udało się znaleźć w miejscowej bibliotece uniwersyteckiej. Ani

melodii, ani tekstu tej naprawdę bardzo starej pieśni wśród huku odpalanych silników raketowych słycać nie było. Dopiero kiedy rakietą przebiła gęstą powłokę chmur nad polem startowym, rozległa się rzewna końcówka: „...od pól zielonych i hal...”

Lot przebiegał spokojnie, tylko koło Magelandro (soczewkowatego kształtu połączenie mas Obłoku Magellana i Mgławicy Andromedy) zanotowano pewne zaburzenia grawitacyjne, które jednak na humor i dobre samopoczucie załogi nie miały większego wpływu. Kiedy wreszcie daleko za rufą statku zostawiono całą te cisnącą się do jednego punktu materię, uciekającą przed zagładą zaczęli pilnie obserwować otaczającą ich próżnię, żeby w porę dostrzec granicę Wszechświata i nie rozbić się o nią. Różnie przy tym wyobrażano sobie te granicę — jako gigantyczny mur albo pomalowany na białą płot. Optymiści twierdzili, że to musi być coś na kształt siatki ogrodzeniowej, która daje szansę bezkolizyjnego przemknięcia się przez jedno z oczek. Nic takiego wszakże nie zauważono. Jakoś nic nie wskazywało na to, żeby ten Wszechświat gdzieś się kończył. Tak, trudne to były sprawy do rozwikłania, jeżeli ktoś koniecznie chciał je rozwikłać, nie zadowolając się stwierdzeniem, że są rzeczy, które najtęższym filozofom się nie śniły. Na szczęście naukowcy stanowili znikomy procent i nie mogli narzucić „dociekań” jako obowiązującego sposobu bycia reszcie załogi. Kilku co bardziej krzykliwych nie dostało przez dwa tygodnie deseru, co ostudziło ich zapędy do poszukiwania prawdy. Atmosfera na statku oczyściła się — życie wróciło do normy.

Tamten opuszczony przed laty Wszechświat wyglądał teraz z dużej odległości jak tabletki witaminy C. Lada dzień spodziewano się kolejnego wielkiego wybuchu materii. Podnoszące się więc od czasu do czasu głosy o ewentualnym powrocie nie znajdowały szerszego oddźwięku. Dominowało przekonanie, że nie ma po co wracać, tam już nic nie ma poza protonowo-elektronową miazgą...

Wielki wybuch nie nastąpił, więc dla urozmaicenia podróży dowódca statku zarządził codzienne bale sylwestrowe. O godzinie 24.00 czasu pokładowego huk otwieranych butelek szampana obwieszczał zakończenie starego roku i powitanie nowego. Gdyby nie metalowa powłoka rakiety, w ciszę kosmicznej próżni wdarłby się natarczywy dźwięk zardzewiałego saksofonu, brzęk szkła i podniecony śmiech tańczących par. Alkoholu spożywano dużo, pokładowy komputer meldował dowódcy przeciążenie zamkniętego przecież obiegu wody. Pewne niezadowolenie wywołała wiadomość, że sprzedawany w kasynie szampan nie jest szampanem francuskim, jak by to wynikało z etykiety, lecz pochodzącym z wtórnego obiegu wody nędnym substytutem. Wkrótce na ten temat zaczęły krążyć bardzo zabawne dowcipy, nie nadające się jednak do opowiadania przy stole. Poza tym lot przebiegał bez zakłóceń.

Pewnego dnia do sali jadalnej wbiegł główny obserwator wyprawy, którego jedynym zadaniem było ślęczenie przy szybie największego iluminatora, i krzyknął ochryple:

— Jest! jest!!!

Nie zdążył powiedzieć, co jest, gdyż upadł zemdlony. Kobięca

część załogi sądziła z początku, że został ojcem, bo tylko ojcowie potrafią tak krzyżeć. Ale nie. Nie był to też wielki wybuch. Jeśliby nawet nastąpił, to z tej odległości i tak nie byłby widoczny. Był to... Obiekt!!" Nadlatujący z wielką prędkością, kursem przeciwnym niż kurs statku Ziemi. Na barierę Wszechświata nie wyglądał, był za mały. Poza tym czy kto widział latające ciała kosmiczne, w dodatku bordo w zielone paski? Obiekt tymczasem zbliżał się coraz bardziej. Nauczonym smutnym doświadczeniem naukowcy tym razem nie wypowiadali swojego zdania — było im wszystko jedno, co to jest i gdzie to leci. Dowódca statku profilaktycznie wykonał manewr hamowania i wtedy obiekt też przyhamował. Fakt ten wywołał konsternację, a nawet swego rodzaju euforię. Do świadomości ludzi dotarło bowiem przeświadczenie, że to twór sztuczny, a więc zbudowany przez istoty inteligentne, które w takim razie skądś muszą lecieć. Być może istnieją tam sprzyjające warunki do osiedlenia się. Radość zapanowała ogromna. Ze łzami w oczach wspominano nie istniejącą już Ziemię i cały Układ Słoneczny, cieszą się, że oto nadchodzi kres tułaczki, że mimo wszystkich przeciwności udało się oszukać nieubłagane, nieuchronne — i jak sądzono — powszechnie obowiązujące prawa fizyki. Obydwa statki — ziemski i ten bordo-zielony — zatrzymały się w niewielkiej od siebie odległości. Z napięciem oczekiwano dalszego rozwoju wydarzeń.

Nie wiedzieli jeszcze Ziemianie, że mają przed sobą rozumnych przedstawicieli innego Wszechświata, a raczej tego, co z niego zostało. Dziwny to był Wszechświat, oceniając go ziemską

miarą. Rządził się zupełnie innymi prawami fizycznymi, biologicznymi i społecznymi, niepojętymi dla ziemskiego umysłu. Na przykład suma kątów w trójkącie wahała się od 200-250 stopni i tak było faktycznie. W jaki sposób mógł to zrozumieć przeciętny, średnio wykształcony człowiek?

Rozwijał się ten Wszechświat po swojemu i trwałoby to dalej, gdyby nie zastraszająco szybko postępująca przemiana materii w pulpę kosmiczną. Było to też jedno z dziwnych praw tego Wszechświata. Czym była pulpa kosmiczna? To również trudno wyjaśnić. Najogólniej jednak rzecz ujmując, było to objętościowe wymieszanie materii i próżni w stosunku 100 metrów sześciennych próżni na 1 metr sześcienny materii, słowem, taki próżniowo-materyjny kogel-mogel. W praktyce oznaczało to doszczętne zniszczenie owego Wszechświata, gdyż zjawisko przebiegało lawinowo i występowało wszędzie tam, gdzie stykały się ze sobą materia i próżnia.

Na jednej z walcowatych planet zrodziło się swego czasu życie, potem życie rozumne, i pięknie się rozwijało aż do momentu, kiedy to nastąpiło pulpowe wyrównanie pojemności. Część mieszkańców planety — niewielka garstka — postanowiła ratować się ucieczką z zagrożonej planety. W tym celu zbudowali rakietę, którą pomalowali na bordo i zielono, bo tak im się podobało. Po bardzo długiej podróży natknęli się na podłużny srebrzysty obiekt. Po bliższej obserwacji uznali go za zwiastuna innego, lepszego Wszechświata, w którym być może będzie się można osiedlić.



I tak doszło do historycznego spotkania dwóch nie znanych sobie cywilizacji kosmicznych. Nie byłoby rzeczą rozsądną ani higieniczną, żeby wszyscy tak od razu zaczęli się bratać i ścisnąć. Jak na dany sygnał w pewnej chwili od obydwu statków oderwały się rakiety komunikacyjne, niosące na swych pokładach dowódców wypraw i po kilku zaufanych, znających się na kosmicznej polityce osób. Reszta z niepokojem, ale i ogromną ciekawością oczekiwała powrotu delegacji. Spotkanie nastąpiło w połowie drogi.

Potwierdziły się prorocze wizje fantastów. Przedstawiciele obcej cywilizacji zbudowani byli z samych macek, czułków, antenek. Całość pokryta była gęstym śluzem. Najważniejsze, że nikt nie miał wrogich zamiarów względem drugiej strony. Dowódca ziemskiego statku, z trudem opanowując grymas obrzydzenia, przemówił tymi słowy:

— Witajcie, hm... kosmiczni bracia. Tam nie macie po co lecieć. Tamten, to jest nasz Wszechświat przestał istnieć. Zawracajcie. Dalej polecimy razem...

Powierzchność Ziemi też nie wywarła najlepszego wrażenia na obcych przybyszach, tym niemniej równie grzecznie odpowiedzieli:

— Ciap, ciup, cip, hlukluhlugludluli bizibzizi, co można by przetłumaczyć: „Nie lećcie tam, tam nastąpił koniec Wszechświata, czeka was śmierć we wszechogarniającej pulpie”.

Zbyt wiele jednak dzieliło dwie cywilizacje, by mogły dojść do porozumienia. Po chwili milczenia — bo o czym tu jeszcze gadać — delegacje odleciały do swoich statków macierzystych.

W sali konferencyjnej ziemskiego statku zgromadziły się tłumy. Relacje ze spotkania składał dowódca statku, jako osoba najlepiej zorientowana. Powiedział:

— Spotkanie, wiecie, odbyło się w przyjaznej i serdecznej atmosferze. Omówiliśmy węzłowe zagadnienia rozwoju naszych cywilizacji. Nasi przyjaciele wykazali wiele zrozumienia dla naszych problemów, złożyli wyrazy ubolewania z powodu tak niefortunnego końca naszego Wszechświata. Obiecali pomóc, jak tylko przeprowadzą swoje przewidziane planem zadania, co nastąpi niebawem. Ale najważniejsze, powiem wam, że dobrze lecimy, w dobrym kierunku!!! Jeszcze kilka lat podróży i znajdziemy się w prawdziwym raju!! Znakomite warunki do zasiedlenia i rozwoju, tylko musimy być cierpliwi... Tak. To ja dziękuję.

Sprawozdanie delegacji Wszechświata zniszczonego pulpową zaraza było podobne w treści i intencjach. Po chwili obydwie statki przemknęły obok siebie z bardzo dużą szybkością w poszukiwaniu bliskich już szczęśliwych Wszechświatów. Gdyby nie pancerze rakiet, pustkę Kosmosu przebiegłby melodyjny szmer zadowolenia przedstawicieli dwóch wielkich, rozumnych ras. Po chwili w miejscu ich spotkania pozostała jedynie próżnia.

## GOŚCIE

Wstałem od biurka, zrobiłem kilka przysiadów i otworzyłem okno. Wydawało się, że od rozgwieźdzonego nieba oddziela mnie tylko pajęczyna firanki. Nie dość, że nie przychodzi mi do głowy żaden w miarę oryginalny pomysł, to jeszcze ten ból kręgosłupa... Zaparzyłem herbatę, czarna jak smoła i gęstą jak budyń. Taka herbata podobno pobudza mózg, a na tym szczególnie mi zależało. Głupio nie przespać nocy i nie napisać ani jednego zdania, ani jednego wyrazu. Może by tak opisać fantastyczne przygody kosmicznej brygady antyspekulacyjnej? W Kosmosie można spekulować na przykład antymaterią.. Herbata zamiast na mózg podziałała na żołądek, zrobiło mi się niedobrze. Podszedłem do okna, popatrzyłem na gwiazdy. Migotały, migotały, ale natchnienia mi nie przyniosły. Kilkakrotnie zaczerpnąłem rześkiego nocnego powietrza i wtedy głośno zadzwonił dzwonek u drzwi. Nawet nie zamruczałem pod nosem „A kogo to lichy nosi po nocy”. Miałem zamiar otworzyć, ale nie spieszyłem się. Do natarczywego dzwonnka dołączyło się walenie pięścią, w drzwi. Nie popatrzyłem przez wizjer, noża kuchennego też nie ścisnąłem za plecami — otworzyłem.

W żółtym świetle jedynej żarówki zobaczyłem zupełnie nieznanych mi dwóch mężczyzn. Na mój widok zareagowali

gwałtownie — najpierw pchnęli drzwi, potem mnie i znaleźliśmy się w przedpokoju. Chciałem właśnie zwrócić im uwagę, że zapewne trafili pod niewłaściwy adres, kiedy zaczęli się przekrzykiwać:

- No, jak długo można czekać?
- Jak długo można dzwonić? — śpisz czy co?
- Co się z tobą dzieje?

Stałem zdeprymowany. Co to za ludzie? Jeżeli nie są pospolitymi włamywaczami, to wszystko wskazuje na to, że mnie znają. Ale skąd? Moje niezdecydowanie zauważył starszy z mężczyzn, wyglądał na bardziej opanowanego:

— I co tak gały wytrzeszczasz? Tak w przedpokoju będziemy stali?

Ależ naturalnie, ależ oczywiście, ależ proszę bardzo... A może herbatki... to ja zaraz... Jak na gospodarza przystało, zaprosiłem moich dziwnych gości do pokoju. Rozsiedli się wygodnie w fotelach. Poszedłem do kuchni po tę herbatę, chociaż jednoznacznie się nie zadeklarowali, to znaczy, będą pić czy nie... Prowadzili ze sobą bardzo ożywioną rozmowę. W kuchni nasza mnie niewesoła refleksja: jeśli są włamywaczami, to muszą mnie uważać za idiotę i to kompletnego. Wpuszczam w nocy do mieszkania nieznanymi mężczyznami i wychodzę do kuchni parzyć herbatę. Takie są fakty. Kiedy niosłem tacę ze szklankami, dobiegł mnie fragment rozmowy:

- Wygląda na to, że on nic nie wie.
- Ale czujniki go wykryły...
- Nie wolno się na razie ujawniać.
- Jak przyjdzie, trzeba z nim porozmawiać, ale ostro...

Wszedłem i powiedziałem:

— O, jest już herbatka, jeszcze tylko cukier...

Zatrzymał mnie ten młodszy:

— Chodź no tu, przyjacielu, herbata nie kometa, nie ucieknie, a my musimy pogadać. Siadaj tu z nami.

Mimo woli usiadłem. Facet powiedział to takim tonem, że gdybym nie usiadł, mogłoby mi się przydarzyć coś niedobrego. Milczeli chwilę. Wreszcie znów odezwał się ten starszy:

— Widzisz, nas się bać nie musisz... rozumiesz... my...

Do rozmowy włączył się z impetem ten drugi:

— Daj spokój, Felek, nie ma co owijać w bawełnę. Słuchaj no, mały... Pisziesz czasami science-fiction czy nie piszesz? Tylko mów prawdę!!!

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

— No tak, piszę właśnie, jak był pan łaskaw się wyrazić, fantastykę naukową, ale jestem początkującym pisarzem.

To ostatnie zdanie zabrzmiało jak usprawiedliwienie. Moi goście opadli w fotele z wyraźną ulgą na twarzach. Zrozumiałem, że ucieszyła ich moja odpowiedź. Ten starszy powiedział:

— Nasz jest.

— No to przynieś teraz tego cukru.

Znów wszedłem w rolę gospodarza i pobiegłem do kuchni. Tylko co ma wspólnego cukier z science-fiction? Musi być jakiś związek, bo inaczej wypiliby gorzką. Znów usłyszałem fragment rozmowy:

— Trzeba mu powiedzieć całą prawdę, nie ma innego wyjścia, najważniejsze, że pisze...

— A jeśli to beztalencie?

— To i tak mu nikt nie uwierzy.

— Jak zacznie wychodzić na swoje, to pary z gęby nie puści.

Przerwałem tę rozmowę, stawiając cukiernicę na stole. Starszy, który miał na imię Felek, chrząknął kilkakrotnie, jakby chciał powiedzieć, że najniezręczniejszym jest zacząć.

— Masz oczywiście wyobraźnię, to łatwiej nam się będzie dogadać. Sprawy wyglądają, tak. Kosmos jest nieskończony, co do tego nie mamy wątpliwości. Miliardy układów planetarnych skupione są w milionach galaktyk...

— Felek, zmiłuj się, nie mamy czasu — krzyknął ten drugi.

Przyszło mi do głowy, że są przedstawicielami jakiejś sekty religijnej i za chwilę zacznie się część retoryczno-dogmatyczna. Na samą myśl o tym ciarki mi przebiegły po plecach. Ale nie, Felek psyknął na kolegę i mówił dalej:

— Na wielu planetach rozplenilo się życie, a na niektórych nawet życie rozumne. Z tym życiem rozumnym to jest tak: jedni piorą się po mordach, inni latają od galaktyki do galaktyki, jakby im źle było w domu... Są wreszcie i tacy, którzy zawodowo zajmują się świadczeniem usług w Kosmosie i właśnie my jesteśmy przedstawicielami tych ostatnich. Wędrujemy to tu, to tam i świadczymy, prawda... te, no, usługi. Szybko i tanio, zgodnie z zamówieniem.

Wstałem ostrożnie, żeby nie robić hałasu i stanąłem przy drzwiach. Będę miał przynajmniej pole manewru, kiedy zaczną gryźć tapczan — bo taki będzie pewnie kolejny objaw tej choroby, na którą zapadli we wczesnym dzieciństwie. Dobry Boże!

Odezwał się ten młodszy:

— Popatrz, Felek, na niego. On nas uważa za wariatów. Z nim trzeba inaczej.

Patrzyli na mnie z wyrzutem, a ja na nich — fakt faktem — jak na wariatów. Ponieważ nic na razie nie zapowiadało, że zaczną, gryźć, usiadłem z powrotem w fotelu, ale na samym rogu, ledwo, ledwo. Ten starszy myślał intensywnie, zasepił się, postanowił coś wreszcie i powiedział:

— Wcale nam nie o ciebie chodziło. To, że jesteś tutaj, to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Lecieliśmy sobie, rozumiesz, na kolejną robotę i nagle bęc! Wszystkie układy pokładowe tylko zadymiły. Dzięki przytomności umysłu Bożydara z największym trudem zdołaliśmy wylądować w tych krzakach nad rzeką, wiesz, tam, niedaleko przystani. Najwięcej ucierpiał komputer, wszystkie złącza i styki przepalane.

— A czym lecieliście? — zdecydowałem się zapytać.

— Jak to czym? O UFO nie słyszałeś? Takie pomarańczowe.

Miałem tego dość. Przyznałem się do fantastyki, to już myślałem, że uwierzę w każdą głupotę, tak? Stałem w progu, pokazałem palcem drzwi i powiedziałem ostro:

— Won! Bo milicję zawołałem! Ale już!

Nie w głowie im było opuszczać mieszkanie — nawet się nie obrazili. Zyskałem tyle, że zaczęli patrzeć na mnie z większym szacunkiem. Bożydar zrozumiał, że to nie przelewki i odezwał się tonem petenta:

— Słuchaj, musisz nam pomóc, jesteśmy w przymusowej sytuacji. Do świtu musimy usunąć awarię i odlecieć. Czasu mamy mało. Na razie uwierz nam, nad ranem pójdziemy nad rzekę, to sam się przekonasz. Zobaczysz, jakie ładne opowiadanie potem napiszesz...

Oczywiście nie uwierzyłem w ani jedno słowo, natomiast sama sytuacja zaczynała mnie bawić, a to dlatego, że przecież pół nocy nadaremnie szukałem ciekawego pomysłu na opowiadanie. Z bełkotu tych facetów można by ewentualnie coś upichcić. Byłby to w każdym razie jakiś pomysł. Postanowiłem przejąć inicjatywę i pomęczyć ich troszkę:

— Dlaczego właśnie do mnie przyszlście?

— A do kogo mieliśmy przyjść?

Bożydar nie miał wątpliwości co do mojej osoby:

— Mamy na pokładzie takie urządzenie... Ono wykrywa, jakby ci tu powiedzieć, fale, jakie wysyła mózg pracujący w zakresie nierealności. Jest to stan typowy dla pisarzy science-fiction. Zaraz po awarii, jak potrzebowaliśmy pomocy, włączyliśmy to urządzenie i tak trafiliśmy do twoich drzwi.

Coraz bardziej zaczynało mi się to podobać, zwłaszcza kiedy przypomniałem sobie, że faktycznie w poszukiwaniu pomysłu na opowiadanie mój mózg intensywnie obrabiał wszelkie nierealności i nieprawdopodobne realności. Uważniej popatrzyłem na moich gości. Cóż, ludzie jak ludzie, wygląd przeciętny — faceci z dolnych rejestrów ulicznej szarości. No właśnie. W tym momencie właściwie nie pomyślałem o niczym, tylko już drugi raz w ciągu ostatnich kilkunastu minut poczułem ciarki na plecach, a na czoło wystąpiła mi nieprzyjemna rosa.



Spojrzałem, na nich raz jeszcze. Znowu nic. Dwóch zapracowanych rodaków — każdy ma pewnie tłusta, niechlujna żonę i gromadę źle wychowanych, wiecznie dłubiących w nosach dzieci. W takim razie powinni myśleć tylko o tym, jak związać koniec z końcem. Tymczasem nachodzą ludzi po nocy i mówię o mózgu pracującym w zakresie nierealności... Jakby od niechcienia wytarłem ręką pot z czoła, a rękę o spodnie. Bożydar wskazał na mnie kciukiem i powiedział do Felka:

— Zaczyna myśleć.

— To dobrze, byleby to zbyt długo nie trwało, bo jak nam nie pomoże, wszystko się wyda, a wtedy nikt więcej nie zechce nam zlecić czegokolwiek na tej planecie. To będzie kompromitacja na skalę kosmiczną.

Kiedy byłem małym chłopcem, babka zawsze mnie ostrzegła, że jeśli będę używał brzydkich wyrazów, to mi wypadną zęby. Brzydkich wyrazów używałem, bo kto nie używa, i zawsze miałem wrażenie, że siekacze i trzonowe luzują mi się w dziąsłach i lada moment wypadną. Odczułem to i teraz, kiedy zadawałem grzeczne, choć pozbawione sensu pytanie:

— Czym się różnicie od ludzi? Jeżeli mnie przekonacie, to wam pomogę.

Bożydar gwałtownie podniósł się z fotela. Przez moment pożałowałem swego pytania, bo wydawało mi się, że ma zamiar zdjąć spodnie. Ale nie, poprawił tylko koszulę i powiedział:

— Niczym się nie różnimy, przynajmniej w czasie wykonywania czynności zawodowych. W naszym fachu nie można inaczej.

— Jemu się wydaje, że istota z innego układu gwiazdnego zaraz musi przypominać zieloną glistę, karminową purchawkę albo ośmiornicę w czarno-białą kratę. Chociaż nie przeczę, są i takie istoty. Zawsze upodabniamy się do naszych zleceniodawców. Na tej planecie wyglądamy właśnie tak.

— No dobrze — powiedziałem — to w takim razie na czym polega świadczenie tych waszych usług i dlaczego to robicie. Muszę przecież wiedzieć, na czym stoję.

Nie dostrzegłem na ich twarzach wahania. Odpowiedział mi Felek:

— Zleceniodawcę mamy jednego — tajna rada pisarzy science-fiction. Klient solidny, wypłacalny, współpraca układa nam się bardzo dobrze i to już od samego początku. To właśnie tajna rada sprowadziła nas na tę planetę.

To „sprowadzenie” nasunęło mi pewną myśl:

— Czy przypadkiem nie sprowadzono was tutaj, to znaczy na tę planetę, w roku 1226?

— Nie, przybyliśmy znacznie później. A dlaczego wymieniłeś właśnie tę datę?

— Nic szczególnego, panowała wtedy po prostu moda na sprowadzanie. Nieważne.

Jak do tej pory wszystkie swoje kwestie wypowiadali bez zająknięcia. Oczywiście nie wierzyłem w te brednie. Ale skoro nie gryzą tapczanu, niech sobie bajdurzą choćby do rana. Jeszcze raz obejrzałem ich od czubków butów aż do głów — ludzie z krwi i kości. Wszelkie odchyłki własnego mózgu w kierunku tej no... nierealności korygowałem na bieżąco zdrowym ziemskim rozsądkiem i rzetelną oceną faktów, których byłem świadkiem.

Nie ma obawy, nie zacznę krzycheć: Witajcie przybysze z nieznaney planety!

Schyliłem się i podniosłem kartkę papieru — musiała wy-  
paść Felkowi z kieszeni. Pokryta była różnymi znakami i ry-  
sunkami zrobionymi chyba poślinionym ołówkiem kopiowym.  
Przyjrzałem się uważniej. Gdzieś to już chyba widziałem... O,  
ta spirala na przykład. Tak, nie mogło być wątpliwości — prze-  
cież to rysunki z płaskowyżu Nazca. Zaraz sobie wytłumaczy-  
łem, że mogli to odrysować z jakiejś książki albo gazety, tym  
niemniej środkiem kręgosłupa przebiegł mi zimny dreszcz. A  
jeżeli? Głupstwo. Moje zmieszanie zauważył Bożydar:

— Nazca! Pierwszorzędna robota, co? Jedno z największych  
naszych osiągnięć na tej planecie. Te rysunczki zaprojektował  
Felek — ja tylko wykonałem. Ale co to była za harówka! Pamię-  
tasz, Felek?

— Pamiętam, pamiętam, od tajnej rady dostaliśmy specjal-  
ną gratyfikację, a od jednego hotelarza skrzynkę francuskiego  
szampana. Zaraz książki o Nazca sypnęły się jak z rękawa i do  
tej pory jeszcze się o tym pisze, chociaż to temat ograny.

Mimo woli jałem podążać tokiem ich rozumowania: a więc  
jest taka kosmiczna spółdzielnia usługowa, jest tajna rada,  
która zleca wykonywanie takich różnych rzeczy, jak na przy-  
kład wyżłobienie tych rysunków na pustyni Nazca. Przedstawi-  
cieli tych jakże pożytecznych istot mam właśnie przed sobą i  
powiniennem im pomóc, bo ich latający talerz uległ awarii. Czule-  
m, że zaczynam stawać się elementem tej niesamowitej sy-  
tuacji, która już wydaje mi się prawdopodobna, podmiotem i

zarazem przedmiotem gry sił kosmicznych. W tym też duchu zapytałem:

— A trójkąt bermudzki? To też wy?

Uśmiechnęli się obydwaj z wyraźną, satysfakcją.

— Niezupełnie my, nasi koledzy, nie działamy przecież tylko we dwójkę, żeby nie było nieporozumień. Przytopi się nagle to czy owo, to czy owo zniknie bez śladu, ale nikomu się krzywda nie dzieje. Prawda, Bożydar?

Bożydar skinął głową na potwierdzenie słów kolegi.

— Nie wiem jeszcze tylko, po co to wszystko robicie.

— Mówiliśmy ci już, że sprowadziła nas na tę planetę tajna rada pisarzy science-fiction, pisarzy z pewnym dorobkiem, ma się rozumieć. W jaki sposób nawiązaliśmy ze sobą kontakt? Tego nie dociekaj, bo i tak nie zrozumiesz, powiedzmy, że zapoznali nas wspólni znajomi. Nasza współpraca rozwija się owocnie dla obydwu stron. My stwarzamy niecodzienne sytuacje, fenomenalne zjawiska, tajemnice i zagadki, co staje się podniętą dla pisarzy science-fiction z pewnym dorobkiem, rzecz jasna. Co my z tego mamy? Tego też nie zrozumiesz, ale to korzystny dla nas interes, inaczej byśmy się tym nie zajmowali.

— No... a ja? — zapytałem, bo w końcu też się param fantastyką.

— Ty? Za młody jesteś, żeby korzystać z naszych usług. Może kiedyś? Na razie musisz wszystko sam wymyślać. Nie ma rady. Jeżeli dzisiaj pomożesz nam, my jutro pomożemy tobie,

no może jeszcze nie jutro. Masz ciągle jakieś wątpliwości?

Oczywiście, że miałem, na przykład, dlaczego oni mówią po polsku i to tak dobrze. Nawet dla superzdolnych przybyszów z Kosmosu biegle opanowanie naszego języka powinno stanowić trudność nie lada. A tu nic. Mówią, jakby wymowę sz, cz, prz wyssali z mlekiem matki. Mogłem nie wierzyć, by jakakolwiek rozumna istota artykułująca z Mgławicy Andromedy czy Y—86 mogła bezbłędnie wypowiedzieć słowo „chrząszcz”, wiedziałem jednak, że być może mam przed sobą jedyną i chyba niepowtarzalną życiową szansę. Szansę na co? Odpowiedź raczej wyczuwałem niż znałem. Więc tak, pomogę im, wspólnie usuniemy awarię latającego pojazdu. Niech wiedzą, że na Ziemi można liczyć w każdej sytuacji. Samą naprawę wyobrażałem sobie po swojemu. Powiedziałem do Felka i Bożydara:

— Poczekajcie chwilę.

Pobiegłem do łazienki. Dość nerwowo grzebałem w pudle z narzędziami, ale w końcu znalazłem komplet kluczy do roweru. Wybrałem jeszcze kleszcze, obciążki, młotek, kilka gwoździ i rulon papieru ściernego. Uśmiechnięty, z kompletem narzędzi nieodzownych, jak myślałem, do naprawy UFO, wróciłem do pokoju. Już wyobrażałem sobie Felka, który leży pod unieruchomionym pomarańczowym spodkiem, wyciąga w moim kierunku czarną od smaru rękę i mówi:

— Ósemka płaska, młotek, daj gwoździa, ale z odciętym łebkiem, puknij z góry dwa razy...

Oni tymczasem popatrzyli na mnie bardzo zdziwionym i

rzekłbym, nieprzyjemnym wzrokiem. Bożydar zapytał:

— Co ty przyniosłeś?

Dla odmiany ja zrobiłem zdziwioną minę. Czy moje narzędzia nie są wystarczająco dobre?

— Mam jeszcze wiertarkę elektryczną — powiedziałem.

Wiertarka też ich nie urządziła. Felek musiał mi uświadomić skalę przedsięwzięcia:

— UFO jest niezwykle skomplikowanym urządzeniem latającym, bardzo jednak wrażliwym na wszelkie awarie. Stąd i nasz dzisiejszy kłopot. Najbardziej ucierpiał komputer pokładowy, a bez niego jak bez ręki. Złącza i styki się poprzepalały, odłupał się kawałek powłoki z komory jonizacyjnej silnika, są i drobniejsze uszkodzenia, ale z nimi jakoś damy już sobie radę. Najważniejsze to odlecieć przed świtem. Powiedz mi, co jest potrzebne do naprawy.

Bożydar wyciągnął z kieszeni niebieski notes i zaczął odczytywać:

— To będzie tak: Na wymianę styków potrzebne jest złoto, i to wysokiej próby, ten odprysk w komorze jonizacyjnej można by załatać papką ze sproszkowanej porcelany. Narzędzia mamy własne, gdybyś tylko mógł nam załatwić te materiały. Naprawdę musimy odlecieć przed świtem...

Z wrażenia upuściłem młotek na stopę, a zaraz potem resztę narzędzi na podłogę; tylko papier ścierny nie narobił hałasu. Owszem, chciałem pomóc, z całej duszy chciałem pomóc moim nowym kosmicznym przyjaciółom, ale na takie dictum muszę odprawić ich z kwitkiem. Przykro mi bardzo... Zaraz, zaraz...

Przypomniałem sobie, że przecież mam po babci komplet złotych sztucców na dwanaście osób. Biedna babcia dostała je w prezencie ślubnym od swojej matki. Takie sztucce są teraz warte masę pieniędzy, w dodatku to pamiątka rodzinna, ale sytuacja jest szczególna i wymaga poświęcenia. Nie wahałem się dłużej, nie zebrałem rozrzuconych po podłodze narzędzi. Podbiegłem do komody i spod sterty obrusów wyciągnąłem wytłaczaną, skórzaną kasetkę. Drżącymi rękoma podałem ją Bożydarowi. Otworzył kasetkę i popatrzył wymownie na swego kolegę. Widać było, że są zadowoleni z mojej gotowości do poświęceń. Felek wyciągnął jeden widelec, włożył do ust, zaczął wyginać na różne strony, wreszcie stwierdził:

— Dość niska próba, ale da się wzbogacić. Co, Bożydar? Nie będzie kłopotu?

Bożydar powtórzył test na wysokość próby:

— Tak. To da się zrobić.

Odetchnąłem z ulgą. Z pewnym smutkiem patrzyłem jednak, jak rodzinna pamiątka wędruje do nylonowego mleczno-białego worka. Niech tam. Niech mają. Niech lecą. Niech mają ze swojej pracy korzyść, której ja nie potrafię zrozumieć. Rozłożyłem bezradnie ręce — w niczym więcej nie mogę wam pomóc. Nie mam nic, czym można by załatać dziurę w komorze jonizacyjnej nowoczesnego statku kosmicznego. Nie zauważyli mojego gestu. Z zainteresowaniem przypatrywali się staremu serwisowi z miśnieńskiej porcelany, który stał na kredensie. Po chwili Felek zauważył:

— Tylko trzeba by dokładnie zemleć.

— Naprawdę? Jeśli tylko przydadzą się wam te stare skorupy,

to bierzcie. Jestem szczerym człowiekiem i przyjaciół nie opuszczam w biedzie. Wkładane do worka dzbanki, dzbanuszki, talerzyki i filiżanki pobrzękiwały cicho jakby na pożegnanie. Wreszcie wypchany worek spoczął na fotelu. Staliśmy chwilę w muleniu naprzeciw siebie. Felek i Bożydar patrzyli na mnie z sympatią, i wdzięcznością. Miałem poczucie dobrze spełnionego obowiązku, a to podobno w życiu najważniejsze. Bez słowa podeszli kolejno i uściskali mnie serdecznie. Byłem wzruszony — moi kosmiczni bracia... Pomyślało mi się wprawdzie, że Bożydar ma zarost jak jeżozwierz, ale... zresztą nieważne. Wyszliśmy do przedpokoju. Worek bardzo ostrożnie niósł Felek. Włożyłem buty i narzuciłem na siebie kurtkę. Z podłogi podniosłem młotek — pomogę im w pokruszeniu tej porcelany albo przydam się do czego innego. I zobaczę — tu serce zabiło mi jak młot pneumatyczny — UFO!!! Najprawdziwszy, świecący pomarańczowym światłem, niezidentyfikowany — no, może nie tak zupełnie — obiekt latający! Czy jeszcze kilka godzin temu mogłem przypuszczać, że młodego pisarza spotka taki zaszczyt? Nie w wyobraźni, ale w rzeczywistości? życie jest piękne. Felek położył mi rękę na ramieniu i powiedział jak ojciec:

— Nie możesz teraz iść z nami. Czekałaby cię pewna śmierć. Nie jesteś uodporniony na promieniowanie grundmarynowe. Sam rozumiesz. Przyjdź kwadrans po piątej nad rzekę, zobaczysz nasz start.

Czemu nie miałbym rozumieć. Z pewnym ociąganiem zdjąłem kurtkę, a potem buty. Bożydar otworzył drzwi na korytarz. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale Felek ostrzegawczo



przyłożył palec do ust i dał mi do zrozumienia, żebym teraz milczał. Jeszcze raz mocno uścisnęliśmy sobie dłonie. Felek pochylił się i powiedział mi szeptem do ucha:

— Jeszcze raz serdecznie dziękujemy za pomoc. Nigdy nie zapomnimy tej przysługi. Pamiętaj, bądź nad rzeką nie później niż kwadrans po piątej!

Usłyszałem kroki zbiegającego po schodach Bożydara, po chwili zawtórowały im kroki Felka. Spoglądałem przez chwilę w ciemny otwór bramy. Miałem nadzieję, że może jednak wrócić. Ale nie, kroki ucichły. Zamknąłem drzwi.

Czułem się jak bokser po zainkasowaniu mocnego ciosu. Nie w pełni uświadamiałem sobie, co się właściwie stało. Gdzieś w środku gnębił mnie niepokój. Nie potrafiłem ustalić, jaka była tego przyczyna. Czułem zarazem radość i smutek. Usiadłem w fotelu i zapaliłem papierosa. Przez uchylone okno znów popatrzyłem na gwiazdy. Posłałem w ich kierunku kilka kółek papierosowego dymu. Czy to wszystko naprawdę się wydarzyło? Na zakurzonej powierzchni kredensu pozostało kilkanaście ciemniejszych kółek — tutaj stał miśnieński serwis. Nastawiłem budzik na 4.45; w ciągu dwudziestu minut zdążę dojechać nad rzekę i zobaczę, jak to dzięki mojej pomocy UFO startuje w przestworza. Wyciągnąłem przed siebie nogi, było mi wygodnie i sennie, nie czułem już niepokoju. Nie zdążyłem zgasić światła, zasnąłem.

Obudził mnie chłód. Pod powiekami miałem jeszcze strzępy fantastycznych kosmicznych snów — zapamiętałem

tylko kilka kolorowych plam, nic więcej. Spojrzałem na budzik i dopiero wtedy dotarła do mnie pamięć o wydarzeniach nocy. Pięć po piątej!!! Już powinienem być nad rzeką!!! W obłądnym pośpiechu ubrałem się i wypadłem na zewnątrz, żeby nie tracić czasu, nie zamknąłem drzwi na klucz. Biegłem jak ścigany złodziej. Może zdążę, może jeszcze nie odlecieli... Od czasu do czasu spoglądałem w niebo. Czy przypadkiem nie lecą? . Minąłem kilka ulic, już dawał się słyszeć szum rzeki, o tej porze nie zagłuszał go jeszcze gwar ulicy. Wpadłem w zarośla — jest przystań. Zdyszany przystanąłem i zacząłem się nerwowo rozglądać. Nie zauważyłem nigdzie najmniejszych śladów działalności czy obecności przybyszów z nieznannej planety. Kręciłem się w kółko po podmokłym terenie, zszedłem aż nad sam brzeg rzeki, rozchyliłem kilka kęp krzaczastych zarośli... Guzik! Powoli docierała do mnie przykra świadomość — już odlecieli. Ze złości kopnąłem kilka kamieni. Nie przyniosło mi to ulgi. Nad rzeką zaczęła się zbierać mgła.

Przeskakując zalane wodą dołki, kierowałem się w stronę domu. Cóż innego mogłem teraz zrobić? Uszedłem może piętnaście, dwadzieścia kroków, kiedy dobiegł mnie dziwny, niski i miarowy dźwięk od strony rzeki. Odwróciłem się szybko. Źródło dźwięku przybliżało się z każdą sekundą. Nie mogłem jeszcze nic dojrzeć; to coś znajdowało się za zakrętem rzeki, a samo zakole przesłonięte było niewysokim, ale gęsto porośniętym pagórkiem. Podeszedłem bliżej — znów upłynęło kilkanaście sekund — i oto zza zakrętu wychylił się ogromny, pomarańczowy...

Stałem jak sparaliżowany. Nie ze strachu, ale z niespodziewanej emocji włosy na głowie zjeżyły mi się jak ryżowa szczotka. Za chwilę pewnie poderwie się do góry. W oparach mgły mogłem rozróżnić niektóre elementy urządzeń technicznych zainstalowanych na korpusie. O tam, po prawej, koło tego wielkiego bębna, to chyba wylot komory jonizacyjnej — naprawili. Gwałtowny powiew wiatru rozwiął na chwile mgłę. Roześmiałem się głośno.

Właśnie mijała mnie stara, pocziwa pogłębiarka, pomalowana na z daleka widoczny pomarańczowy kolor. Znów się roześmiałem i zdecydowanym krokiem ruszyłem do domu. Z od dali trzykrotnie dobiegło mnie wycie syreny.

W domu stwierdziłem, że wszystko w porządku — nikt nie skorzystał z otwartych drzwi. Nie, wcale nie czułem się nabity w butelkę. Chciałem pomóc, no to dałem tych kilka drobiazgów — i tak nie były mi potrzebne. Postawiłem czajnik z wodą na gazie. Ranki nad rzeką są chłodne. Pomyślałem, że lepiej nikomu nie mówić o wydarzeniach minionej nocy. Po pierwsze, nikt by w to nie uwierzył, najwyżej mógłbym dorobić się opinii przygłupa. No a jeśli ktoś zapyta o serwis, który zawsze przecież stał na kredensie? To powiem, że sprzedałem kolekcjonerowi porcelany, o właśnie... Gdyby jednak to wszystko opisać? Tak, mogłoby wyjść z tego nie najgorsze opowiadanie. Przyniosłem papier i długopis. Siadłem przy oknie, w czajniku wesoło bulgotała woda. Zacząłem pisać:

„Wstałem od biurka, zrobiłem kilka przysiadów i otworzyłem okno. Wydawało się, że od rozgwieżdżonego nieba oddziela mnie tylko pajęczyna firanki...”

## O, CZASY...

Śpiewaj, śpiewaj, mój elektroniczny ptaszku, dopóki nie wyczerpie ci się bateria. A ja popatrzę sobie na niebo przez iluminatorek naszego mieszkanka na 460-y piętrze betonowego domu. Przynajmniej z tej wysokości nie widać totalnego upadku dobrych obyczajów i zasad, o którym tam na dole trąbią, że to postęp. Tak, mój ptaszku... Nie tak się działo za moich czasów, kiedy byłem jeszcze młodym i pełnym energii chłopakiem. Wszelkie prawdziwe wartości, które wpajano mi od dziecka, dziś leżą w gruzach, są niemodne i staroświeckie. Byle wyrostek może je podeptać i jeszcze się urągliwie uśmiecha. Zwrócić takiemu uwagę, to zaraz od szczeknie:

— Od pouczania, dziadku, są komputery, a jak ci się nie podoba, to do rury hibernacyjnej! Albo wskocz do arterii wtórnego obiegu, dla nas młodych będzie z tego pożytek!

Przykro tego słuchać staremu człowiekowi. Ale co robić? ćwierkaj, ptaszku, ćwierkaj... Gdybym zdecydował się na coś ostatecznego, nigdy nie będzie to rura hibernacyjna. Raczej wybiorę skok do wtórnego obiegu. Ciebie, mój ptaszku, mały przyjacielu, też zabiorę tam z sobą. Przerobią nas na atomy i molekuly, nareszcie wrócimy do natury, spełnią się nasze marzenia. Boli mnie tylko świadomość, że po powtórnej obróbce

możemy stać się jakimś paskudnym kawałkiem plastiku... Ale czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie? Nie chcę wiedzieć, jaki ten świat będzie w przyszłości, bo wiem, jaki jest teraz. O, chmura oblepiła szkiełko iluminatora, nie widać już ani nieba, ani słońca. Byle tylko nie była kwaśna, bo może przeżreć uszczelkę, wtedy ja bym uległ silnemu zatruciu, a ciebie, mój ptaszku, w try miga zjadłaby korozja.

Tak, pora spać i nie myśleć o dniu jutrzejszym. Zaraz ci wyłączę, mój mały, napracowałeś się dzisiaj. Mnie też należy się odpoczynek — starość nie radość. Zaraz sobie wstrzykniemy jakiś łagodny narkotyk, popijemy to wódka, założymy maskę tlenową — i spać do rana jak Pan Bóg przykazał. Kto dziś bierze narkotyki albo pije alkohol? Nas, tradycjonalistów, można by na palcach jednej ręki policzyć. Nie tak kiedyś wyglądała ucieczka od rzeczywistości, nie tak... Hibernacja indywidualna znajdowała się dopiero w fazie prób. Mało kto wtedy przewidywał, do czego to doprowadzi, jak wiele złego przyniesie masowa produkcja rur hibernacyjnych.

Pamiętam, jak byłem jeszcze małym dzieckiem, ojciec i matka zawsze w niedzielę zabierali mnie do ekskluzywnej kawiarni. Szliśmy tam wolno — spacerowym krokiem, trzymając się za ręce — w serdecznym, rodzinnym uścisku. Ojciec głaskał mnie po głowie, a matka patrzyła na niego takim ciepłym i głębokim wzrokiem. Byłem wtedy naprawdę szczęśliwy... Siadaliśmy uśmiechnięci w wygodnych kawiarnianych fotelach, matka zawsze dowcipkowała na ten temat — znad stolika

wystawały mi tylko czoło i oczy – byłem wtedy mały jak krasnoludek... Prawie natychmiast zjawiał się wytworny kelner. Mówił: Moje uszanowanie państwu. Co dla państwa? Co dla małego? Dla siebie i dla matki ojciec zamawiał zawsze dwie strzykawki heroiny, a dla mnie, jako że byłem jeszcze bardzo małym chłopczykiem, papierosa z marihuaną i 100 gramów słodkiej wódki; była to zazwyczaj wiśniówka, którą bardzo lubiłem.

Oczywiście nie był to ordynarny bar samoobsługowy, ale elegancki lokal. Kelnerzy uwijali się po sali jak w ukropie, robili zastrzyki gościom, doradzali, w które miejsce najlepiej wkuć igłę, informowali, jakie mieszanki narkotyczne są najmodniejsze w danym sezonie. A wszystko odbywało się dyskretnie i elegancko. Ojciec zawsze dawał kelnerowi napiwek na małą heroinę, taki zwyczaj tutaj panował. Wychodziliśmy zadowoleni i szczęśliwi, nie pamiętając o troskach i problemach dnia powszedniego. Nie mogłem ustać na nogach, dlatego ojciec mnie niósł. Do domu wracaliśmy w milczeniu, matka kładła mnie do łóżeczka i spałem aż do wieczora. Tak, to były piękne czasy, czasy dobrych manier i wykwintu, nie to, co teraz. Łza się w oku kręci... Tylko wspomnienia pozostały. I to ozdobne etui na strzykawki, które otrzymałem od matki na piętnaste urodziny – mój największy skarb, który przechowuję z wyjątkową pieczołowitością. O, tutaj, na odwrocie, jest wygrawerowane moje imię, nazwisko i data. Dawniej do dobrego tonu należało wstrzykiwanie sobie narkotyku w miejscu publicznym – w zgięciu kciuka i palca wskazującego lewej ręki. Był z tym

związany cały ceremoniał – wyjmowanie strzykawki z etui, nakładanie igły... Zawsze też można się było spodziewać, że ktoś, nawet przygodny przechodzień, ukłoni się elegancko i powie:

– Na zdrowie, szanowny panie! Precz ze smutkami i zwątpieniem!

Nie wrócą już te czasy, nie wrócą... żywe są jeszcze w pamięci starego dziwaka z mieszkanka na 460-ym piętrze. Do powszechnego upadku obyczajów doprowadziła masowa produkcja rur hibernacyjnych i łatwy do nich dostęp bez względu na wiek, płeć czy intelektualną kategorię zaszerogowania osobniczego. Każdy może taką rurę nabyć i w ciągu godziny zapaść w stan hibernacji – na 20, 40, 50 albo i 100 lat. Najtańszą można kupić za 120 kosmolów w automacie znajdującym się w prawie każdym sklepie. 120 kosmoli! Przecież to mniej niż połowa przeciętnego uczniowskiego stypendium! Zgroza człowieka ogarnia co do dalszych losów naszej cywilizacji. Ileż to tragedii rodzinnych wydarzyło się z powodu tego szatańskiego wynalazku! Matka traci dziecko na bliżej nieokreślony czas, dzieci tracą ojca albo dziadka... Małżonkowie tracą ze sobą kontakt na długie lata, by z reguły potem rozstać się już na zawsze. Nie ma dnia, żeby do mojej skrzynki na listy ktoś nie wrzucił prospektu reklamowego jakiejś firmy produkującej rury hibernacyjne; zebrałem już tego ponad 1200 egzemplarzy i końca nie widać. We wszystkich właściwie tekst jest ten sam:

„Masz kłopoty w pracy?

Nie lubią cię sąsiedzi?

Nie możesz już patrzeć na żonę?

Bezskutecznie poszukujesz sensu egzystencji?

Nie zwlekaj więc z zakupem rury hibernacyjnej Firmy New World Inco., która stanie się radykalnym środkiem zaradczym na twoje problemy. Zobaczysz, za dwadzieścia lat świat będzie inny, lepszy. Rozpacz dnia dzisiejszego, która ogarnęła cię wszechwładnie, jutro będzie tylko mglistym wspomnieniem. Zapamiętaj, New World Inco. Gwarantowana jakość, miłe przebudzenie, konkurencyjna cena...”

Tak, tak, ból istnienia, kłopoty w pracy, żona czupiradło... Ładuj się, bracie, do rury, i po kłopotach! Zostaw to wszystko, niech się inni martwic za ciebie. Co sobie będziesz głowę zawracał? Wszyscy do rur! Nie ociągać się! Nie marudzić! Za dwadzieścia lub pięćdziesiąt lat obudzimy się zdrowi, wypoczęci i beztroscy — żadnych problemów i konfliktów na Ziemi nie będzie. Prześpimy je słodko w rurach hibernacyjnych Firmy New World Inco. Frajer ten, kto tego nie zrobi!

Przerażenie mnie ogarnia, gdy widzę taki karygodny brak odpowiedzialności. To narkotyk i alkohol już nie wystarcza!?! Zamrozić się trzeba koniecznie!?! Pozwolić bezdusznym mechanizmom wypompować całą krew i płyny fizjologiczne? Dać sobą rzucać, przewracać, pomiatać na tych samych prawach co pojemnik ze śmieciami! Wystarczy wyjść na zewnątrz — gdzie nie spojrzeć, na ziemi, w piwnicach, na strychach, w garażach, parkach, walają się rury hibernacyjne z niezadowoloną z życia zawartością. Służby miejskie ładują je jak się da na agregat sprzątający i wywożą za miasto, na plac koło wysypiska śmieci,



gdzie wywalają je bez ceregieli, tyle że posortowane na grupy według zaprogramowanych okresów otwarcia. Pod wpływem rozmaitych organizacji dobroczynnych burmistrz wysupłał z miejskiej kasy nędzne grosze na opłacenie wyjątkowo paskudnie wyglądającego indywiduum — to pewnie od ciągłego przebywania na otwartej przestrzeni, gdzie jak wiadomo skażenie powietrza jest największe... Więc to indywiduum ma obowiązek pilnować tego składowiska rur za miastem, żeby ich ktoś nie zniszczył, bo i takie wypadki się zdarzały. Jak tylko wyczerpany zostanie program hibernacji i jakaś rura z hukiem odrzuci, wieko a zaraz potem ze środka wygramoli się rozespany i odrętwiały klient firmy, powiedzmy, New World Inco., zjawia się to indywiduum — karykatura człowieka — i prosto do dziołba podtyka hibernatowi termos z gorącym kakao. Na rozgrzewkę. Pyszne powitanie, ani słowa, szczególnie w czasie złej pogody. Wieko odpada, na gołe ciało deszcz leje jak z cebra, zimno jak diabli, a tu zjawia się c o ś, co wiecznie pociąga nosem, oczy ma zaropiałe i zachrypniętym głosem mówi: — Witaj, przyjacielu, kłopoty masz już za sobą. Cieszysz się? — Acha, cieszy się, cieszy tak bardzo, że często po kilku łykach kakao i zlustrowaniu wysypiska śmieci wraca do swojej rury i programuje ją na następne pięćdziesiąt lat. Jeżeli oczywiście zakupiona rura nadaje się do wielokrotnego użycia. Ostatnio burmistrz oświadczył publicznie, że ze względów oszczędnościowych zrezygnuje z usług człowieka od powitań i termosu z kakao. Ma go podobno zastąpić wyjątkowo inteligentny owczarek alzacki. Już go do tego celu tresują.

A czemu to przestałeś ćwierkać, mój ptaszku, no tak, przecież wyłączyłem cię przed chwilę. O czym to ja mówiłem? Acha, o tych... Oczywiście nie neguję potrzeby czasowej hibernacji, ale powinna to być świadoma decyzja, podjęta przez dojrzałego człowieka o wrażliwej osobowości i romantycznej duszy, a nie masówka! Wystarczy, że uczeń dostanie dwójkę w szkole, że dziadek skarci wnuczka albo żona zrobi awanturę mężowi — i już masz babo placek! Na złość szkole, na złość rodzinie włączę, do rury i cześć! Do zobaczenia za trzydzieści lat — może wtedy nie będzie już szkoły i nauczycieli, którzy stawiają dwóje za nieuctwo!?! Ojciec nie chce kupić dorastającemu synowi grawitolotu? Zaraz szantaż:

— Nie kupisz? Dobrze, zobaczymy się za pięćdziesiąt lat, może wtedy zmienisz zdanie!

Czy to nie okropne? Ale i na desperatów jest sposób. Opowiadano mi ostatnio o jednym, a jakże, dojrzałym człowieku, który miał dość wszystkiego — niechlujnej żony, pyskatej teściowej i niegrzecznych dzieci. Po kryjomu zakupił rurę i tylko czekał na odpowiedni moment. Nie wiedział, że jego zamiary przejrzała teściowa. Kiedy tylko wszedł do rury zaprogramowanej na pięć lat i zatrasnął za sobą wieko, zaraz to samo uczyniła żona, teściowa i dzieci. A kiedy obudził się po pięciu latach, w tej samej chwili obudziła się cała kochana rodzinka, która przez ten czas wyhodowała w sobie jeszcze więcej złości. Awantura trwała podobno całą noc. No i dobrze mu tak, nie trzeba było włączyć do rury.

Upadek, jeszcze raz powtarzam, że moralność upadła i wszelkie dobrodziejstwa z moralności wynikające razem z nią pograżyły się w otchłani zła. Mało już oficjalnie popieranej i propagowanej produkcji trumienek dla naiwnych, to jeszcze rozplenila się niczym zaraza nielegalna działalność hibernacyjna, w częstokroć prymitywnych, montowanych domowym sposobem rurach — bez żadnej gwarancji na przeżycie. Wykorzystuje się tu w sposób bezwzględny nagłe i niespodziewane momenty słabości nieszczęśliwych ludzi — kiedy wszystkie sklepy są pozamykane, a do świtu jeszcze daleko. Właśnie nocą znakomicie prosperuje rozmaite meliny hibernacyjne. Każdy dzieciak z ulicy wie, gdzie taka melina funkcjonuje — wystarczy tylko zapytać. Za kilkanaście kosmoli można nabyć rurę i poddać się hibernacji choćby na miejscu. Dyskrecja zapewniona. Potem właścicielka meliny jak gdyby nigdy nic wynosi rurę na wysypisko śmieci — i po kłopotcie. Kolejny klient został nabity w butelkę. Jasne, że podatku od takiego proceduru nikt nie płaci. Po cichu więc rosną ogromne fortuny, ze szkodą dla dobra społecznego. Co mnie też martwi osobiście.

Władze miejskie potępiają nielegalną hibernację i nie szczędzą sił na zwalczanie tej plagi, ale jest to typowa walka z wiatrakami. W zeszłym tygodniu sam byłem świadkiem, jak stójkowy naszego rewiru wykrył taką melinę. Zatrzymano właścicielkę; owszem, rur hibernacyjnych było tam tyle, że wywieziono je dwoma grawitolotami transportowymi. Wszystko to wyglądało bardzo spektakularnie... Cóż, poprzednik tego stójkowego też początkowo zwalczał, gonił i wykrywał, aż pewnego

dnia znaleziono niepozorną rurę hibernacyjną domowego wyrobu z jego kodem osobowym. Podobno do pracy w swoim rewirze powróci dopiero za osiemdziesiąt lat.

Do kogo i po co ja to właściwie mówię? Co może zmienić gładzenie starego, samotnego człowieka? Nigdy nie potrafię zrozumieć obecnych czasów, a tym bardziej przystosować się do nich. Gdyby tak można było cofnąć się w czasie i przestrzeni...? Chciałbym jeszcze raz przeżyć choć jeden dzień z mojego dzieciństwa, z tych dobrych lat, kiedy to w pogodne południe szeroką spacerową aleją szedłem z rodzicami do eleganckiej kawiarni... Potem mógłby już nawet być ten wtórny obieg... Czemu nie śpiewasz, ptaku — elektroniczna kukło? Bo cię wyłączyłem? Powinieneś śpiewać, i to tak słodko jak nigdy dotąd! Energii ci brakuje... Jesteś w zмовie z tymi przekłętymi hibernatami. Ty przedmiocie! śpiewaj! Słyszysz...?!

## MUZEUM

Natura nie obdarzyła mnie bujną wyobraźnią, właściwie mógłbym powiedzieć, że jestem zupełnie pozbawiony wyobraźni. Kalectwo to zawsze utrudniało mi życie, szczególnie w momentach kiedy kazano mi coś sobie wyobrażać. Obyś ty cudze dzieci uczył, myślał z sarkazmem i złością pan nauczyciel, prosząc mnie, bym sobie wyobraził małą, drugą stronę Księżyca albo staruszkę oczekującą, pomocy na trasie szybkiego ruchu, wśród rozpędzonych samochodów. Stałem wtedy bezradnie na środku klasy i bezmyślnie gapiłem się na wszystkie, jakże mi bliskie konkretne przedmioty i konkretne osoby. W głowie miałem pustkę i zamęt. Pan nauczyciel moje milczenie interpretował zgodnie z własnym sumieniem i najnowszymi osiągnięciami współczesnej pedagogiki:

— Mogę zrozumieć, że nie potrafisz sobie wyobrazić zakrzywienia przestrzeni wynikającego z teorii względności, chociaż w naszych czasach jest to również karygodne, ale znieczulicy na ludzką krzywdę znieść nie mogę (w tym momencie staruszka wtargnęła na jezdnię i potrafiła ją ciężarówka). Nie potrafisz wyobrazić sobie, że ktoś oczekuje od ciebie pomocy? Kiedyś i ty będziesz stary i niedołężny, sam się wtedy przekonasz, co to znaczy. Niech jutro przyjdzie ojciec albo matka!

Jakieś wykształcenie jednak w końcu zdobyłem — konkretny fach oparty na prawach matematyki i szarej rzeczywistości. Planowanie rozkładów jazdy pociągów towarowych jest pracą pożyteczną, wymaga pilności i sumienności, przełożeni i koledzy lubią mnie i szanują, a przede wszystkim — co dla mnie jest najważniejsze — nikt mnie nie zmusza, bym wyobrażał sobie różne takie... Tylko na wczasach w Ciechocinku, gdy na wieczorku zapoznawczym ładna dziewczyna mówi do mnie:

— Wyobraź sobie, że jesteśmy na Francuskiej Riwierze. Siadamy w wygodnych fotelach przy stole z ruletką i popijamy cinzano. Właśnie postawiłeś 10 żetonów — zwykle mruczę coś niewyraźnie pod nosem.

Brak wyobraźni nie oznaczał jednak w moim przypadku braku zainteresowania światem i przyrodzonej człowiekowi ciekawości. Zawzięcie uzupełniałem edukację. Fascynowała mnie astronomia, biologia molekularna, historia starożytna i wiele, wiele innych dyscyplin naukowych. Z trudem zdobywana wiedza konkretna sprawiła, że stałem się arcy mistrzem w rozwiązywaniu krzyżówek. Z tego powodu byłem nawet obiektem podziwu, a moja kolekcja wylosowanych nagród książkowych zajęła trzy półki w bibliotece.

Żeby jednak naprawdę odnaleźć się w tym niezmiernym oceanie nauki, nie mogłem poprzestać na przyswojeniu sobie książkowego opisu rzeczy i zjawisk, gdyż z powodu braku wyobraźni byłoby to przelewanie z pustego w próżne. Doskonale zapamiętywałem rozmaite nazwy, ale żeby osiągnąć prawdziwą

wiedzę, musiałem koniecznie desygnaty tych nazw zobaczyć dotknąć, a nawet ich posmakować. W tym celu regularnie odwiedzałem obserwatorium astronomiczne, miejscowe prosektorium, a także ogród botaniczny. Po dawnemu nie potrafiłem wyobrazić sobie wynikającego z teorii względności zakrzywienia przestrzeni w Kosmosie, ale w innych dziedzinach postęp był widoczny. Najgorzej radziłem sobie z kojarzeniem tych faktów, które wedle oceny osób posiadających wyobraźnię miały donieść znaczenie i wiekopomne skutki. Dla mnie liczyły się tylko konkretne sytuacje, a co z nich mogło wynikać? Tej bariery mimo usilnych starań przekroczyć nie mogłem

Nie wiem, jak to się stało, że zainteresowałem się geologią, paleontologią, i w ogóle zamierzchłymi dziejami Ziemi. Tematyka bardzo ciekawa, trzeba przyznać, ale oczywiście w żaden sposób nie mogłem wyobrazić sobie, jak wyglądały te wszystkie olbrzymie skrzypy i paprocie albo dinozaury. Na szczęście w naszym mieście znajduje się Muzeum Najdawniejszych Czasów, a w nim skamieniałe szczątki wymarłych zwierząt i roślin. Muzeum to poza wycieczkami szkolnymi mało kto odwiedza, panuje tam spokój i cisza, idealne warunki, by bez żadnych przeszkód móc konfrontować zapamiętane wiadomości z niewyobrażalnie odległą w czasie rzeczywistością.

Poza bileterką i woźnym w muzeum nie było nikogo. Szurając filcowymi kapciami, z książką „Gady przedpotopowe” w ręku przechodziłem z sali do sali, oglądając uważnie wszystkie od kopane stare kości. Dużo tego było, znajdowano je w rozmaitych punktach globu ziemskiego — Gobi, Sahara zachodnia,

dolina Potomaku... Odczytywałem umieszczone na gablotach nazwy eksponatów — dinozaur, ząb brontozaura, czaszka pterodaktyla, grzywa lwa jaskiniowego. Niestety, w żaden sposób nie przemawiało to do mnie — nie potrafiłem wyobrazić sobie na przykład tyranozaura na podstawie dwóch zakurzonych kręgów szyjnych, które leżały w oszklonej gablocie. Dopiero w ostatniej sali znajdowały się rekonstrukcje tych zwierząt na podstawie odnalezionych szczątków.

Tak, to było coś dla mnie — nareszcie, nie tracąc czasu na jałowy wysiłek umysłowy, mogłem zobaczyć, jak te zwierzęta wyglądały naprawdę — takie duże, dzikie i krwiożercze. Człowiek byłby bezbronny oko w oko z takim potworem! Ale jakby się na takiego zasadzić z rusznicą przeciwpancerną? Z nagłej myśliwskiej emocji przyłgnąłem twarzą do chłodnej tafli szkła chroniącej eksponat. Odważnie spojrzałem potworowi w żółte ślepia. Cofnąłem się kilka kroków i wymierzyłem z wymagowanej strzelby prosto w zięjący dziesięciocentymetrowymi zębami otwarty pysk gada. Wystrzeliłem trzykrotnie: Bang! bang! bang...!

Akustyka w sali była znakomita, echo wystrzałów odbiło się od ścian jak grzmot przedpotopowej burzy. W tym samym momencie usłyszałem kroki biegnącego człowieka. Odwróciłem się w stronę drzwi. Do sali wpadł rozjuszony woźny. Podbiegł do mnie, łopocąc granatowym fartuchem jak nie przymerzając prymitywne ptaszysko z carbonu powleczonymi błoną skrzydłami. Zupełnie niespodziewanie wykręci! mi rękę w łokciu i wrzasnął:



— Ty złodzieju! Oddaj to zaraz!

Co rozsądnego mogłem w takich okolicznościach odpowiedzieć? Upuściłem więc trzymaną książkę prosto na nogę woźnego. Zasycała z bólu, książka była dość ciężką, i na moment zwolnił uścisk. Wystarczyło to, żebym mógł wydusić z siebie:

— Puść pan! No co jest, do cholery?

Puścił. Jak gdyby nigdy nic podniósł z podłogi książkę, założył na nos drucziane okulary i odczytał tytuł:

— „Gady przedpotopowe”, pan to czyta?

A co, czy za czytanie takich książek trzeba ręce w łokciu wykręcać? Właśnie w taki sposób chciałem go zaatakować, ale pomyślałem w porę, że przecież sam niejako przyczyniłem się do zaistnienia tego pożałowania godnego incydentu; to polowanie na potwora w gablocie na pewno nie było zbyt mądre. Roztarłem więc tylko łokieć, otrzepałem sweter i powiedziałem do woźnego, który z zainteresowaniem przeglądał książkę, rzucając na mnie od czasu do czasu uważne spojrzenie:

— Owszem, wie pan, czytam i konfrontuję to u was z tymi... To bardzo ciekawe...

Powiedziałem to, co powinienem powiedzieć, nie była to wymówka ani żadne usprawiedliwienie — nie zrobiłem przecież nic złego. Minę musiałem mieć jednak podejrzaną, by nie rzec, złodziejską. Podał mi książkę, jakby tym gestem chciał przeprosić za niespodziewaną napaść. Po chwili spokojnym głosem dodał:

— Ja wiem, że głupio wyszło, że tak naskoczyłem na pana, ale trzeba pilnować! Mało kto tu przychodzi, bywa, że przez

tydzień pies z kulawą nogą nie zajrzy, a jak już ktoś przyjdzie, to nie żeby pooglądał jak człowiek, nie. Szkody narobi i dopiero pójdzie. Dlatego jak tylko usłyszę, że coś się dzieje, zaraz biegnę... No, nie dalej jak miesiąc temu jakaś świnia ukradła jajo dinozaura! I po co? No powiedz pan? Pod kwokę podłożyć? W geesie sprzedać? Mieliśmy tu piękna rekonstrukcję mamuta, tak był dokładnie zrobiony, że palce lizać. Przyszła wycieczka szkolna. Flamastrami takie świństwa na nim popisali, że ja, stary chłop, jak musiałem to zmywać, to się wstydzilem, proszę pana! Ale takie teraz czasy nastały, nie ja temu jestem winien i nie mnie płacą za naprawianie ludzi. Mnie tylko eksponatów szkoda. Naprawdę to pana aż tak interesuje? To chodźmy, w piwnicy mam coś ekstra, tylko dla znawców i ludzi z wyobraźnią. Pokazywałem to różnym mądrałom, ale mnie wyśmiali. Powiedzieli, a zresztą pan nie wygląda na takiego, który by się ze mnie śmiał. Chodźmy, ja poprowadzę. Dzisiaj i tak już nikt nie przyjdzie.

Chcąc nie chcąc poszedłem za woźnym, który nazywał się Wasiak, za dwa lata zamierzał przejść na emeryturę, a do tego miasta przyjechał razem z żoną w ciąży zaraz w 45. Jak tylko się wojna skończyła. Wystraszyłem się trochę, gdy powiedział, że to, co chce mi pokazać, jest dla ludzi z wyobraźnią — a więc nie dla mnie. Mogło to oznaczać tylko i wyłącznie totalną kompromitację w oczach tego starego, poczciwego człowieka.

Przeszliśmy w milczeniu koło bileterki i jeszcze jednej kobiety w granatowym fartuchu. Szczególnie ta druga miała

nieprzyjemne, ironiczne spojrzenie. Gapiły się na nas jak na rarogów. Kiedy woźny otworzył szeroko drzwi prowadzące do piwnicy i zaczęliśmy schodzić po krętych i wąskich schodkach, usłyszałem, jak bileterka powiedziała do tej drugiej:

— Wasiak znowu znalazł jelenia!

Nie było czasu, żeby cokolwiek odpowiedzieć tej wstrętnej babie lub nawet zastanowić się nad znaczeniem tej przykrej dla mnie uwagi. Jakby jednak nie było, wyjdę przecież żywy z tej piwnicy. (Gdybym miał wyobraźnię, przyszłaby mi może na myśl „Czerwona oberża”).

Znaleźliśmy się w końcu w niewielkim pomieszczeniu z jednym maleńkim okienkiem po lewej stronie, z potwornie zabrudzonymi szybami i solidna krata. Pełno tu było tekturowych paczek i drewnianych skrzynek, porządnie poukładanych jedna na drugiej. Podłoga była pozamiatana, całe pomieszczenie wyglądało na zagospodarowane. W żadnym razie nie był to lamus, do którego wrzuca się niepotrzebne graty i nie dba o porządek. Wasiak zapalił światło, dyndając u sufitu żarówkę bez abażuru. Słowo daję, że od tego wcale nie zrobiło się jaśniej, ale to już sprawa Wasiaka, nie moja. W samym rogu znajdowała się skrzynka przykryta gazetą, a na niej kuchenka elektryczna, czajnik, dwie szklanki, łyżeczka i cała torba cukru. Wasiak chroni się tu pewnie przed złośliwościami tych dwóch bab z parteru, pomyślałem. Zauważył, że rozglądam się po pomieszczeniu, ale odczytał to jako wyraz zniecierpliwienia i powiedział:

— Zaraz. Poczęstowałbym pana herbatą, ale nie ma wody... Musiałbym wchodzić na pierwsze piętro, a w moim wieku pan rozumie.

Przyciągnął dwie skrzynki, przykrył je gazetami i poprosił, żebym usiadł. Zrobiło się swojsko i rzekłbym, biwakowo. Poczęstował mnie landrynką, odmówiłem, bo właśnie miałem ochotę na papierosa, wyciągnąłem paczkę „Klubowych”. Zatrzepotał rękami:

— Nie, proszę pana, tutaj nie wolno palić, ja tu przechowuję bardzo cenne eksponaty, rzucające nowe światło na historię Ziemi, mogłyby się spalić...

I zaczął wyciągać te swoje skarby. W każdej skrzynce, zdaniem Wasiaka, znajdowało się coś zupełnie rewelacyjnego. W jaki sposób wszedł w posiadanie tego zbioru? Opowiedział mi o tym.

— Przywożą te swoje wykopaliska, szanowny panie, do naszego muzeum. Nie wiem skąd, nie wiem gdzie to wykopano, mnie to nie interesuje.. Jak oni, znaczy ci naukowcy, mierzą, ważą, czyszczą te kości, potem rekonstruują, to ja tylko słyszę: Panie Wasiak, weź pan to kubelko i wyrzuć pan wszystko na śmieci! Panie Wasiak, spal pan to w kotłowni! Pospiesz się pan, panie Wasiak! A ja nic, tylko się uśmiecham. Owszem biorę te, ich zdaniem, rupiecie, ale ani myślę wyrzucać je na śmietnik albo palić. Tutaj je przynoszę, proszę pana!!! Tutaj! I dopiero jak wszyscy sobie pójdą, zakładam okulary, biorę lupę do ręki i zaczynam wszystko dokładnie oglądać, śmieją się ze mnie, już mnie przezwali Wasiak- Däniken, stukają się w czoło na mój widok... Nie wierzą mi, ale ja swoje wiem! Może wreszcie ktoś z wyobraźnią doceni wartość moich znalezisk i ich epokowe znaczenie? Może właśnie pan? Niech pan tylko na to spojrzy...

Ja? Szanowny panie Wasiak, gdybym miał choćby odrobinę wyobraźni, na pewno doceniłbym wiekopomne i rewolucyjne skutki pańskiej mrówczej pracy tu, w słabo oświetlonej piwnicy, wśród stosów skrzynek i tekturowych pudełek. Ale cóż, nie mam wyobraźni, nie będę jej miał nigdy... Jedyną rzecz, którą mogę zrobić, to wykrzywić gębę, żeby wyglądała na zachwycona i zarazem mądrą, żeby panu nie było przykro.

No i zobaczyłem wreszcie te „cudowności” Wasiaka. Każda skrzynka czy pudełko były ponumerowane, każdy eksponat miał przyczepiona karteczkę z nazwą miejsca znalezienia i datą. Wszystko wykonane dokładnie i precyzyjnie, jak w moich rozkładach jazdy pociągów towarowych. To mi się podobało. Każdy eksponat Wasiak odpowiednio komentował, choć jak na moje wymagania zostawiał zbyt wiele niedomówień. Stawiał mi też pytania, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Całe szczęście, że na razie nie wymagał odpowiedzi. Z niezdrowym błyskiem w oczach pokazywał mi coraz to inne znaleziska, tak beztrąsko i bez zastanowienia uznane za bezużyteczne śmieci. Od czasu do czasu tylko wtrącałem krótkie zdanie lub monosylabę.

— Wie pan, co to jest?

— No... chyba bursztyn, kawałeczek bursztynu.

— Właśnie. A co jest w środku tego bursztynu? Niech pan dokładnie się przyjrzy...

— E... wygląda na sprężynkę od długopisu. Zatopioną w środku.

— Niesamowite, prawda?

— Tak, bardzo ładne.

— A to?

— Łapa jakiegoś ptaka, z obrączką.

— Nie jakiegoś, tylko pteroptaka. żył dwa miliony lat przed naszą erą. Wtedy jeszcze nie było człowieka na tej planecie! A tu proszę, „metalowa obrączka! Oczywiście domyśla się pan, k t o za tym stoi? Kto te obrączkę założył pteroptakowi na łapę?

— Ornitolog?

— Ma pan poczucie humoru. Jak kiedyś pokazałem to jednemu profesorowi, powiedział mi, że to niepoważne, że te musi być łapa bociana albo czapli i że powinienem to zanieść na stację ornitologiczną, to może dadzą mi na piwo. A przecież ja to tutaj znalazłem! Przywieziono to z Wyspy Wielkanocnej! Temu profesorowi nawet nie chciało się spojrzeć na układ kostny. Z góry założył, że to, co mówię, jest niemożliwe i nieprawdziwe! Jak tak można, przecież w ten sposób świadomie wypaczamy nasze spojrzenie na najdawniejsze czasy Ziemi! Gdzie obiektywizm naukowy?! Jak pochwaliłem się tym bursztynem ze sprężynką, to mi powiedzieli, że to na pewno kawałek podbarwionego na żółto pleksiglasu...! Ręce opadają, proszę pana.

Siedziałem spokojnie na skrzynce i nie śmiałem przerwać Wasiakowi. A nuż wpadłoby mu do głowy zapytać mnie o coś. Oczywiście w dalszym ciągu nie domyślałem się doniosłych implikacji wynikających z Wasiakowych znalezisk. Po frontalnym ataku na małostkowość i zaślepienie przedstawicieli współczesnej nauki Wasiak zaprezentował mi jeszcze szczękę Homo erectus ze złotym zębem, coś jakby kask motocyklowy, który znalazł podobno w wysuszonym na papier żołądku

tyranozaura (badał, penetrował tę naszą planetę i nawet mu pogrzebu nie sprawili), metalową tuleję wydobytą z bryły węgla kamiennego, rulon papieru (prawdopodobnie gazeta nie wiadomego pochodzenia, bardzo stara, znaki graficzne zupełnie zatarte i nieczytelne) służący komuś w zamierzchłych czasach jako mucho-packa. Wasiak zeszkrobał z powierzchni papieru skrzydełka, nóżki i łebki, które jak się okazało, należały do praprzodków naszych much domowych. Wedle Wasiakowego datowania pogromy much dokonywane tym rulonem miały miejsce nie później niż 800 tysięcy lat temu. (Gryzły i c h, napastowały, to się oganiali, czym mogli, pan by to samo robił).

I to był ostatni eksponat, który miałem zaszczyt obejrzeć, a nawet dotknąć. Nie rozumiałem, w jakim celu woźny zebrał to wszystko i dlaczego mi to pokazuje. A zapewniał mnie, że to będzie coś rewelacyjnego, coś ekstra... Szczerze mówiąc, dużo ciekawiej było tam na górze — w salach ekspozycyjnych. Dlaczego nie wyrzucił tego na śmieci albo nie spalił w kotłowni, jak prosili go o to naukowcy? Jest pan wielkim dziwakiem, panie Wasiak. Ostrożnie wstałem, ukloniłem się grzecznie (zawsze uczono mnie, że trzeba mieć szacunek dla starszych bez względu na kontekst, w którym występują) i już myślałem, że wyjdę, gdy Wasiak zadał mi pytanie — jak pchnięcie nożem w plecy:

— A teraz pochwal się pan swoją wyobraźnią, młody człowieku. Proszę mi powiedzieć, co pan o tym wszystkim sądzi. Zebrałem przecież dowody nie do zbiccia. Dowody ich pobytu... Czy nie nadszedł już moment ujawnienia mojej kolekcji? I to

całemu światu? Nic pan dotychczas nie mówił. No to słucham pana, panie młody...

Zabrakło mi śliny, by zwilżyć suchy język i wargi, a jednocześnie oblałem się potem — jak w saunie. Drżały mi ręce. Nie potrafiłem zachować godności osobistej w obliczu kompromitacji, choć który to już raz w życiu z powodu ii wyobraźni wychodziłem na tumana i durnia? Mimo wszystko mógłbym po prostu wyjść, ale Wasiak spoglądał na mnie coraz agresywniej. Zebrałem się wreszcie jakoś w sobie i powiedziałem:

— ...Myślę, że... jak najbardziej... Powinien pan rozpropagować... Najlepiej będzie, jak pan przekaże swoje zbiory... miejscowej drużynie harcerskiej, będę je na zbiórkach czyścić, dbać o nie... i... i pokazywać harcerzom z innych drużyn...

Bardziej chyba obraziłem Wasiaka niż ci wszyscy profesorowie, którzy tylko się z niego śmiali. Byłem nawet zadowolony, kiedy z pianą na ustach zaczął rzucać we mnie pustymi skrzynkami. Mogłem po prostu uciec z tej piwnicy. I tak też zrobiłem! Zatrzasnąłem za sobą drzwi i krętymi schodkami wbiegłem na górę — dopiero tutaj zaczerpnąłem głębiej powietrza... Tam na dole hałas nie ustawał — Wasiak ryczał jak przedpotopowy zwierz (książki „Gady przedpotopowe” nie zdążyłem zabrać, ale na szczęście nie była zbyt droga i nie z biblioteki) i dalej rzucał skrzynkami. Oparta o drzwi wejściowe bileterka zachowywała całkowity spokój, jakby nie pierwszy raz była świadkiem takiej furii. Spojrzałem na nią wymownie. Powiedziała jak gdyby nigdy nic:



— Nie przez główną bramę, za daleka droga. Od wejścia w prawo przez park, a potem przez płot. O, już poleciał psy spuścić! I bez krępacji. nie tacy jak pan tą drogą uciekali. Szybko, szyb ko, już słyszę jak Brutus ujada!

Nie pytałem o nic więcej. Co sił w nogach pobiegłem wskazaną przez bileterkę drogą. Rzeczywiście było krócej, gdybym pobiegł normalną drogą, ani chybi Brutus by mnie dopadł.

Kiedy przeskakiwałem przez płot, z wrodzonym brakiem wyobraźni nie przewidziałem, że po drugiej stronie znajduje się głęboki wykop pod kolektor...

I w ten właśnie sposób znalazłem się tutaj, panie doktorze. A teraz niech mi pan powie szczerze, czy współczesna medycyna jest w stanie złożyć tak skomplikowane złamanie kończyny? Bo ja nie potrafię sobie tego wyobrazić...

# WENTYL BEZPIECZEŃSTWA

## I

Czarny obszar nieba przecięła jasna smuga, jak pęknięcie lodu na zamarznętej rzece. Swoją regularnością odcinała się wyraźnie od rozrzuconych w kosmicznym bałaganie gwiazd.

Planeta Ziemia, rok 2138. Pokój, dobrobyt, ład i porządek. Dwanaście miliardów ludzi różnych ras i narodowości bez strachu spogląda w przyszłość. Nie sprawdziły się apokaliptyczne prorocтва i wizje zagłady w wyniku wojny światowej — tak popularne szczególnie pod koniec XX wieku. W roku 2050 odbył się niecodzienny w historii Ziemi pogrzeb. W ostatnia drogę w kierunku Słońca udały się załadowane nuklearnym arsenałem promy transportowe. Za konduktem żałobnym nie podążał nawet — jak to kiedyś mówiono — pies z kulawą, nogą. Nikt też nie płakał, chociaż start żałobnej armady obserwowało z napięciem 10 miliardów ludzi. Nastąpił oto moment, kiedy mieszkańcy trzeciej planety układu mogli sobie powiedzieć:

— Nareszcie zerwaliśmy z niechlubną, wielowiekową historią wojen, mordów i grabieży, staliśmy się pełnoprawnymi obywatelami Wszechświata, istotami rozumnymi w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Każdy, kto uważał się za istotę rozumną, mógł żyć na Ziemi spokojnie i dostatnio. Jeśli nie... No cóż — Kosmos jest taki ogromny...

## II

— Nie przerywaj mi! Demagogia? Tak? Wiem, że ty byś najchętniej wszystko zburzył. Po co w ogóle masz lecieć, zacznij lepiej tu na Ziemi tę swoją robotę... Ależ oczywiście, że obejdziemy się bez ciebie, jednego idioty mniej. Wcałe cię nie obrażam. Nie o to mi chodzi... Wiem... Wiem... I tak cię nie przekonam, przecież nie słuchasz, co do ciebie mówię. Dla ciebie jestem tylko głupią babę,, która nic nie rozumie... A że przy okazji jestem twoją matką? Co, nie płacz? Twój zwariowany ojciec zmarnował mi życie, a teraz ty chcesz mnie dobić! Aha, jest asem myśliwskim? Ma znakomite wyniki? I ty jesteś z tego dumny? No to leć, zabijaj!!! Szukaj tego swojego sensu życia, siłą cię przecież nie zatrzymam! O tym, co się ze mną stanie, nie pomyślałeś? Tak, tak, oczywiście że się zaopiekują. Dusisz się w tej cieplarnianej wegetacji? Nie takie powinno być życie? A co ty wiesz o życiu? Za młody jesteś na to! Więc cię nie przekonam? Obiecuj mi przynajmniej, że jeszcze nie dzisiaj... wiem, że mówiłam nieskładnie, sam rozumiesz, że nie powiedziałam wszystkiego, co chciałam powiedzieć, przyrzeknij mi, że jeszcze raz porozmawiamy na ten temat... Masz już bilet... Więc to nieodwołalne? Tak po prostu? Nie podchodź do drzwi!!! Słyszysz! Nie puszcę cię, nie puszcę!!! Zostań!

Zamknął cicho drzwi, w windzie starannie wytarł zaczerwienione oczy. Był przecież — tak jak ojciec — mocnym człowiekiem. Na odkrytej werandzie dworca promów pasażerskich kilkakrotnie bardzo głęboko wciągnął w płuca chłodny wiatr.

Uspokoił się zupełnie. Poczul, że zaczyna żyć. Ani lepiej, ani gorzej niż inni ludzie, ale po swojemu — tak jak już dawno to sobie zaplanował, jak żyje jego ojciec, tyle razy prezentowany przez stację „Venatoris”. Matka? Jej tutaj dobrze — to tylko babska histeria. Do odlotu pozostało 45 minut.

### III

Transmitowali swoje audycje codziennie. „Venatoris” — średniej wielkości stacja nadawczo-przebieżnikowa, zawieszona na orbicie okołoziemskiej — od przeszło pięćdziesięciu lat wzbudzała swoją działalnością gwałtowne protesty ziemskich pacyfistów. Od pięćdziesięciu lat ojcowie kategorycznie zabraniali swoim dzieciom oglądania programów tej stacji. Na centralnych placach ziemskich miast pacyfiści tradycyjnie urządzali tłuczenie odbiorników w chwili nadawania audycji „Venatoris”. Stacja przekazywała informacje o przebiegu batalii między Zielonymi a Niebieskimi, udostępniając swoje studia obydwu stronom. Wypowiadali się znakomici dowódcy, wybitni piloci i akwizytorzy obu ugrupowań.

Szczególłą popularność zyskał sobie K-1, najlepszy prezen-ter „Venatoris”. Codziennie pojawiał się na ekranach w swoim charakterystycznym siwo-złotym kombinezonie. Jego tembr głosu i kocie ruchy wprawiały w ekstazę dorastające panienki. Dla pacyfistów był wcieleniem średniowiecznego barbarzyństwa, epigonem zamierzchłych czasów. Te i podobne określenia przyczyniały się tylko do wzrostu jego popularności, a

zwolenników miał niemało. Codziennie od dziesięciu lat oznajmiał:

— Tu „Venatoris”. Witam wszystkich, którzy są ludźmi z krwi i kości, a nie otępiałymi ślimakami. Nadajemy kolejną transmisję z tych obszarów Kosmosu, gdzie życie ma jeszcze sens i daje prawdziwą radość. Co mamy dziś w planie? Za chwilę aktualne wiadomości, potem przedstawimy sylwetkę znakomitego myśliwca Niebieskich, Tymurusa, następnie nowinki techniczne, a na koniec kolejny fragment wspomnień weterana Zielonych, sierżanta Buldoga. Tu „Venatoris”, oto wiadomości: Dzień dzisiejszy nie przyniósł szczególnych wydarzeń. Po ostatnim ataku Zielonych sytuacja zdaje się zmierzać ku stabilizacji. Na jak długo? Oddajmy głos generałowi Rębajle, dowódcy strefy obrony Niebieskich. Generale. Jak ocenia pan sytuację?

Na ekranie pojawił się siwy staruszek w niebieskim kombinie z dystynkcjami generała, Oparł się o pulpit dowodzenia i skrzekliwym głosem powiedział:

— Sytuacja jest jasna i cudownie jednoznaczna. Atak został odparty, a przeciwnik doszczętnie zniszczony. W najbliższym czasie my zaatakujemy, tak po naszymu... Co jeszcze chce pan wiedzieć?

— Jakie nastroje panują wśród pańskich żołnierzy?

— Morale żołnierzy jest znakomite, było znakomite i takie też będzie w chwili ostatecznego zwycięstwa. Skończyłem!

— Dziękuję panu, generale. A co ma do powiedzenia pułkownik Centymus, prowadzący ostatni atak Zielonych?

Generała Rębajłę zastąpił na ekranie pułkownik Centymus, wysoki, silnie zbudowany mężczyzna w zielonym kombinezonie. Uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

— Dziwię się panu, naprawdę dziwię się, K-1. Szuka pan informacji u zniedołęźniającego starca, z widoczną już na pierwszy rzut oka skleroza.

— Pozwalamy wypowiedzieć się obu stronom — przerwał pułkownikowi K-1.

— Ale prawda jest jedna i wygląda tak: wgrzyźliśmy się w obronę przeciwnika na pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Czołowe eskadry dotarły nawet do wewnętrznego pierścienia obrony. Przeciwnik poniósł ogromne straty. Zaskoczyliśmy ich, jak to mówią, w kalesonach. Niestety, byliśmy zmuszeni przerwać atak z prozaicznej przyczyny: zaczynało brakować paliwa...

Spoza kadru skrzekliwym głosem dał znać o sobie generał Rębajło:

— Gówno prawda! Gówno prawda! Wszyscy zginęli. Całe dwadzieścia eskadr w popiół!

— A ja? Kim w takim razie ja jestem, stara skleroza?

— Sobowtór!!! Prawdziwy Centymus zginął w początkowej fazie bitwy, są, na to świadkowie. A nieładnie! Kukłą chcą oczy mydlić.

K-1 energicznie przerwał wzajemne obelgi i pogrożki dwóch przeciwników:

— Dziękujemy za informacje. Wypowiedzi udzielili nam generał Rębajło i pułkownik Centymus. Dalsze wiadomości: Do bazy rozdzielczej na Księżycu przybyło w dniu dzisiejszym pięciuset ochotników z Ziemi. Z jednym z nich rozmawia nasz reporter:

Siedzieli w wygodnych fotelach w centrum bazy rozdzielczej, wokół panował gwar i ruch. Rozmowa przebiegała stereotypowo. Nie była to przecież pierwsza wizyta wysłannika „Venatoris” w bazie na Księżycu.

— Może pan się przedstawi.

— Nazywam się Cezary Mugier. Pochodzę z Ziemi. Mam 35 lat.

— Czy myślał pan już nad wyborem pseudonimu?

— Tak, mogłoby być na przykład... „Obląkany chirurg” albo po prostu „Krwawy”...

— Dlaczego właśnie tak?

— Zawsze to lubiłem, a tam na dole mi tego brakowało.

— Gdzie na dole?

— No, na Ziemi.

— Rozumiem, zna pan oczywiście zasady rozdziału. Ale czy wewnętrznie nie jest pan bardziej przekonany do którejś ze stron? A jeśli tak, to do której?

— Wolałbym przejść do Niebieskich, bo tam fajne chłopaki walczą, ale u Zielonych też nie jest źle.

— I ostatnie pytanie. Co pana skłoniło do przyjazdu tutaj?

— Tam na dole brała mnie taka złość, że cholery chciałem dostać... nie mogę się doczekać, kiedy otrzymam swój przydział...

— Nastąpi to niebawem, życzymy panu wspaniałych sukcesów i dziękujemy za rozmowę.

Włączył się K-1:

— A przede wszystkim gratulujemy trafnej decyzji, tutaj na pewno nie zmarnuje pan swego talentu, co łatwo mogłoby się stać na Ziemi. Kontynuujemy naszą audycję. Wedle uzyskanych informacji niecodziennego wyczynu dokonał porucznik

Waligóra, zwiadowca Zielonych. w czasie samotnego rajdu zestrzelił osiem myśliwców przeciwnika. Rzecznik Niebieskich zdementował jednak to doniesienie. W następnej audycji postaramy się przeprowadzić wywiad z porucznikiem Waligórą, którego powrót z bojowego rejsu spodziewany jest lada godzina. To wszystkie wiadomości, które miałem dla państwa w dniu dzisiejszym. Kolejnym punktem naszego programu jest reportaż o kapitanie Tymurusie, prawdziwym asie myśliwskim Niebieskich, o jego życiu i walce. Program przygotowała Nina Centra.

Na ekranie ukazał się przystojny, szczupły chłopak, jakim as był 25 lat wcześniej, kiedy zasilił szeregi Niebieskich. Tymurus przy nowej maszynie, po zwycięskiej walce, z kolejną piękną u boku. Migawki filmowe przedstawiały poszczególne etapy walki i kariery wojskowej kapitana. Liczba zestrzeleń? Głos Niny Centry zawibrował, gdy podniecona oznajmiła: 548!!! 548 zniszczonych maszyn przeciwnika. Fantastyczny rezultat. Najwocniejsze było ostatnie dziesięciolecie. Tak, ale wiadomo, że doświadczenia nabiera się w miarę upływu czasu, a to już 25 lat. No i trzeba mieć szczęście. Bo czyż nie jest szczęściem napotkanie całej eskadry przeciwnika na resztkach paliwa, bez zdolności manewrowania? Gdzie jest teraz Tymurus? A, to tajemnica wojskowa, ale na pewno robi coś bardzo ważnego, co będzie miało decydujący wpływ na przebieg walk. Jeden z najdzielniejszych, wzór do naśladowania. Wychowawca ubranej w niebieskie kombinezony młodzieży.



Tyle miała do przekazania Nina Centra.

— Co słyhać w świecie techniki? — odezwał się znów K-1.  
— Najnowsze osiągnięcia w tym zakresie przedstawi profesor Burek:

— Informowaliśmy już państwa rok temu o wynalazku, któremu nadano roboczą nazwę „automatyczny zmieniacz celów”. Rok temu znajdowaliśmy się w fazie prób. Dzisiaj możemy zaprezentować prototyp urządzenia.

— Na czym z grubsza opiera się idea rozdzielacza? — zapytał K-1.

— Założmy, że całość środków ogniowych maszyny bojowej zaangażowana jest w niszczenie przeciwnika, jak przedstawia to wideogram. Tymczasem zbliża się odpowiedź przeciwnika, albo jesteśmy atakowani z innej strony. Otóż urządzenie pozwala automatycznie, bez zmiany parametrów ognia skierować całość sił obronnych i ofensywnych na zbliżającą się rakietę przeciwnika. Po jej zniszczeniu następuje automatyczne przedstawienie na cel poprzedni.

— Czyli jest to urządzenie o charakterze defensywnym?

— Zdecydowanie tak, ale pozwala również na zapewnienie pilotom tak potrzebnego w fazie ataku komfortu psychicznego.

— Przepraszam, jestem laikiem w tych sprawach. Czy to urządzenie stanowi również jakieś zabezpieczenie przed promieniami lasera?

— No nie, to niemożliwe, nieporównywalne są przecież szybkości... ale pracujemy już nad specjalną powłoką rozpraszającą...

— To wspaniale. Panie profesorze, kiedy automatyczny zmieniacz celów wejdzie na wyposażenie obu armii?

— Mamy prototyp, masowa produkcje rozpoczniemy w ciągu najbliższych trzech dni, a potem to tylko kwestia transportu, ale to już nie nasza domena.

— Czy strony są zainteresowane nowym wynalazkiem?

— Tak, oczywiście, po rozesłaniu wideoprospektów otrzymaliśmy zamówienia. O ilościach ze zrozumiałych względów nic powiedzieć nie mogę.

— Dziękujemy panu, profesorze. Proszę państwa, na zakończenie programu kolejny odcinek wspomnień sierżanta Buldoga.

Sierżant Buldog od pięciu lat nie brał udziału w walkach, chociaż rwał się do tego. Wydarzenia, które przeżył, fikcje, zmyślenia i fakty historyczne, w których udziału nie brał, cały ten groch z kapusta dzięki barwnemu językowi sierżanta stał się oczekiwany punktem programów „Venatoris”, a sam Buldog pożądanym gościem wszelkich spotkań, wieczornic i uroczystości. Często witał nowo przybyłych ochotników w bazie rozdzielczej na Księżycu. Teraz rumiany i wesół perorował z ekranu:

— Ostatnim razem skończyłem na tym, jak wystartowaliśmy na rozpoznanie w rejon planetoid. Większych szans na spotkanie przeciwnika nie mieliśmy, a jednak! Ledwie minęliśmy strefę przyciągania Marsa, kiedy nasze indykatory zlokalizowały sześć poruszających się równoległym kursem obiektów w odległości 15 tysięcy kilometrów. Nie było wątpliwości, że to nieprzyjaciel, meteoryty nie poruszają się dwójkami w równych odstępach. Zwiększyliśmy szybkość. Starali się uciec, ale

oczywiście na próżno. Po rozdzieleniu celów z odległości 500 kilometrów wystrzeliłem trzydzieści rakiet, chociaż w zupełności wystarczyłoby pięć. Właściwie nie powinienem był odczuwać emocji, w tej sytuacji miałem stuprocentową pewność trafienia, jednak byłem wtedy młodym pilotem. Spoconymi rękami zupełnie bez potrzeby ścisnąłem analizator trafień. Później w podobnych sytuacjach wychodziłem po prostu napić się czegoś. Ale wtedy to była moja pierwsza walka, więc zrozumiałe, że się denerwowałem.

Nagle zobaczyłem na monitorze wspaniałą błysk, prawdziwą tęczę, całą gamę kolorów od seledynu do intensywnej czerwieni i purpury. Dopiero po chwili dotarło do mojej świadomości, że to fantastyczne widowisko jest pozostałością po trafionym transportowcu Niebieskich, że za chwile przygaśnie i rozplynie się w przestrzeni. Mogłem zanotować na swoim koncie pierwsze zwycięstwo. Radość moja była ogromna. Komputer pokładowy dostosował się do mego nastroju i zaczął buczyć: zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo, odblokowane konto V. Na chwilę opuściłem pomost bojowo-nawigacyjny. Przechodziłem właśnie korytarzem do kabiny sanitarnej, kiedy gwałtowny wstrząs rzucił mnie najpierw o sufit, a potem o podłogę. Na chwilę zgasło światło. Potwornie bolała mnie ręka, cały byłem straszliwie potłuczony. Cóż to mogło być? Pełznąc na czworakach w kierunku pomostu bojowo-nawigacyjnego, zastanawiałem się nad przyczyną wstrząsu. Brałem pod uwagę różne możliwości: od zderzenia z meteorytem po... tylko proszę się nie śmiać, ja wtedy naprawdę tak myślałem... no, aż po wejście w

obszar przy ciągnięciu czarnej dziury. Nie pomyślałem tylko o jednym: że przeciwnik też ma rakiety i skorzystał z prawa do obrony. W kilka chwil po moim ataku wystrzelił swoją raketę i oczywiście trafił, ponieważ ja znajdowałem się w stanie euforii, a komputer odblokował konto V... no i nie usłyszałem informacji o zbliżającym się obiekcie. Miałem ogromne szczęście. Rakietę uderzyła w sam czubek statecznika bezpośredniego lądowania, i w tym miejscu eksplodowała. Paliwo zaczęło wyciekać i spalać się poza komorą akceleratora, prędkość spadła, a co najgorsze, utraciłem sterowność. Mknąłem bezwładnie w kierunku Aldebarana. Zapas żywności miałem na dwa lata. A co potem? Przez moment pomyślałem, że lepiej by było, gdyby ta rakietę trafiła w korpus statku, stałbym się wtedy wspaniałym fajerwerkiem, wdzięcznym zjawiskiem dla oka nieznanego obserwatora. I nie miałbym poczucia zbliżającej się śmierci, zrobiłbym tylko kolejny krok w kierunku kabiny sanitarnej... Tak, niewesołe były moje myśli. Zupełnie zapomniałem o tym, że wystartowaliśmy całą eskadrą i że komputer automatycznie wysłał sygnał o niesterowności statku. W gorączce myśli nie zwróciłem na to uwagi. A tu nagle słyszę głos dowódcy eskadry: żyjesz?

Było jeszcze trochę kłopotu, bo próby doholowania statku do bazy nie rokowały najmniejszych szans powodzenia. Musiałem się przesiąść. Wróciliśmy do bazy. Skutkiem naszego ataku zniszczeniu uległo sześć transportowców nieprzyjaciela. Straty własne: jeden, niestety, był to mój statek bojowy. Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że opuszczając go podłączyłem

silne ładunki wybuchowe pod zbiorniki z paliwem. To wystarczyło, żeby w pół godziny po mojej przesiadce statek zmienił się w siódmy tego dnia kolorowy fajerwerk w okolicach planetoid. Lądowanie odbyło się bez przeszkód. I dopiero na miejscu, w bazie, po chwili odpoczynku w pełni zdałem sobie sprawę z tego, co się stało. Miałem niewiarygodne szczęście, graniczące niemal z cudem. Popatrzyłem na swoje ręce i nogi: moje i całe, jednak żyje! Podszedł do mnie dowódca eskadry, który jakby odgadywał moje myśli, bo powiedział:

— Teraz już wiesz, jak naprawdę może smakować życie, szczęściarzu.

Tak, wiedziałem, przeżywałem jeszcze nie raz te niezapomniane, jedyne chwile, a przydomek „Szczęściarz” przyłgął do mnie na stałe.

Sierżant Buldog skończył opowiadać. Na ekranie pojawił się K-1 tylko po to, by zakończyć kolejne wydanie programu stacji „Venatoris”. Podziękował za dziś i zaprosił wszystkich sympatyków i przeciwników, a jakże, na następny program.

#### IV

Na Księżyc można było lecieć w różnych celach. Turystycznych, handlowych albo z najzwyczajniejszej ciekawości. Nikt zresztą nie pytał, w jakim celu ktoś leci na Księżyc. Podróż była szybka, bezpieczna i wygodna. Do centralnego portu promów pasażerskich, wiszącego 520 kilometrów nad powierzchnią Ziemi, można było dolecieć z każdego portu raketowego. Promy kursowały regularnie. Po obowiązkowej kwarantannie,

która trwała nie dłużej niż dwie godziny, pasażerowie wsiadali na pokład kosmicznego mastodonta, zabierającego jednorazowo osiemset osób. Po siedmiu godzinach lotu można było zanurzyć się w ruchliwe ulice jednego z pięciu podziemnych, księżycowych miast.

Życie ludzi na Księżycu rozwijało się żywiołowo. Jedynymi wyznacznikami działania były wskazania techniki, jedynym ograniczeniem poziom technologii. Wszelkie publiczne rozważania na temat wyższości form życia ziemskiego nad księżycowym czy odwrotnie były niemile widziane i wśród cywilizowanych ludzi stanowiły temat tabu. Nikt głośno o tym nie mówił, ale Księżyc i Ziemia były to już zupełnie różnie rozwijające się światy, rządzące się własnymi prawami. Na Księżycu wreszcie pod flagą neutralną pracowały zakłady zbrojeniowe z ogromnym zapleczem naukowo-badawczym, a baza rozdzielcza przyjmowała ochotników.

Prom kosmiczny „Wróbelek”, rejs nr 312, miał 560 pasażerów, 140 członków załogi i znajdował się w odległości 140 tysięcy kilometrów od orbity Księżyca jako punktu docelowego. Dla rozładowania emocji związanych z lotem pasażerowie przechadzali się po pokładzie spacerowym. Do oglądania nic szczególnie ciekawego tam nie było, przygodny obserwator mógł się natomiast zafascynować bogactwem typów ludzkich, przypadkowo zgromadzonych na tak malej przestrzeni. Było również kwestią przypadku, że większość pasażerów „Wróbelka” miała jedną cechę wspólną. Niedostrzegalną na pierwszy rzut oka, a nawet i później trudną do określenia i nazwania.

Podróż trwała już trzy godziny, przez ten czas pasażerowie wykonali kilka milionów miii i gestów, wesołych, smutnych i takich, których należało się bać. Nie było to nic zdecydowanego Jakieś zaciśnięcie szczęk, nagłe spojrzenie lub napięcie mięśni na moment, na ułamek sekundy... Wśród tłumu wyróżniał się swoim zachowaniem pewien niepozorny Japończyk. Stronił od rozmów, trzymał się na uboczu, ściskając w dłoni niewielki kawałek drewna. Szybko stał się obiektem zainteresowania grupy rozbrykanych osiłków. Padło kilka docinków, ktoś pokazał mu język, reszta wybuchnęła śmiechem. Był inny, drażnił swoją niechęcią do uczestnictwa w życiu stada. Stoi i gniecie w garści drewnienko? Może uważa się za kogoś lepszego? Jak takiemu nie zrobić na złość? Sam się o to prosi

Japończyk był najwidoczniej przygotowany na takie traktowanie i chyba dokładnie obmyślił sobie plan działania. Brak reakcji z jego strony zawiódł oczekiwania złośliwców. Gdyby się odciął, można by mu było dać wycisk, a tak? Dano mu spokój. Poza Japończykiem pewną ciekawość wzbudzało jeszcze dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Oboje unikali się wzajemnie, starali się nawet na siebie nie patrzeć. Jednak otaczająca ich aura plotki (w jaki sposób plotka dociera na pokład promu kosmicznego?), dyskretne spojrzenia, a nawet ordynarne pokazywanie palcem — wyróżniały ich spośród tłumu.

Mówiono o nich: Tych dwoje miało się po brać. Dziesięć godzin temu wszystko było przy gotowane do ślubu. I nagle na godzinę przed uroczystością jak zaprogramowani wsiedli do swoich magnetowozów i uciekli, każde na własną rękę. A teraz,

co za heca, spotkali się na pokładzie „Wróbelka”.

Rozległ się sygnał gotowości do lądowania, pokład spacerowy opustoszał. Wszyscy zasiedli w swoich fotelach. Pięciu ludzi z załogi promu sprawdzało jeszcze, czy na pokładzie spacerowym nie pozostawiono czegoś, co w czasie lądowania powinno być przytwierdzone do podłoża. Prom kosmiczny „Wróbelek” drgnął, włączono silniki, zaczęło się hamowanie.

## V

Centralna baza rozdzielcza przyjmowała ochotników przez okrągłą księżycowa dobę, która umownie liczyła 24 godziny, jak na Ziemi. Zapotrzebowanie na świeżego żołnierza było duże, szczególnie po ostatnich walkach, ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby zabrakło chętnych do uzupełnienia wyszczerbionych w bojach szeregów obu walczących stron. Sam moment rozdziału odbywał się raz na sześć godzin w sposób dostosowany do czasu lądowania promów. Duży fosforyzujący napis „Walka i ryzyko sensem i najwyższą wartością życia człowieka” widniał w sali rozdziału. Ochotników było więcej niż foteli, dlatego wielu przysiadło na podróźnych kontenerach, a inni przechadzali się wśród siedzących. Mimo buńczucznych min i zaczepnych spojrzeń przyszłych wielokrotnych zwycięzców kosmicznych atmosfera w poczekalni była napięta i w sumie niekoniernie wypełniona odwaga. Być może wielu z nich zdawało sobie sprawę, że pierwszy samodzielny lot bojowy może zakończyć się kolorowym wideogramem pod tytułem „Nieistnienie”.



Drzwi prowadzące do eskalatora wyjazdowego były otwarte. Któryś z ochotników zbliżył się do nich niepewnie, po czym wyszedł ciężkim krokiem. Pożegnały go śmiechy i gwizdy. Ten to dopiero ma pietra! Po chwili zainteresowanie skupiło się na kilku kobietach, które też chciały walczyć lub przynajmniej urodzić dwóch albo trzech bohaterów. Wszyscy, którzy zdecydowali się pozostać, mieli do wyboru jeden z dwóch zamkniętych jeszcze korytarzy — niebieski lub zielony. Napięcie rosło. Z niewidocznego głośnika rozległ się ludzki, nie syntetyczny, zdecydowanie męski głos:

— Losujemy! Uwaga! Losujemy!

Wśród zgromadzonych nastąpiło poruszenie. Wszyscy wstali z miejsc. Gwar początkowo wzmógł się, by następnie ucichnąć. Bezszelestnie rozsunęły się kolorowe drzwi. Stanęli w nich wysocy, opaleni, uśmiechnięci od ucha do ucha sierżanci, jeden w niebieskim, drugi w zielonym kombinezonie. Zapraszającymi gestami rąk powitali zebranych. Rozległy się brawa. Aplauz wzmógł się, gdy do sali wszedł K-1. Uciszył zebranych, wskoczył na podest i powiedział:

— Nie będę wam klepał prawd o słuszności wyboru, sensie życia itd. Dobrze, że tu jesteście. W imieniu obu walczących stron witam was serdecznie.

Znów rozległy się brawa. K-1 podniósł wysoko metalowy krążek, z jednej strony niebieski, z drugiej zielony, i podrzucił go w górę. Krążek wykonał kilka wolt w powietrzu i upadł ukazując zieloną połowę. Sierżant w zielonym kombinezonie radośnie wyrzucił ręce w górę. Oznaczało to, że pierwszy ochotnik

z szeregu pomaszeruje korytarzem zielonym, następny niebieskim i tak na zmianę, aż podzieleni zostaną wszyscy — równo po połowie.

Gromadzili się wokół swoich sierżantów zadowoleni, że już po wszystkim. Słyszeć było śmiechy i żarty. Docinki pod adresem przeciwników krzyżowały się z błyskawicznymi ripostami. Ochotnicy w zwartych kolumnach, na których czele stanęli uśmiechnięci sierżanci, głośno tupiąc w dźwiękochłonna wykładzinę, zniknęli w kolorowych korytarzach — zielonym i niebieskim. Już z oddali echo przyniosło urywany śpiew miarowo maszerujących kolumn. Za sześć godzin ceremonia powtórzy się.

K-1 nie miał tu nic więcej do roboty. Oczywiście cały jego występ — szczególnie sam moment losowania — skrzętnie zarejestrowały kamery „Venatoris”. Relacja zostanie odtworzona wieczorem. Był w połowie drogi do wyjścia, gdy wyszedł mu naprzeciw niepozorny Japończyk. Mężczyźni zbliżali się do siebie. K-1 rozluźniony i uśmiechnięty, Japończyk z zaciśniętymi szczękami, sprężony jak tygrys do skoku. W pewnej chwili K-1 wyczuł chyba grożące mu niebezpieczeństwo, bo przystanął, a potem zrobił pół kroku do tyłu. W tym momencie Japończyk rzucił się na niego i wbił mu kciuki w szyję. K-1 złapał napastnika za przeguby i szarpnął do przodu. Wąty Japończyk przykleknął. Jego napięte zapalczywością, a i bezsilnością struny głosowe drgnęły — wydał z siebie głuchy, bolesny okrzyk. K-1 rozluźnił uchwyt. Do sali wbiegli członkowie ochrony. Wysportowani mężczyźni z taką siłą jęli obezwładniać pokonanego już Japończyka, jakby chcieli się zrehabilitować za przegapienie

początku zajścia. Zginany, wykręcany przez sześć wprawnych rak Japończyk po chwili wyglądał jak beżowo-zółty pakunczek Nie bronił się już, kiedy wleczono go do wyjścia Zjawił się podenerwowany szef ochrony. Na Japończyka nawet nie spojrział, koncentrując całą uwagę na napadniętym.

— Nic się panu nie stało?

— Jak pan widzi, ale to tylko dzięki pańskim dzielnym chłopcom.

Los Japończyka, zgodnie z obowiązującym na Księżycu regulaminem, nie budził wątpliwości. Szef ochrony krzyknął do swoich ludzi:

— Natychmiastowa deportacja!

Reakcja K-1 była zaskakująca:

— Niech pan zatrzyma swoich ludzi. Koniecznie muszę porozmawiać z tym człowiekiem. Dajcie mu coś na uspokojenie i załadujcie do mojej rakiety. Jeśli oczywiście może pan to dla mnie zrobić.

Szef ochrony zastanawiał się chwilę:

— No dobrze, ale tylko z sympatii dla pana i na pańska odpowiedzialność. — Po czym dodał: — On chyba nie jest w stanie zrobić panu krzywdy. Na wszelki wypadek jeszcze raz go zrewiduję.

Już bez szarpaniny wyprowadzono Japończyka z sali rozdzielczej. Był sztywny i zszokowany, ale nie stawiał oporu. Sala opustoszała.

## VI

Tayoshi Omura zdążył już przyjść do siebie Od kwadransa znajdowali się w przestrzeni kosmicznej w drodze na „Venatoris”. Kiedy do kabiny pasażerskiej wszedł K-1, Japończyk

natychmiast przestał masować obolałe stawy, po chylił się w fotelu i zasłonił twarz rękami. K-1 nie podchodził bliżej. Nie, nie obawiał się kolejnej napaści, ale z dystansu można dokładniej przyjrzeć się przeciwnikowi. Postąpił jeszcze dwa kroki do przodu i zapytał wcale nie ciepłym głosem:

— Jak się nazywasz i po co tu przyleciałeś?

Japończyk milczał apatycznie.

K-1 znowu nie co się przybliżył:

— To jasne, że chciałbym wiedzieć, kto i dlaczego usiłował mnie zabić. Chyba że jesteś umyślowo chory? Jeśli tak, polecisz na Ziemię, a tam już zajmą się tobą psychiatrzy...

Japończyk wyprostował się, przetarł rękoma oczy jakby zdziwiony tym, co się stało, i powiedział:

— Nazywam się Tayoshi Omura. Wcale nie próbowałem cię zabić. Po prostu chciałem ci tylko uświadomić, że masz na Ziemi coraz więcej przeciwników, i to zdecydowanych na wszystko.

Powiedział to szybko, jakby w obawie, że istotnie znajdzie się w rękach psychiatrów.

— Moje szczęście, że na Księżycu nie wolno nosić broni. Załatwiłbyś mnie, co? Pewnie jesteś pacyfistą z Ziemi — K-1 usiadł naprzeciwko Omury.

— Myślę, że jesteś najgorsza gadzinę, najpodlejszą istotą w tej części Kosmosu — wycedził Japończyk. — Gdybym miał broń przy sobie, byłoby może o jednego drania mniej! Ci biedni chłopcy! Prawdziwy smak życia? Dobre sobie! Sens życia w walce? Poczekaj, znajdzie się ktoś silniejszy ode mnie, kto cię

zabije! Skończy się len cały idiotyzm z Zielonymi i Niebieskimi. z tą twoją „Venatoris”, z debilami w generalskich mundurach!

K-1 z pobłażliwym uśmiechem obserwował Japończyka. Wyglądało na to, że spodziewał się takiego zachowania:

— To teraz mnie opluj — powiedział zachęcająco.

Japończyk bezradnie zamrugał oczami:

— Co mam zrobić?

— To, co powiedziałem: opluć. Nie rozumiesz? Myślałem, że jesteś bardziej rozzagnięty.

— Nie kpij, jesteś ostatnim człowiekiem, który miałby do tego prawo! — odciął się zbity z tropu Omura. Z kieszeni kombinizonu wyciągnął poczerwiałą kawałek drewna. Podetknął go K-1 pod sam nos i drżącym głosem zapytał:

— Wiesz, co to jest?

— To drewnienko? Pewnie coś z Hiroszimy albo Nagasaki, co w tej formie przetrwało wybuch nuklearny, drzewko wiśniowe na przykład... Widziałem już wiele takich rzeczy, niepotrzebnie się egzaltujesz, mój drogi. Mam to wziąć do ręki i wrzucić się?

— Skończmy tę rozmowę. Nie jesteś człowiekiem, nic nie rozumiesz.

— A ja myślę, że teraz, właśnie teraz, możemy powiedzieć sobie wszystko do końca. Bez egzaltacji, obezwładniania i innych wyglupów. Nasze cele, bracie, są zbieżne. Może powiesz mi wreszcie, co wy tam na Ziemi macie mi do za rzucenia!

Omura zastanowił się chwilę.

— Siejesz tę swoją propagandę, rozbudzasz najgorsze instynkty, przez ciebie giną ludzie... jak długo jeszcze? — Czuł, że nie trafia w cel, ale nic więcej dodać nie potrafił. Zaczynał żywić respekt dla K-1 i bał się narazić na kolejne szyderstwo. Z ulgą obserwował, że K-1 słucha go ze skupieniem i powagą na twarzy. W tym skupieniu dostrzegł coś, co wydało mu się nieprawdopodobne — zrozumienie. Nastąpiła chwila ciszy przerywanej tylko szmerem pokładowych mechanizmów. Ale przecież ten człowiek chce mnie przekonać, że zabijanie się jest sensem i istotą życia ludzkiego, a śmierć w walce najwyższym dobrem, jakie może osiągnąć istota rozumna na obrzeżu Drogi Mlecznej, pomyślał Omura.

— Dzisiaj dwa razy chciałeś mnie pokonać. Raz fizycznie, drugi raz intelektualnie. Chciałeś mnie zniszczyć zupełnie, żebym nie mógł nawet krzyknąć, że przegrałem. Może nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. A wiesz, dlaczego ludzie ciągle popadają w spory? Dlaczego największą satysfakcję sprawia im zniszczenie przeciwnika?

— Bo taka jest natura ludzka — powiedział szybko K-1. — Nie twierdzą, że wszyscy są tacy, ale siedzi w nas coś takiego, co wymaga od nas zwycięstw nad innymi, i to bez względu na formę walki. W imię czego? Być może tylko po to, by wyróżnić się spośród, tłumu, by ciągle budować i umacniać wiarę we własną wartość i unikalność, w wyjątkowość praw do istnienia. I jak na razie nie potrafimy się od tego uwolnić. Zawsze znajdzie się powód, żeby drugiemu wsadzić palec w oko. Zawsze też stwarzano powody, żeby jakoś zalegalizować wewnętrzną

ochotę do mordowania się. Za przekonania, za wiarę i najjaśniejszego pana, za słupek na rozstajnych drogach, za to, że skrzywdzono dziadka, nawet za to, że sędzia odgwizdał spalonego... Zawsze znalazł się pretekst, żeby można się było podzielić na „nas” i na „nich”. „Oni” to zło tak paskudne, że tylko tępić, tylko łać w mordę... Najważniejsze to wyrobić w sobie przekonanie i słuszny gniew: sami tego chcieliście, teraz wam pokażemy! My was teraz nauczymy!! Dalej sprawy toczyły się zgodnie z planem opracowanym u przednio przez grono wybitnych fachowców, których na Ziemi w tej dziedzinie nigdy nie brakowało. Zawsze znalazł się taki, który doradził, że lepiej bić w wątrobę niż w szczękę, że rakietą jest lepsza od pocisku, bo można nią sterować. I do ataku!!! Nie przejdą! Brońmy się do upadłego!!!

Ostatnie zdanie wykrzyczał. Tayoshi Omura robił wrażenie wystraszonego. Przełknął nerwowo ślinę i po raz pierwszy skutecznie zaatakował K-1:

— Chcesz mnie przekonać opowiadaniem banałów? Udowodnić, że to, co tutaj robicie, jest tak naturalne jak oddychanie? Może jest też nie winne! To brednie!

— Pozwól mi skończyć. Chciałem ci tylko uświadomić, że u nas obowiązują czyste reguły gry. Są dwie strony, które chcą walczyć i walczą, a sam cel walki nie jest istotny. Proste to i jasne jak zasada zachowania masy.

— Ale giną przy tym ludzie.

— No tak. Ale dzięki temu macie na Ziemi to swoje spokojne, wolne od wojen życie, w Obro nie którego również wy, pa-cyfści, gotowi jesteście zabijać. Potrafisz podważyć ten fakt?

Jeszcze nie rozumiesz, dlaczego Niebiescy i Zieloni walczą ze sobą na śmierć i życie? Dlaczego „Venatoris” agituje Ziemiaków do udziału w walkach? Przylatuj ą tu ci, których akurat świerzbi lub zaczyna świerzbić ręka i mają. ochotę komuś przylać.

Omurze trudno było w to uwierzyć:

— To naprawdę celowa robota?

Niedawni przeciwnicy popatrzyli sobie w oczy.

K-1 podszedł do monitora. Na ekranie zaczęły kolejno pokazywać się makiety raket bojowych dwóch walczących stron. K-1 powiedział:

— To najnowsze modele. Mogę ci też pokazać starsze typy. Wiesz, jaką mają wspólną cechę? Masa, mój drogi, masa statków jest tak dobrana, żeby żaden z nich, wchodząc nawet przypadkiem w atmosferę ziemską, nie dotarł do powierzchni globu, żeby doszczętnie spłonął w atmosferze, żeby nawet pyłek nie świadczył o zdarzeniach rozgrywających się w Kosmosie.

— Jak długo to jeszcze potrwa? — znużonym głosem zapytał Japończyk. Oczekiwał konkretnej, wymiernej w czasie odpowiedzi.

— Nie umiem ci tego powiedzieć. — K-1 coś sobie przypomniał: — A wiesz, że mamy tu kilkanaście osób, które walczą tylko w czasie weekendów, a potem wracają na Ziemię, gdzie z kolei walczą o pokój? Atakują przy tym zaciekle mnie i „Venatoris”. Zabawne, prawda?

Japończyk niezbyt uważnie słuchał ostatnich słów K-1. Nagle poczuł w sobie energię i wolę działania:

— Czy mógłbym ci pomóc w jakiś sposób?



## VII

— Chciałbym państwu przedstawić mego nowego przyjaciela — mówił z ekranu K-1. Tayoshi Omura dwanaście godzin temu przyleciał z Ziemi i pierwsze kroki skierował do bazy rozdzielczej, gdzie w sposób symboliczny otrzymał przydział do Niebieskich. Dlaczego symboliczny? Zapytajmy o to Tayoshi Omurę.

— Zły stan zdrowia nie pozwala mi, niestety, na czynny udział w walkach. Otrzymałem jednak kartę identyfikacyjną Niebieskich i jestem z tego dumny.

— Jakie masz dalsze plany w związku z pobytem na Księżycu?

— Pokręcę się tu jeszcze trochę i za trzy dni wracam na Ziemię. Acha, mam zaproszenie na uroczystą akademię dowództwa Niebieskich z okazji 10 rocznicy bitwy w stratosferze Wenus. Chciałbym z tego miejsca pozdrowić wszystkich moich przyjaciół.

— Proszę państwa, postawa Tayoshi Omury zasługuje na najwyższe uznanie. Sami zresztą państwo widzieli i słyszeli. Myślę, że jeszcze nie raz będziemy gościć Tayoshi Omurę na Księżycu i w studiach „Venatoris”.

— Ja też mam taką nadzieję.

Na Ziemi mijał kolejny spokojny dzień czerwca roku 2138.

# ALERGEN

## I

Pod koniec 36 stulecia ery kosmicznej Układ Słoneczny stał się zbyt mały i zbyt mało wydajny, by pomieścić i wyżywić rosnącą, z każdą sekundą ludność. W 30 stuleciu skolonizowano wprawdzie Marsa i częściowo Wenus, ale rychło okazało się, że i te sposoby przeciwdziałania przeludnieniu nie wystarczają. Na Marsie brakowało wody, a przekształcenie gęstej atmosfery Wenus w powietrze do oddychania wymagało ogromnych środków i wieluset lat ciężkiej pracy w bardzo trudnych warunkach. Należało więc zastosować bardziej radykalne środki. Totalna sterylizacja! To hasło bulwersowało opinię publiczną Ziemi, Marsa i Wenus w 37 wieku ery kosmicznej. Wprawdzie liczba krytyków tego programu przewyższała liczbę propagatorów, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że to jedyne możliwe i skuteczne rozwiązanie, choć niehumanitarne.

Sterylicacji nie musiał poddawać się jedynie ten, kto wykazał, że jego iloraz inteligencji przekracza lub przynajmniej równa się wartości 250 punktów. Ludzkie dziecko stało się czymś w rodzaju legendarnego smoka. Społeczeństwo w krótkim czasie postarzało się znacznie; udało się za to rozwiązać wiele problemów, które przed wprowadzeniem programu sterylizacji wydawały się nierozwiązalne. Najstarsi Ziemianie ze

smutkiem kiwali głowami, że oto przyszło im żyć nie tylko w czasach totalnej sterylizacji, ale i totalnej utylizacji. Z dawnej, bogatej ziemskiej fauny zachowały się jedynie psy, koty, szczury i wróble, i to w ilościach ledwie wystarczających na zachowanie gatunku. Opracowany został wprawdzie projekt utworzenia wielkiego ZOO na Ganimedzie, ale z realizacją trzeba było poczekać do lepszych czasów, które nastąpiły dopiero u progu 40 stulecia. Dopiero wtedy uporano się ze wszystkimi problemami, przede wszystkim żywnościowymi, mieszkaniowymi i komunikacyjnymi. Szczególnie komunikacja międzyplanetarna stała na bajecznie wysokim poziomie. Wedle szacunkowych danych ponad 40 procent całego potencjału gospodarczego Układu Słonecznego zaangażowane było w produkcję międzyplanetarnych statków kosmicznych. W tej korzystnej sytuacji gospodarczej i społecznej potęgował się sprzeciw wobec sterylizacji, nawet ograniczonej.

16 września roku 4001 e.k. Międzyplanetarna Rada Administracyjna na posiedzeniu wyjazdowym w miejscowości Niwka na Marsie po burzliwej dyskusji podjęła decyzję o wyprawie do gwiazdy znanej astronomom jako Wolf-359, w odległości 7,6 lat świetlnych. Już wtedy ponad wszelką wątpliwość udowodniony był fakt, że gwiazda ta posiada układ planetarny i to nie mały w stosunku do masy gwiazdy. Pierwszorzędnym celem wyprawy miało być ustalenie, czy układ planetarny Wolfa-359 nadaje się do zasiedlenia. Jeśli tak, na Ziemi i innych planetach miała rozpocząć się seryjna produkcja międzygwiazdnych statków kosmicznych, w których kolejne pokolenia ludzi

wyruszą kolonizować nieznanne światy. W ten sposób zniknie zmora nadwyżek populacyjnych, a ludzie przestanie nękać wizja Ziemi — planety zniedołężniałych starców. Struktura wiekowa społeczeństw ludzkich musi wrócić do normalnych proporcji, wynikających niejako z natury rzeczy. Jedyne, szansa, by w przyszłości uniknąć niehumanitarnych metod hamowania rozwoju demograficznego jest zagospodarowanie planet niezbyt odległych układów gwiazdnych. Tak można by streścić uzasadnienie do podjętej przez Radę decyzji, wygłoszone przez jej przewodniczącego, Witolda Smitha, na międzyplanetarnej konferencji informacyjnej, zorganizowanej zaraz po podjęciu tej ważnej decyzji.

Budowa Ariela-1 trwała bez mała 5 lat. Wbrew pierwotnym, nader optymistycznym założeniom konstrukcja statku nie mogła być kolejną wersją Arieli latających na trasach Układu Słonecznego. Długość życia ludzkiego w stosunku do czasu podróży przy możliwej do osiągnięcia szybkości statku wydawała się barierą nie do przebycia dla autorów projektu. Pokonano ją niejako drogą okrężną. Ariel-1 stał się przechowalnią męskich i żeńskich komórek rozrodczych, pochodzących od osób o niekwestionowanych zdolnościach twórczych — i wielkim inkubatorem. Dopiero po przebyciu trzech czwartych drogi miało nastąpić połączenie tych komórek i hodowla embrionów ludzkich, nad którą czuwać miał pokładowy komputer. Potem wszystko musiało już iść normalnym trybem, choć w sztucznie stworzonych warunkach. Z płodu rozwinie się niemowlak, z

niemowlaka dziecko, a z dziecka młodzieniec, którego wychowaniem i edukacją będzie również kierował komputer. Po dotarciu do celu wychowankowie będą dorosłymi, trzydziestoletnimi ludźmi. Tylko czy normalnymi według ludzkiej skali wartości? Bo przecież o dewiację w tak diametralnie odmiennych warunkach rozwoju nietrudno.

Całe przedsięwzięcie było wyjątkową gratką dla ziemskich psychologów i socjologów — badania w tak specyficznym społecznym laboratorium nie co dzień się przecież zdarzają. Stała łączność ze statkiem dawała niejaką gwarancję, że istoty, które jako pierwsze spojrzą nieuzbrojonym okiem na gwiazdę Wolf-359 i jej układ planetarny, nie będą zwyrodnialcami. Łączność z Arielem-1 stanowiła także praktyczne zastosowanie zasady ograniczonego zaufania do niezawodności i sprawności wszelkich urządzeń technicznych znajdujących się na pokładzie.

31 grudnia roku 4006 e.k. Ariel-1 w pełnej gotowości startowej odholowany został na zewnętrzną orbitę Plutona; z tego miejsca miał nastąpić start w kierunku Wolfa-359. Zainteresowanie dla tego niecodziennego wydarzenia wykazywali tylko specjaliści bezpośrednio zaangażowani w budowę i wyposażenie rakiety oraz autentyczni zapaleńcy, których w żadnym czasie i miejscu nie brakuje. Szary, przeciętny obywatel Układu Słonecznego, po uszy uwikłany w swoje małe, lecz ważne sprawy codzienne, przyjął fakt do wiadomości, jednak bez szczególnej emocji. Ten szary obywatel doskonale zdawał sobie sprawę, że zanim z wyprawy wyniknie coś ważnego, jego już dawno nie będzie wśród żywych, więc po co ten cały szum?

Najdobitniej wyraził to pewien naukowiec, którego nasienie spoczywało w hermetycznej kapsule statku:

— Paradoksalne! Zostanę ojcem w wiele lat po śmierci!

Bezpośredni obserwatorzy startu Ariela-1 zobaczyli jedynie intensywny błysk odpalanych silników nuklearnych. Sam statek po chwili roztopił się w bezmiarze Kosmosu. Od tego momentu na orbicie Plutona rozpoczęła pracę stacja łączności międzygwiazdnej, za której pośrednictwem miał być utrzymywany stały kontakt radiowy i wizualny ze statkiem w zakresie zarezerwowanych tylko dla tego celu fal o prędkości równej prędkości światła. Start Ariela-1 oznaczał również początek walki z czasem dla całych pokoleń specjalistów od techniki kosmicznej. W ciągu 140 lat trwającej podróży na Ziemi należało skonstruować i wdrożyć do produkcji seryjnej taki statek kosmiczny, którego prędkość zapewniałaby przebycie odległości do Wolfa-359 w granicach połowy życia ludzkiego, a więc w ciągu 60 lat. Nie było to zadanie łatwe, z czego wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę. Ale jak już kiedyś bardzo, bardzo dawno temu mawiali starożytni Ziemianie, potrzeba jest matką wynalazków. I to był pierwszy optymistyczny akcent całego przedsięwzięcia.

Czas płynął bardzo szybko. Wszyscy świadkowie startu Ariela-1 figurowali już tylko w komputerowym rejestrze zgonów. Z pokładu rakiety natomiast napływały dobre wiadomości. Lot przebiegał bez przeszkód, a osiemnastoletnia — według ziemskiego kalendarza — załoga statku fizycznie i psychicznie ani na jotę nie różniła się od swoich rówieśników z Układu Słonecznego.

Urodzonym na Arielu pewne pojęcia oczywiste na Ziemi czy Marsie były wprawdzie obce, ale poza tym w pełni utożsamiali się z bardzo już wtedy odległym Układem Słonecznym i żyjącymi w nim ludźmi. Byli dumni ze swych korzeni i z tego, że chcąc nie chcąc stali się pionierami podróży międzygwiazdowych.

W miarę zbliżania się do celu stacji łącznościowej na orbicie Plutona docierało coraz więcej informacji. Okazało się, że Wolf-359 posiada układ planetarny złożony z pięciu planet, z których każda nieznacznie przewyższa masą Ziemię. Była to bardzo doniosła wiadomość! Przyspieszyła budowę całej kosmicznej armady, mającej wyruszyć w ślad za Arielem-1. Problem prędkości został już wtedy rozwiązany. Rakiety wyposażono w rewelacyjne silniki mezonowe, które pozwalały uzyskać prędkość podświetlną, a to oznaczało, że statki z takim napędem miałyby szansę dogonić przestarzałego już pod względem technicznym Ariela-1.

Oczywiście natychmiast zgłosiła się liczna rzesza ochotników, którzy od razu chcieli lecieć w ślad za Arielem. Międzyplanetarna Rada Administracyjna wydała jednak oświadczenie, że jeszcze nie pora na tak ogromną ekspedycję kolonizacyjną, wymaga ona czasu i odpowiednich przygotowań, nie chodzi tu przecież o rutynowy lot na Księżyc. Oświadczenie to stało się przysłowiowym wetknięciem kija w mrowisko, choć mrówka była już wtedy zwierzęciem wymarłym. Na Ziemi i innych planetach mnożyły się protesty i sprzeciwy zwolenników natychmiastowej ekspedycji. Sytuacja stała się napięta.

Akurat wtedy nastąpiły dwa brzemiennie w skutki wydarzenia. Z Ariela-1 nadeszła informacja, że trzy spośród odkrytych planet — Prima, Secunda i Tercja — znajdują się w stanie prebiotycznym i znakomicie nadają się dla istot białkowych typu człowiek, na czwartej zaś, siłą rzeczy nazwanej Kwarta, odkryto życie na dość wysokim poziomie organizacji — pierwotną roślinność oraz drobne zwierzęta podobne do ziemskich pierścienic i skorupiaków. Wideogramy samotnych plaż, wysokich ośnieżonych gór, niebieskiego nieba, zielonego opalizującego morza rozgrzały nastroje do białości. Najgorętsze głowy usiłowały porwać Ariela-2, jedną z raket nowej generacji, przy czym o mało nie doszło do katastrofy. Nie obyło się bez ofiar w ludziach, ponieważ członkowie ochrony raket mieli ściśle sprecyzowane zadania i prawo używania miotaczy laserowych w razie nagłej potrzeby. Był to drugi fakt, który spowodował, że Rada Administracyjna musiała zmienić swą pierwotną decyzję. Nie można było dopuścić do odgrzebania barbarzyńskich sposobów rozładowywania napięć społecznych. A do tego, niestety, było już blisko.

Niezwłocznie przystąpiono do prac organizacyjnych, których z przyczyn obiektywnych nie można jednak było zanadto przyspieszyć. Wszystko musiało iść ustalonym trybem. W skład załóg Arieli-2 mieli wejść naukowcy wraz z rodzinami. Kierownictwo naukowe wyprawy objął Stefan Lumier — mimo młodego wieku powszechnie ceniony za wiedzę i zdolności organizatorskie. Nad całością czuwał weteran kosmicznych



szlaków, admirał Franciszek Nagumo, zwany przez podwładnych „Lotniskowcem”. Pozostali uczestnicy byli ludźmi o typowej mentalności kolonizatorów — taki był w końcu podstawowy cel wyprawy; wymagano od nich jedynie ścisłego przestrzegania regulaminów pokładowych i poleceń dowódców statków. Koloniści rekrutowali się wyłącznie spośród ochotników — było to podstawowe kryterium uczestnictwa w wyprawie. Wydawało się początkowo, że wybudowana w pierwszym rzucie flotyła złożona z 10 tysięcy jednostek typu Ariel-2 nie pomieści wszystkich chętnych, chociaż każdy statek miał wielkość średniego miasta. Jednak w miarę upływu czasu liczba dobrowolnych przesiedleńców malała, tak że w końcu tylko 7800 jednostek miało pełną obsadę pomieszczeń. Był to poniekąd sukces taktyki Rady Administracyjnej. Rozliczne zobowiązania — ziemskie, marsjańskie, wenusjańskie — bardzo wielu osobom uniemożliwiły udział w wyprawie. Poza tym w miarę jak Ariele zapełniały się kolonistami, w Układzie Słonecznym robiło się mniej tłoczno, co pozwalało na podwyższenie metrażu mieszkalnego przypadającego na obywatela. Ten fakt również wpłynął na zahamowanie powszechnego, wydawałoby się, pędu do włączęgi po nieznanym i wrogim w gruncie rzeczy Kosmosie.

Ariele-2 — podzielone na eskadry — kolejno opuszczały zewnętrzną orbitę Plutona. Również i w tym wypadku zainteresowanie pozostającej na starych śmieciach, mniej przedsiębiorczej części ludzkości było umiarkowane. Start, choć bardzo spektakularny, przyćmiony został przez inne doniosłe wydarzenia: oto po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nastąpiły

naturalne narodziny w naturalny sposób poczętego człowieka. Rodzice dziecka nie wykazywali cech genialności — przeciętni, spokojni, uczciwi ludzie.

Przebieg porodu transmitowany przez niemal wszystkie stacje telewizji międzyplanetarnej obserwowali z napięciem miliardy osób. Krzykowi noworodka towarzyszyło głębokie westchnienie ulgi. Już bardzo dawno krzyk nie przyniósł ludziom tyle radości. Tak, ten krzyk usłyszano na wszystkich zamieszkałych planetach Układu Słonecznego. Chłopczyk urodził się zdrowy, ważył 4200 gramów, nadano mu imię Staś. Narodziny dziecka oznaczały powrót na starą drogę rozwoju ludzkości.

W dniu, w którym mały Staś skończył trzy miesiące, 7800 Arieli-2 osiągnęło ostatni już etap przyspieszenia prędkości startowej. Słońce i jego planety stały się jednym z wielu elementów Wszechświata, ani bardziej, ani mniej ważnym dla członków wyprawy, a kolebka ludzkości i jej nie rozstrzygnięte problemy już tylko kategorią historyczną. Najważniejsza była przyszłość, choć na obecnym etapie wyprawy nikt na jej temat nie mógł powiedzieć nic pewnego. Wiadomości nadchodzące z Ziemi, szczególnie te pozytywne, przyjmowane były ze skrywaną niechęcią. Na Ziemi tymczasem szczególne zainteresowanie wzbudzały natomiast codzienne transmisje informacyjne przekazywane przez załogę Ariela-1, która zachwycona była układem planetarnym Wolfa-359 — co potwierdzały nadsyłane materiały. Zastanawiano się wprawdzie, czy nie są to przypadkiem materiały dobrane tendencyjnie, nikt jednak nie miał realnych podstaw, by kwestionować uczciwość załogi Ariela-1.

Pewien niepokój wszakże pozostał; był on dla wielu osób powodem bezsennych nocy.

W połowie drugiego roku kosmiczna ekspedycja rozwijała już graniczne, prędkość podróży. Mezonowe silniki pracowały pełnym ciągiem. Lot przebiegał zgodnie z założonym programem. Wydawało się wszystkim, że do końca podróży nie wydarzy się nic nadzwyczajnego... Wtedy to właśnie z bazy stacjonarnej na Primie — gdzie zbudowano również ogromne lądowisko i zaplecze socjalne — nadeszła elektryzująca wiadomość:

— Piąta planeta gwiazdy Wolf-359 jest zamieszkała przez istoty rozumne o wysoko rozwiniętej kulturze i technice!

Z rąk do rąk wędrowały kolorowe wideogramy, przedstawiające istoty niezbyt podobne do ludzi. Włochate kończyny przypominające trąbę wymarłego słonia i duże niekształtne głowy osadzone na prawie okrągłym tułowiu nie mogły ukontentować zmysłu estetycznego przedstawicieli ziemskiej cywilizacji. W sumie jednak uznano, że „obcy” są na swój sposób sympatyczni. Tym bardziej gdy z dalszych informacji zaczęło wynikać, że Kwintianie (tak ich nazwano) nie wykazują wobec ludzi wrogich zamiarów, że można nawet mówić o ich fascynacji spotkaniem z Homo sapiens.

Kwintianie w swym rozwoju cywilizacyjnym . znajdowali się u progu ery kosmicznej. Już wtedy raketami wyposażonymi w silniki chemiczne odbywali ekspedycje naukowe w obrębie układu planetarnego Wolf-359, nie starając się jednak zasiedlać sąsiednich planet. Właśnie z jedną z takich ekspedycji nawiązał kontakt statek zwiadowczy Ariel-1. Ze wstępnych

ustaleń wynikał jedynie bardzo ogólny obraz cywilizacji Kwintian, jedno wszakże było pewne: ich organizmy — podobnie jak ludzkie — zbudowane były z białka węgla, którego schemat został zakodowany w cząsteczkach kwasu dezoksyrybonukleinowego. Wizja koegzystencji dwóch zupełnie odmiennych cywilizacji w ramach tego samego układu gwiazdowego była na pierwszy rzut oka pociągająca, gdy jednak opadła już euforia, wszyscy zaczęli zdawać sobie sprawę z potencjalnych niebezpieczeństw takiej sytuacji. Nawet jeśli początkowo wzajemne stosunki układałyby się pomyślnie, mógł przecież nadejść dzień, w którym interesy obu cywilizacji stałyby się przeciwstawne. A co będzie, gdy Kwintianom zrobi się za ciasno na rodzimej planecie? W tym czasie pozostałe planety układu będą już zasiedlone przez ludzi.

Komunikaty nadchodzące z Układu Słonecznego, sygnowane przez Międzyplanetarną Radę Administracyjną, zalecały daleko idącą ostrożność i umiarkowanie. Przede wszystkim pod żadnym pozorem nie należało informować Kwintian (jeżeli dojdzie już do rozmów między dwiema cywilizacjami) o zbliżającej się flotyli z osadnikami. Rozumieli to również członkowie załogi Ariela-1. Dlatego nie zdecydowali się lądować na Kwincie, nie dopuścili też do lądowania Kwintian na Primie, a wszystkie osoby, które kiedykolwiek zetknęły się z tubylcami, poddali surowej kwarantannie. Od tego momentu kontakt między obu cywilizacjami utrzymywany był tylko za pomocą środków łączności, co zresztą było zgodne z zamierzeniami i

taktyką działania Kwintian. Unikano w ten sposób ewentualnych wrogich incydentów, obie strony przyjęły postawę wy-czekująca, co nie przeszkadzało w regularnych seansach łączności, podczas których przekazywano sobie dość szczegółowe informacje za pomocą, obrazu i symboli matematycznych. Tak upłynęły dwa kolejne lata — według ziemskiego kalendarza. Flotylla Arieli-2 rozpoczęła manewr hamowania.

Centralna stacja łączności kosmicznej znajdowała się w 223 eskadrze, na pokładzie statku oznaczonego symbolem AF-518. Tutaj przyjmowano wiadomości z Układu Słonecznego i z układu Wolfa-359, a także przekazywano najważniejsze informacje w obu kierunkach. Nie było obawy, że Kwintianie wykryją flotyllę, gdyż nie znali oni jeszcze fal ultraszybkich.

Elżbieta Horthy, członek załogi AF-518, była wybitnym specjalistą w zakresie łączności kosmicznej. Na zmianę z dwudziestoma kolegami dyżuruwała w stacji łączności od samego początku lotu. W gruncie rzeczy było to zajęcie piekielnie nudną, polegające jedynie na odsiedzeniu swoich czterech godzin przy ogromnym pulpicie zsynchronizowanym z nie mniejszym ekranem. Właściwą obsługą stacji i selekcją materiału informacyjnego i tak zajmował się wszechobecny swymi czujnikami komputer pokładowy. Elżbieta poza zawodową specjalnością i własną urodą nie interesowała się niczym, dlatego nawet odkrycie Kwintian nie zrobiło na niej większego wrażenia. Przesypiała słodko najbardziej interesujące transmisje z Primy, przekazywane przez załogę Ariela-1, choć miała obowiązek zachowania pełnej świadomości w czasie seansów.

Nie spała jedynie wtedy, gdy na ekranie pokazywał się Piotr, dowódca Ariela-1 (jego załoga nie miała nazwisk), bardzo przystojny chłopak, z którym wiązała pewne nadzieje. Właśnie śniła jej się, że razem z Piotrem mieszkają w drewnianym domku nad brzegiem morza, kiedy ekran rozbłysnął czerwonym światłem, sygnalizującym odbiór nadzwyczajnej transmisji o najwyższej randze ważności. Elżbieta Horthy natychmiast zapomniała o pięknym śnie. Do tej pory raz tylko zdarzyło się, że transmisję poprzedzał czerwony sygnał — wtedy gdy odkryto cywilizację Kwintian. Co tym razem stało się aż tak ważnego?!

Piotr robił wrażenie bardzo zdenerwowanego, nie uśmiechnął się do Elżbiety, nie powiedział jej żadnego komplementu. Poprosił o niezwłoczne połączenie z dowódcą wyprawy i szefem ekipy naukowców. Jak zahipnotyzowana przełączała żądane kanały. Zgłaszający się kolejno admirał Nagumo i profesor Lumier byli zaniepokojeni. W tym momencie przekaz obrazu i dźwięku stał się niewyraźny, nie spotykane dotychczas zakłócenia nie pozwalały na zrozumienie Piotra. Dopiero włączenie filtrów trzeciego stopnia nieznacznie poprawiło jakość odbioru — na tyle, że można było wyraźnie usłyszeć słowa:

— Sytuacja wydaje się beznadziejna. Cywilizacja Kwintian doszczętnie zniszczona, całe życie biologiczne zniszczone... My już nie mamy szans, żeby odlecieć, żeby się ratować... Słyszycie mnie? Musicie natychmiast zawrócić! Natychmiast...! Przekażcie ostrzeżenie dla Układu Słonecznego! Im też w niedalekiej

przyszłości grozi śmiertelne niebezpieczeństwo... Dla całego życia... Proszę o potwierdzenie przyjęcia przekazu... Admirale Nagumo, słyszy mnie pan?

Wszystko wskazywało na to, że rozpaczliwe pytania zadawane na przemian przez admirała Nagumo i profesora Lumiera o przyczyny tego kataklizmu nie docierają do Piotra i reszty załogi Ariela-1. Na nic nie zdał się wysiłek pięknej Elżbiety Horthy. Piotr był człowiekiem inteligentnym, kontynuował więc przekaz, ale inaczej, widać nie spodziewał się już odpowiedzi:

— Słuchajcie mnie teraz uważnie... Nie wiadomo, skąd się wzięło to świństwo. Chyba z głębi Kosmosu. Nasze czujniki nie wykryły nic aż do momentu, kiedy Kwinta została szczelnie otulona tymi... rurkami... To wielkie kłębowisko rurek długości około 300 i grubości czterech metrów. Uwaga! Podam wymiary tylko jednej rurki! Halo! Otrzymałem teraz informację, że t o znajduje się już w stratosferze Primy... Już zaczął wydzielać się ten żółty gaz, a właściwie mgła. Przenika do poszczegół... Ale jak zabezpieczyć DNA? Skład chemiczny nieznany... Coś zupełnie odmiennego... Uwa...

Były to ostatnie fragmenty słów Piotra, które w żaden sposób nie wyjaśniały istoty rzeczy, jeśli zjawisko w ogóle należało do kategorii spraw dostępnych poznaniu człowieka. Głośniki odbioru milczały, przez ekran wizji przebiegło kilka zygzaków, by po chwili zielonym światłem zasygnalizować stan spoczynku całej aparatury. Na nic się zdała ogromna wiedza i doświadczenie Elżbiety Horthy w dziedzinie łączności kosmicznej. W bezsilnej złości mogła tylko tłuc pięścią w klawiaturę. Po chwili

ciężkiego milczenia pierwszy doszedł do siebie admirał Nagumo. Energicznie wydał Elżbiecie polecenie:

— Proszę natychmiast połączyć mnie z dowódcami wszystkich eskadr... i proszę opuścić pomieszczenie stacji. Ma się pani udać do siebie, z nikim nie kontaktować i pod najwyższym rygorem nikogo nie informować o treści przekazu z Primy. Wykonać!

## II

Wydarzenia w układzie Wolfa-359 znane były tylko dowódcom eskadr i poszczególnych statków. Tajemnica musiała być zachowana ze względu na kolonistów — element żywiołowy i niepewny, którego reakcja mogła okazać się nieobliczalna. Admirał Nagumo zdawał sobie jednak sprawę, że na dłuższy dystans prawdy ukryć się nie da. Dotychczas co trzy dni emitowany był biuletyn informacyjny o życiu i działalności załogi Ariela-1. Zwłoka w emisji biuletynu mogła wywołać podejrzenie wśród kolonistów, że coś się przed nimi ukrywa. Mnożyły się żądania i protesty, powoływano by komitety i zgłaszano petycje, tymczasem sytuacja wymagała spokoju i zimnej krwi.

Admirał Nagumo po wielogodzinnej dyskusji z dowódcami eskadr zdecydował się na drakońskie rozwiązanie — kolonistom do posiłków dodawać się będzie silne środki nasenne oraz sole ogólnie hamujące czynności fizjologiczne organizmu. Będą spali jak dzieci. Manipulowanie czasem i odpowiednie preparowanie biuletynowych informacji nie powinno przedstawiać trudności. Dla załóg upłyną, tygodnie, gdy tymczasem



koloniści będą sadyć, że upłynął zaledwie jeden dzień. W czasie wymuszonego snu osadników zostanie wykonany eliptyczny manewr skreću, tak by w kaźdej chwili można było obrać kurs powrotny do Układu Słonecznego.

Przerwany został manewr hamowania, wyprawa mknęła na jałowym biegu mezonowych silników. 682 eskadra otrzymała rozkaz odłączenia się od klucza i dokładnego zbadania wydarzeń, które rozegrały się na planetach Wolfa-359.

Eskadra pod dowództwem komandora Jaźwińskiego szybko zbliżała się do układu Wolfa-359, powiększając z kaźdą sekundą odległość od trzonu wyprawy. W obliczu bezpośredniego niebezpieczeństwa kolonistów na pokładzie 682 eskadry nie można było pozbawiać świadomości, dlatego nie podawano im kaźnych spowalniczy czynności życiowych. Komandor Jaźwiński wytłumaczył wszystkim, że eskadrze przypadł w udziale zaszczyt czołowego ubezpieczenia całości wyprawy przed ostatecznym manewrem lądowania. Za pomocą kilku starych jak świat demagogicznych chwytów przygotował kolonistów na najgorsze, zarazem zręcznie ukrywając rzeczywisty powód odłączenia się od wyprawy. Koloniści poczuli się zaszczytzeni i wyróżnieni; świadomość przyjęcia na siebie ewentualnego niebezpieczeństwa, spełnienia dziejowej misji spodobała się nawet wielu osobom.

Po trzech miesiącach lotu eskadra znalazła się na orbicie Wolfa-359 — między planetami Tercja i Kwarta. Radość zgromadzonych wokół iluminatorów kolonistów nie miała granic. Dla nich cel wyprawy został osiągnięty! W tym też czasie od

statku dowódcy bezszelestnie, w sposób dla nikogo niewidoczny oderwała się raketka zwiadowcza typu „Elektron” z piętnastoma osobami na pokładzie. Wkrótce stateczek wszedł na orbitę Primy poza zasięgiem przyciągania planety.

Planetę okrywała gruba warstwa żółtych chmur, całkowicie przesłaniając widoczność. Sygnały wywoławcze Ariela-1 pozostawały bez odpowiedzi. Baza na Primie milczała. Nie wykryto również innych obiektów, o których mówił Piotr w ostatnim meldunku. Czyżby rurkowata, gigantyczna struktura była tylko wytworem wyobraźni? Zdania na ten temat były podzielone. Badanie powłoki chmur za pomocą analizy widmowej nie przyniosło nic rewelacyjnego — chmury składały się z pary wodnej i wodoru. Przy dokładniejszych badaniach okazało się, że zawierają pojedyncze aminokwasy — nie połączone w większe cząsteczki białkowe. Można się było zresztą tego spodziewać zważywszy, że powierzchnia i atmosfera Primy znajdowały się w stanie prebiotycznym. Należało więc uczynić następny krok i pobrać do bezpośredniej analizy chemicznej próbkę atmosfery planety. Zachowano przy tym maksymalne środki ostrożności. Bezzałogowy zasobnik wracający ze stratosfery zatrzymał się w odległości 300 metrów od Elektronu. Analizę chemiczną przeprowadzono automatycznie we wnętrzu zasobnika, przy użyciu komputera analiz — i tym razem nie odkryto nic szczególnego. Niestety, nie można było zbadać struktury fizycznej próbki, żółty kolor chmur dał się wyjaśnić specyficznym załamaniem światła wysyłanego przez Wolfa-359.

Uczni zastanawiali się właśnie, w jakim kierunku powinny iść dalsze badania, kiedy z zasobnika napłynął sygnał o niecałkowitej szczelności komory probierczej. Ponieważ jednak wszystkie urządzenia działały sprawnie, w grę wchodziły dwie możliwości: awaria komputera nadzorującego prace zasobnika (w takim razie alarm byłby fałszywy) lub hipoteza, że atmosfera planety ma zdolność przenikania przez materiały izolacyjne i powierzchniowe, z których zbudowany jest zasobnik.

Szczególnie ta druga ewentualność wymagała sprawdzenia. Mógł to zrobić tylko żywy człowiek, w dodatku szybko, gdyż ciśnienie we wnętrzu zasobnika spadało z każdą chwilą.

Należało jeszcze tylko odpowiedzieć na pytanie, kto ma to zrobić. Po chwili milczenia zgłosił się dr Jan Benedykt, młody i zdolny mikrobiolog. Nie, nie odznaczał się nadmierne, odwagą, miał tylko najsłabszy system nerwowy. Nie wytrzymał przedłużającego się milczenia, więc wstał i powiedział krótko:

— Ja pójdę!

Nikt nie oponował, nikt nie wysunął kontrkandydatury. Jan Benedykt jest młody, sprawny, zdolny — on to zrobi najlepiej.

— Musimy koniecznie sprawdzić, jaki jest wpływ pobranej do badań atmosfery na organizmy żywe — powiedział nagle młody uczonek. — Pamiętajcie, co mówił Piotr w tej ostatniej transmisji: uważajcie na DNA! Kłopot jedynie w tym, jaki materiał biologiczny miałby być przeniesiony do wnętrza zasobnika, żywych organizmów na pokładzie nie mamy, oprócz nas samych oczywiście. Ale mam pewien pomysł... pomysł był prosty.

W treści zołądka każdego człowieka znajdują się rozliczne bakterie, które nie tak trudno wydobyć na zewnątrz...

Elektron zbliżył się do zasobnika na odległość 10 metrów. Po chwili ze śluzy wyszedł człowiek ubrany w skafander przystosowany do pracy na zewnątrz rakiety. Zręcznie manewrując silnikami, znalazł się niebawem na powierzchni zasobnika. Otworzywszy śluzę wejściową, włączył oświetlenie i zaraz potem wyjął z trzymanego w ręku kontenera szklaną fiolkę z żółtobrunatnym płynem. Zgodnie z planem powinien był fiolkę postawić na komputerowym czytniku reakcji, ustalić przyczynę dekompresji, otworzyć śluzę komory probierczej i natychmiast wyjść. Jednak po ustaleniu, że ciśnienie w komorze jest już bliskie zera, co oznaczało, że zamierzony eksperyment nie może się udać, bez większego zastanowienia otworzył śluzę. W tym momencie usłyszał świst powietrza, a potem zdenerwowane głosy obserwujących go kolegów.

— Jan, coś ty zrobił najlepszego!? Uciekaj natychmiast! Słyszysz? Natychmiast opuść zasobnik!

Chciał właśnie powiedzieć, że nic się nie stało, bo próbka atmosfery planety w jakiś niewyjaśniony sposób wyparowała jak kamfora, kiedy poczuł, że jego dość sztywny kombinezon wiotczeje na lewym ręku i staje się nienaturalnie luźny. Chciał podnieść rękę ku osłoniętej przezroczystym kaskiem twarzy, ale stwierdził, że to niemożliwe. Nie odczuwał bólu, ale trudno mu było opanować przerażenie, kiedy zobaczył, że całe lewe przedramię stało się cieknącą, galaretowatą masą bez śladów

krwi i tkanki kostnej. Koło nóg utworzyła się już spora kałuża. Kropla po kropli to, co jeszcze niedawno było sprawnym organizmem, w niepojęty sposób przeciekało przez powłokę kombinizonu wprost na podłogę zasobnika. Zmniejszone pole grawitacyjne powodowało, że na oślizgłej powierzchni co chwilę wyrastały wzdymające się bąble. Oparł się plecami o ścianę i powiedział cicho:

— Nie wiem, co się stało... Nie mam lewej ręki... to stale się powiększa... Ze mną już chyba koniec... Lećcie dalej...

Lecieć dalej — wszyscy o tym myśleli, słuchając słabnącego z każdą chwilą głosu Jana Benedykta. Nie mógł już stać o własnych siłach. Z trudem zdjął z głowy kask ochronny. Ze zgrozą zauważył powolny rozkład kończyn dolnych w okolicach kolan. Należało się spieszyć, dopóki posiadał jeszcze sprawny mózg. Dowódca Elektrona, kapitan Aramaj Stepanic, po chwili bezradnego milczenia rzucił do mikrofonu:

— Jan, gdybyś mógł jeszcze...

Jan Benedykt, bezkształtna, rozlewająca się masa o umyśle naukowca, zrozumiał, czego oczekuje od niego dowódca statku. Doczołgał się do komputerowego czytnika reakcji i obrotowym ruchem tułowia spowodował, że rozplywający się kikut lewej ręki klapnął jak nasączona wodą gąbka na płytkę czytnika. Nie mógł już zrobić nic więcej, przestał żyć. Kiedy monitor rozjarzył się informacją, Jan Benedykt był już tylko zawieszoną breją nieokreślonej barwy. W tym też momencie silniki Elektrona podjęły pracę — statek błyskawicznie oddalił się od zasobnika i jęgo koszmarnego wnętrza.

Wyniki analizy mogły przerazić najbardziej wytrawnego badacza kosmicznych fenomenów. Bez wnikania w strukturalne właściwości nieznannej substancji wydzielającej się z rurkowatych tworów było oczywiste, że ma ona zdolność rozkładania DNA na poszczególne aminokwasy, a potem na jeszcze mniejsze cząsteczki. Niezbicie wynikało to z fatalnego eksperymentu, przeprowadzonego na materiale biologicznym pod nazwą Jan Benedykt. Było to coś zupełnie nowego. Oczywiście DNA można rozłożyć za pomocą wielu różnych metod i środków, ale z substancją, która dokonałaby tego w sposób tak gwałtowny, zetknięto się po raz pierwszy. Tę zabójczą dla życia biologicznego substancję kapitan Aramaj Stepanic nazwał Anty DNA.

Poinformowany o wszystkim admirał Nagumo mógł zrobić tylko jedno — sprawnie wykonać zwrot i szczęśliwie doprowadzić wyprawę z powrotem do Układu Słonecznego. Admirał nie był w pełni zadowolony z wyników badań przeprowadzonych przez załogę Elektronu — zbyt wiele spraw pozostało nie wyjaśnionych, a naukowy aspekt tego fenomenalnego zjawiska niezmiernie przecież interesował uczonych. Szczególnie profesor Lumier i jego współpracownicy nalegali na kontynuowanie badań. Nagumo zgodził się więc, by na Primie wylądował bezzałogowy automatyczny ładownik z aparaturą i odpowiednim materiałem biologicznym do dalszych badań. Uzyskano w ten sposób potwierdzenie ustaleń dokonanych przez załogę Elektronu, ale nic więcej. Dla dokładnego spenetrowania wszystkich planet układu Wolfa-359 admirał Nagumo oddelegował trzy statki typu Elektron z odpowiednio poinstruowanymi załogami. Jeśli nieznaną destrukcyjny czynnik zaatakował wszystkie

planety, należało oczekiwać, że w pobliżu którejś z nich nastąpi kontakt z kłębowiskiem niszczycielskich rurek. Okazało się jednak, że Secunda, Tercja i Kwarta pozostały nie tknięte przez nieznaną żywiol. Na pierwszych dwóch zachowało się środowisko prebiotyczne, na Kwarcie po dawnemu zieleniła się pierwotna roślinność, a w wodach wiodły swoje małe żywoty pierścienice i skorupiaki. Kwinta — najbardziej interesująca ze wszystkich planet — powitała badaczy gęstą, powłoką żółtego „paskudztwa”. Tu wszystkie organizmy żywe przestały istnieć. Elektrycy otrzymały polecenie odwrotu. Tak więc pierwsza próba kolonizacji gwiazd przez mieszkańców Układu Słonecznego zakończyła się niepowodzeniem z przyczyn, które nazywa się obiektywnymi.

Z różnych względów, przede wszystkim politycznych, był to powrót bardzo trudny, którego implikacji niepodobna było jeszcze przewidzieć. Po wyrównaniu kursów wszystkich eskadr na czele szyku znalazł się samodzielny bojowy Ariel-2, podporządkowany bezpośrednio admirałowi Nagumo i stanowiący niejako siłę zbrojną wyprawy. Statek ten, oznaczony symbolem „O”, miał lecieć w stanie najwyższej gotowości bojowej. Niebezpieczeństwa nie można było lekceważyć, a nad faktami zarejestrowanymi w układzie Wolfa-359 trudno było przejść do porządku dziennego.

### III

Oficjalną wiadomość o powrocie i przyczynach tej decyzji koloniści przyjęli w grobowym milczeniu. Protestować? Błagać?

Prosić? Kogo? I o co? Mieli pełną świadomość tego, co się stało, nie podawano im już środków usypiających, ale też nikt im nie powiedział, że przespali słodko szmat czasu. Tak czy inaczej przyszłość nie rysowała im się zbyt jasno. Większość bliskich i znajomych pewnie już nie żyła. Gdyby nawet na Ziemi i innych planetach nie nastąpiły rewolucyjne zmiany, to i tak będą kłopoty z powtórным przystosowaniem, tego nie da się uniknąć. Wiele osób jednak cieszyło się, że wraca na „stare śmieci”, choć wszystko trzeba będzie zacząć od początku.

Najważniejszym problemem stało się znalezienie mieszkań dla wszystkich niedoszłych kolonizatorów odległych ciał kosmicznych. Wymagało to zmniejszenia metrażu mieszkalnego dla ludzi osiadłych na stałe w Układzie Słonecznym; można się było liczyć z powszechnym niezadowoleniem i konfliktem interesów — osiadłych i powracających. Zdawała sobie z tego sprawę Międzyplanetarna Rada Administracyjna, dlatego nie podano do powszechnej wiadomości informacji o powrocie Arieli-2. Przynajmniej do czasu, kiedy zostaną zrealizowane niezbędne przedsięwzięcia organizacyjne. Duże zainteresowanie decydenckich kręgów Układu Słonecznego wywołał projekt, by powracające statki pozbawić prawa lądowania na którejkolwiek z planet. Niech utworzą kosmiczne miasto satelitów i zaczną żyć własnym życiem. O tej propozycji nie poinformowano z kolei dowództwa wyprawy. Jakoś nikt nie odważył się porównać sił obu społeczności w aspekcie militarnym — bezsenne noce wskutek apokaliptycznych przewidywań nie należy



przecież do przyjemności

— Obiekt na kursie! — sztucznym, matowym głosem zameldował komputer statku oznaczonego kryptonimem „O”. Dowódca natychmiast ogłosił alarm bojowy — jak się okazało, całkiem niepotrzebnie, przynajmniej na razie. Obiekt znajdował się w dość znacznej odległości od statku, a pierwsze obliczenia wykazały, że jest to raczej niewielka planeta o objętości niewiele mniejszej od objętości Księżyca, jednak o tysiąckrotnie mniejszej masie, słowem, wielkie nic. Mogła to być zagubiona kometa, czym dałoby się wytłumaczyć fakt, że nie zarejestrowano jej w pierwszej połowie podróży. Admirał Nagumo nakazał dowódcy „O” zwiększenie prędkości i niezwłoczne zbadanie zagadkowego obiektu. Po tygodniu otrzymał krótki meldunek:

— Rurki, kłębowisko rurek! Prędkość 0,30! Kurs... Układ Słoneczny!

Natychmiast skontaktowano się z Międzyplanetarną Radą, Administracyjną, która uparcie nie chciała wierzyć przedstawionym faktom ; kilkakrotnie żądała powtórzenia wiadomości. Na koniec obiecała pomóc wszelkimi sposobami.. Niech tylko admirał Nagumo najpierw to zniszczy. Trzeba bronić Układu Słonecznego! Ostatnie zdanie brzmiało rozpaczliwie.

Już od pewnego czasu „O” krążył w bezpiecznej odległości od obiektu, który w przypływie czarnego humoru nazwano „Kłębuszkiem”. Sytuacja przypominała podchody dwóch samurajów. W „Kłębuszek” wycelowane były impulsowe działa laserowo-kwantowe, on zaś kierując wyloty swoich rurek w stronę ziemskiego statku podążał do Układu Słonecznego jak

po sznurku. Nieznany był rodzaj napędu, jakim się posługiwał — po prostu leciał ze stałą, bardzo dużą prędkością. Mógł być sterowany z zewnątrz, ale równie dobrze ośrodek dyspozycyjny mógł się znajdować w środku kłębowiska. Czym więc jest to coś? — zadawano sobie pytanie. Sztucznie stworzona, niszcząca bronią? Czy może gigantycznym organizmem żywym lub zbiorem takich organizmów? Analizy wykazywały niezbitcie, że „Kłębuszek” w 90 procentach składa się ze zwykłej wody, wykryto również węgiel, azot, żelazo i kilka innych pierwiastków, znanych nauce i występujących w całym Wszechświecie. Wykonane zdjęcia dowodziły, że w ciągu 72 godzin poszczególne rurki ulegają podziałowi na dwa identyczne egzemplarze, z tym że część z nich musi obumierać, gdyż masa „Kłębuszka” wykazuje cechy stałości. Skąd zresztą miałby pobierać budulec i energię? Zarejestrowano jedynie, że w momencie zbliżania się „O” obiekt zwiększa objętość, puchnie. Zaczęto się więc skłaniać ku koncepcji organizmu żywego. Nie ustalono jednak, na jakiej zasadzie odbywa się proces replikacji, nie wykryto też widma charakterystycznego dla DNA. Członkowie załogi „O” mieli przykrą świadomość, że są również w jakiś sposób obserwowani przez tego stwora. Trudno było powiedzieć, kto tu właściwie jest napastnikiem, a kto ofiarą.

Ciągle ponaglany przez Radę Administracyjną i hamowany przez profesora Lumiera, admirał Nagumo wydał wreszcie rozkaz zniszczenia obiektu. Po pierwszej salwie ze wszystkich laserowych dział, której towarzyszył seledynowy błysk, ludzie nie spodziewali się już ujrzeć niezwykłego kosmicznego

przybysza. „Kłębuszek” jednak otoczył się gęstą chmurą i dziesięciokrotnie zwiększył swoją objętość, co mogło oznaczać tylko daleko posunięty proces parowania wodnej masy. Admirał Nagumo polecił oddać jeszcze dwie salwy. Znowu nastąpił seledynowy błysk i w tej samej chwili cała energia niszczycielskiego impulsu odbiła się od chmury wytworzonej po pierwszej salwie i uleciała w przestrzeń. Tego już nie dało się wytłumaczyć inaczej niż tylko reakcją obronną. Przez kilkanaście sekund trwała zupełna cisza, dopiero po chwili w głośnikach rozległ się ochryply głos admirała:

— Ogień ciągły!

Z pokładu „O” w pięciosekundowych odstępach zaczęły tryskać seledynowe błyski tylko po to, by natychmiast niewiarygodnym rykoszetem odbić się od warstwy chmur otaczających obiekt. Ostrzał trwał dokładnie cztery godziny, po czym dowódca „O” zameldował:

— Musimy przerwać, pojemność kwantobaterii zbliża się do zera. Sytuacja bez zmian.

W kabinie dowodzenia zapanowało kłopotliwe milczenie. Działa impulsowe zainstalowane na pokładzie „O” zamieniały w świetlisty obłok ciała skalne wielkości Ganimeda. Bardziej skutecznego środka niszczenia nikt jeszcze jak dotąd nie wymyślił. Pytanie „co dalej?” było jednocześnie szukaniem odpowiedzi, jak przetrwać.

Międzyplanetarna Rada Administracyjna po nieudanej próbie zlikwidowania „Kłębuszka” siłami powracającej wyprawy ogłosiła alert dla wszystkich uczonych Układu Słonecznego. Rozwiązanie musiało się znaleźć i to szybko. W historycznym mieście Niwka na Marsie odbyło się nadzwyczajne posiedzenie

Rady. Po raz; pierwszy przedstawiono opinii publicznej przyczyny powrotu wyprawy i niebezpieczeństwo zagrażające całej ludzkości. Apelowano o spokój, zimną, krew i skonsolidowanie wysiłków społeczeństw z działaniami Rady. Nie ukrywano powagi sytuacji. Wszyscy mieszkańcy Układu Słonecznego musieli mieć pełną świadomość nadciągającego niebezpieczeństwa. Liczono na poparcie i zrozumienie, jednak ku zdziwieniu i rozczarowaniu członków Rady czas po ogłoszeniu oficjalnego komunikatu przyniósł tylko polaryzację poglądów i postaw planetarnych społeczeństw. O jedności działania nie mogło być mowy. Sondaże opinii publicznej w tydzień po ogłoszeniu komunikatu wprawiły członków Rady w rozdrażnienie, a nawet rezygnację.

— Nam się oczu nie zamydli! Nie udało się w Kosmosie, bo tam nic nie ma, to wymyślili tego „Kłębuszka”, żeby wrócić! Tylko im na to pozwolić, to zaraz okaże się, że żadnego niebezpieczeństwa nie było... Tak, ale my będziemy musieli przyjąć ich do własnych mieszkań. Nie ma głupich! Niech wracają, skąd przylecieli! Wara od Układu Słonecznego!!!

— Zapomnieliśmy o grzechach, które popełniamy codziennie... te grzechy ktoś liczył, no i miarka się przebrała. Nadchodzi czas kary...

— Rada Administracyjna to banda zdrajców. Porozumieli się z Nagumo, zburzą miasta, pomordują ludzi i w ten sposób rozwiążą problemy demograficzne! Albo wprowadzą tyrańskie rządy, śmierć zdrajcom i ich siepaczom z Arieli!

— Osiągnęliśmy już wszystko, co wedle praw rządzących Wszechświatem cywilizacja istot rozumnych może osiągnąć...

Pora udać się na spoczynek, właśnie zbliża się środek nasenny... Dobranoc!

Zdecydowana większość obywateli kategorycznie sprzeciwiała się powrotowi kolonistów w obręb Układu Słonecznego. W tym stanie rzeczy zamieszki wydawały się nieuniknione.

Oczywiście niezależnie od tych mistycznych czy wrogich postaw były i deklaracje współpracy, zapewnienie o gotowości do poświęceń etc. Znalazła się nawet grupa ofiarnych samobójców, którzy postanowili dobrowolnie zetknąć się z jadowitą substancją, „Kłębuszka”. Przez własną, śmierć chcieli wyczerpać jego niszczycielski potencjał i tym samym uratować ludzkość. Cóż, kiedy zamiast wdzięczności demonstrowano im stary jak świat gest — pukanie palcem w czoło. Najrozsądniejszy sposób działania proponowali ci, którzy jedyną szansę widzieli w szybkiej budowie maksymalnej liczby Arieli i natychmiastowym odlocie. Tylko gdzie lecieć i kto dostąpi zbawienia? Bo przecież wiadomo, że wszyscy się nie zbiorą. Czy więc nie lepiej zamiast beznadziejnej tułaczki po Kosmosie wybrać wspólną, równą dla wszystkich śmierć we własnym łóżku? W gruncie rzeczy strach przed śmiercią to tylko wszechogarniające uczucie zazdrości, że inni przez jeszcze jakiś czas żyć będą po nas. Ale jeśli umrzemy wspólnie — nie będzie komu zazdrościć. Więc po co to wszystko! Nie lepiej pożyć kilka lat wesoło i z rozmachem? W praktyce sprowadzało się to do dawno już zarzuconego pijaństwa, hulanki i narkomanii, która jednak dzięki rozwojowi przemysłu halucynogennego nie wywoływała

już psychofizycznych spustoszeń. W sumie Rada Administracyjna stanęła przed całą gamą problemów. Admirał Nagumo otrzymał kolejne krótkie polecenie:

— Próbuje dalej innymi sposobami.

Inne sposoby? Nie znał ich ani admirał, ani trust mózgów profesora Lumiera. Dlatego polecenie Rady Administracyjnej sprawiło wszystkich w rozdrażnienie. W tym czasie „Kłębuszek” i towarzyszący mu statek bojowy „O”, a w ślad za nimi cała flotylla najkrótszą drogą zmierzały w kierunku Układu Słonecznego.

Po naładowaniu kwantobaterii „O” zgłosił gotowość do dalszego ostrzału opornego obiektu. Trudno było wprawdzie oczekiwać spektakularnego skutku po tym, co już zaszło, nastąpił jednak pewien ubytek masy intruza, co ustalono zaraz po opadnięciu obronnej chmury. Domyślano się, że przyczyną tego jest nie tyle ostrzał, co naturalny mechanizm obronny monstrualnego kosmicznego organizmu. Zabłysła iskierka nadziei, że odpowiednie przeciążenie tego układu-mechanizmu spowoduje zachwianie reakcji obronnej, wtedy impulsowe działa zamienią obiekt w syczący obłok pary. Tok rozumowania dowódcy „O” wydawał się bez zarzutu, toteż po kilku tygodniach na rozkaz admirała Nagumo do bezpośredniej rozgrywki z „Kłębuszkiem” włączyły się dwa dalsze statki tej samej klasy. Na razie w krzyżowym ogniu ich salw kłębowisko rurek po staremu okrywało się obronną chmurą, ale przynajmniej utrzymywano ciągłość ostrzału bez przerw na ładowanie kwantobaterii, a w tym właśnie kryła się szansa rozregulowania

bezbłędnej dotąd reakcji obronnej. Potrzebna była tylko cierpliwość i odrobina szczęścia, które chyba przecież istnieje w każdym zakamarku Wszechświata.

Jan Huwel był najstarszym członkiem załogi „0-3”. W wieku lat 117 ciągle jeszcze był sprawny, a niekiedy nawet błyskotliwy, ale zgodnie z surowymi przepisami służby na statku bojowym mógł zajmować się tylko nudnym nadzorem komputera racjonującego żywność. Nikt nie wiedział, dlaczego bez ochronnego skafandra wszedł do kanału przekaźników energetycznych i po co tam w ogóle wchodził. Musiał gołą ręką dotknąć metalowej ściany kanału — porażenie było śmiertelne. W pełnej napięcia i nerwowości atmosferze panującej na statku wszystkie czynności związane ze śmiercią Jana Huwela odbyły się bardzo szybko. Zwłoki zapakowano w aluminiową tubę i służą odpadkową wytransportowano w otwartą przestrzeń. Dopiero w godzinę później lekarz pokładowy stwierdził na podstawie odczytu komputerowego, że u porażonego Jana Huwela nie wykryto akcji serca, brak było natomiast danych o zaprzestaniu pracy mózgu. Wiadomo — pośpiech i zdenerwowanie. Lekarz sam siebie rozgrzeszył i o uchybieniu nie zameldował przełożonym, No bo przecież uderzenie 800 tysięcy voltów z reguły powoduje zejście śmiertelne. Dziwnym zrządzeniem przypadku tuba ze zwłokami Jana Huwela, wyssana na zewnątrz siłą próżni, pomknęła wprost w kierunku „Kłębuszka”. Krystaliczne radary wszystkich trzech statków zarejestrowały ten fakt po miesiącu. W tym czasie ostrzał akurat zawieszono, by dokonać zmiany kąta nachylenia działa. Wtedy to

po raz pierwszy zaobserwowano technikę morderczego działania rurek.

Kosmiczna trumna Jana Huwela znajdowała się właśnie o trzy dni drogi od obiektu, kiedy jedna z rurek zindywidualizowała się. Oderwała się od reszty i pomknęła w kierunku tuby, gdzie jednym końcem przyłgnęła do metalowej powierzchni. Można było zresztą przewidzieć taką reakcję, jeśli zważyć, że tuba zawierała materiał biologiczny, martwy wprawdzie, ale zawierający mnóstwo DNA. Wyszło przy okazji na jaw, że „Kłębuszek” posiada niezwykle czułe organy, bezbłędnie wykrywające swe potencjalne ofiary na znaczną, odległość. Choć — jak się później okazało — trudno by Jana Huwela nazwać ofiarą.

Po kilkuminutowym kontakcie rurka zaczęła wytwarzać gazową, powłokę i zaraz potem tuba ze zwłokami Jana Huwela błyskawicznie zmieniła kierunek, po czym ze wzrastającą prędkością zaczęła wracać tam, skąd przyleciała. Specjaliści od dział impulsowych wrzasnęli: „Rykoszet” i na chwilę zamarli, a potem jęli się spierać.

No tak, tuba ze zwłokami potraktowana została początkowo jako ofiara, ale potem... musiała nabrać cech napastnika, skoro wraca jako rykoszet. Było to coś nowego.

Metalowy pojemnik, w którym złożono tragicznie zmarłego Jana Huwela, nie był zaprojektowany wyłącznie do tak smutnego celu. Była to przede wszystkim sanitarka, przystosowana do szybkiego przerzutu chorych z jednego statku na drugi w warunkach kosmicznej próżni. W jej wnętrzu znajdowała się



automatyczna aparatura do podtrzymywania życia, a także podręczna radiostacja. Wszystko to było oczywiście bezużyteczne, kiedy czasami — jak w przypadku Jana Huwela — kontenera używano do transportacji zwłok.

Wszyscy podskoczyli z wrażenia, kiedy z głośników dobiegł ich cichy głos:

— Gdzie ja jestem? Wypuście mnie stad!

Był to bez wątpienia głos Jana Huwela. Odkrycie to u wielu osób wywołało gęsią skórkę na plecach, mimo materialistycznego światopoglądu. Emocje troszkę opadły, gdy odczytano dane o stanie rzekomego denata: Jan Huwel żyje! Co do tego nie mogło być wątpiwości. Czy jednak jest nadal człowiekiem po bliskim spotkaniu ze straszliwą rurką? Trzeba było działać natychmiast. Małym ratowniczym stateczkiem — już poza strefą niebezpieczeństwa — przejęto kontener z zagadkową zawartością. „Zawartość” znaleziono w stanie krańcowego wyczerpania z braku pożywienia i wody. Jan Huwel zdziwił się bardzo, kiedy opowiedziano mu pokrótce, co się działo z jego osobą. Pamiętał tylko, że w czasie pełnienia służby zrobiło mu się duszno dlatego wszedł na chwilę do kanału energetycznego — tam zawsze panuje przyjemny chłód. Wiedział oczywiście, że nie wolno tego robić pod żadnym pozorem, ale nie miał lepszego pomysłu na pozbycie się tej duszności. Więc wszedł, potknął się o coś... i stracił przytomność. Obudził się, gdy poczuł bardzo silne przeciążenie. Potem zaczął wzywać pomocy przez małą radiostację, którą znalazł pod pneumatycznym leżakiem, To wszystko, co wie.

Specjalistyczne badania lekarskie wykazały że od momentu porażenia prądem Huwel znajdował się w stanie pośrednim między letargiem a śmiercią kliniczną. Lekarz, który tego nie dostrzegł, został natychmiast zawieszony w czynnościach, choć po głębszym zastanowieniu należało go raczej nagrodzić. Implikacje wynikające z przypadku Jana Huwela mogły mieć decydujące znaczenie dla dalszych losów całej ludzkości. Wynikał z niego logiczny wniosek: ADNA atakuje wyłącznie istoty obdarzone inteligencją, nie robi im jednak krzywdy, jeśli znajdują się w stanie życia utajonego, to znaczy, kiedy ustają wyższe funkcje mózgu. Dlatego uratował się Jan Huwel, a jego imiennik, dr Jan Benedykt, musiał zginąć — rozłożony na czynniki pierwsze. Dlatego przetrwały rośliny i bakterie na kilku planetach Wolfa-359, a wyparowali Kwintianie i cała ich cywilizacja.

Wystarczy, jeśli będziemy żywymi trupami przez 96 godzin... Taki właśnie plan ocalenia ludzkości opracował profesor Lumier. Tylko jak namówić ludzi, by popełnili takie niby zbiorowe samobójstwo? Na razie rozpoczęto gigantyczną produkcję automatycznych jednorazowych strzykawkę w proporcji: jeden człowiek — jedna strzykawka. W tej samej proporcji zaczęto następnie wytwarzać ampułki ze specyfikiem pod nazwą „Denatofil”. Gwarantował on 96-godzinny letarg, co według obliczeń profesora Lumiera powinno być wystarczyc. Zgodnie z projektem „Przetrwanie” o określonej godzinie wszyscy ludzie mieli wstrzyknąć sobie dożylnie jedną ampułkę „Denatofilu” i ułożyć się w bezpiecznym miejscu. Po odlocie „Kłębuszka” pomocy w powrocie do życia miały udzielać załogi Arieli jako

jedyny zdolny do przeżycia bez środków chemicznych element. Pozostawała wprawdzie wątpliwość, czy jednostkowy przypadek Jan, Huwela można uogólniać, ale i tak nie było innego wyjścia.

Dopiero kiedy wszystkie magazyny zapełnione zostały strzykawkami i ampułkami z „Denatofilem”, Międzyplanetarna Rada Administracyjna zdecydowała się ogłosić szczegóły akcji pod kryptonimem „Przetrwanie”. I wtedy zaczęło się...

Nawet ci, którzy początkowo popierali poczynania Rady, stanęli teraz po drugiej stronie barykady. Sprzeciw był powszechny i gwałtowny. Nikt nie chciał słyszeć o „Denatofilu”, nikt nie zamierzał być ofiarą „zmowy” Rady Administracyjnej i admirała Nagumo, nikt nie chciał dobrowolnie umierać... Raz po raz odbywały się ataki rozwścieczonego, doszukującego się zdrady tłumu na obiekty użyteczności publicznej na wszystkich zamieszkałych planetach Układu Słonecznego. Siły porządkowe nie interweniowały licząc na to, że napięcie rozładuje się kosztem kilku budynków i linii komunikacyjnych. Mimo licznych apeli i nasilonej akcji propagandowej — ferment wzrastał. Szczególną zapalczywość wykazywano w rujnowaniu magazynów ze strzykawkami i ze wszystkimi w ogóle środkami leczniczymi. Każda ampułka była podejrzana o to, że zawiera zdradziecki „Denatofil”. Sprawy zaczęły przybierać jeszcze groźniejszy obrót, kiedy rozbito magazyny z miotaczami laserowymi i zajęto niektóre stacje łączności międzyplanetarnej. Okazało się, że natura ludzka nie zmieniła się od czasów kamienia

łupanego, a cała warstwa kulturowo-cywilizacyjna budowana z mozołem przez wiele stuleci, jest tylko cienką, błonką, którą nader łatwo rozerwać. Luźne watahy zbirów, stanowiące swe własne niepisane, brutalne prawa stada, stały się dominującym elementem życia zamieszkałych planet Układu Słonecznego. Międzyplanetarna Rada Administracyjna straciła panowanie nad sytuacją, przestała mieć wpływ na cokolwiek. Przerwany został kontakt z siłami admirała Nagumo. Pracowały jedynie nadajniki mniejszej mocy, opanowane przez zbuntowane masy. Biegły w eter żądania i pogróżki skierowane pod adresem wyprawy: — Wynoście się stąd! Ale już...!

#### IV

Kiedy „Kłębuszek” i podążające za nim Ariele znalazły się w bezpośredniej bliskości Układu Słonecznego, w każdym skupisku ludzkim konstituowały się niezależne od siebie ośrodki władzy o najrozmaitszych orientacjach. Lumier i jego współpracownicy, znużeni i zachrypnięci, przez 24 godziny na dobę prosili, błagali i żądali odrobiny zaufania i rozsądku. Było to przysłowiowe gadanie dziada do obrazu z tą różnicą, że owszem, otrzymywali odpowiedzi, ale w formie gróźb, obelg i przekleństw. Każda godzina zwłoki przybliżała katastrofę. „Kłębuszek” nieznanym sposobem zaczął redukować szybkość. Znajdował się już w granicach Układu Słonecznego. Eskadry admirała Nagumo wynajdywały natomiast różne powody, by tego nie czynić. Bo i ostatecznie dlaczego ginąć mają wszyscy? Wejście w obręb Układu wymaga materiałów napędowych,

które mogą się przydać do innych celów — mówiono. Z Ziemi obecność obiektu byłaby łatwa do wykrycia, gdyby działały radary krystaliczne, gdyby nie zostały zniszczone lub rozmontowane. A tak Ziemianie stali się ślepi i głusi. Jako pierwsze ofiarą kosmicznego potwora padły rejsowe promy międzyplanetarne i mniejsze rakiety z ekipami uczonych, a także załogowe stacje satelitarne. „Kłębuszek” w szybkim tempie jął zbliżać się do Marsa i jego pograżonych w chaosie mieszkańców. W miarę zbliżania się do planety zaczął przybierać kształt soczewkowaty; do złudzenia przypominał średniowieczną klepsydrę, najwyraźniej dzielił się na dwie części. Ta druga przeznaczona była dla Ziemi.

Zagłady mieszkańców Układu Słonecznego nikt już nie był w stanie odwrócić. Jeszcze przez pewien czas w eterze krzyżowały się sygnały radiowe planetarnych stacji nadawczych, słychać było muzykę, ktoś wygłaszał patetyczną mowę, ktoś domagał się nieustępliwości w działaniu i śmierci zdrajców. Ktoś wreszcie głosem pełnym przerażenia wołał o ratunek... Dla dyżurnych oficerów nasłuchu cisza, która nastąpiła potem, była jak uderzenie obuchem w głowę. Nikt nie śmiał jej przerwać nieopatrznym głosem lub gestem. Oto zamknął się wielki rozdział historii Kosmosu, zatytułowany „Homo sapiens”.

Profesor Lumier od kilkunastu godzin nie wychodził ze swojej kabiny. Był nieumyty, zarośnięty i bardzo blady. Pod drzwiami zebrali się jego najbliżsi współpracownicy. Wiedział, że powinien wyjść i powiedzieć: Nie wolno się poddawać, nie

wolno upadać na duchu... Koniecznie też powinien się uśmiechnąć. Wszedł w końcu i zapytał cicho:

— Już koniec?

Odpowiedziała mu cisza. Wykonał ręką nieokreślony gest i powiedział:

— My, ludzie, jesteśmy mikrobami, które powodują chorobę jakiegoś większego układu w skali Wszechświata. Dopóki nie przekroczyliśmy poziomu zwierzęcia, choroba znajdowała się w stanie utajonym. Zaogniła się, odkąd zaczęliśmy myśleć i przetwarzać nasze środowisko. Rozpoczynając podróże kosmiczne zburzyliśmy jakiś nie znany nam porządek, jak wirus atakujący kolejne komórki. I stało się... Zaatakowaliśmy samą swoją obecnością... Tylko kogo...? Lub co...? Bo „Kłębuszek” to przecież nic innego jak reakcja immunologiczna lub środek bakteriobójczy...

Profesor Lumier nie dokończył rozpoczętej myśli, bowiem oficer nasłuchu odebrał meldunek z martwego wydawałoby się Układu Słonecznego:

— Międzyplanetarna Rada Administracyjna znajdująca się na pokładzie statku Ariel-3 prosi admirała Franciszka Nagumo o podanie współrzędnych kursu celem połączenia się z resztą wyprawy. Na pokładzie statku znajdują się również nasze rodziny i dzieci. Prosimy o natychmiastową odpowiedź.

Stary admirał nie zwlekał z odpowiedzią. Poważnie zamyslił się dopiero wtedy, gdy jego następcą zapytał:

— Dokąd teraz polecimy, admirale?

— W prawo!!! — odrzekł w końcu stary „Lotniskowiec”.

## DZIECI GROBÓW

Wszelkie podobieństwo  
do miejsc, osób i okoliczności  
jest najzupełniej przypadkowe.

### I

Nie była to zdecydowanie burzowa chmura, szarość jej i strzępiastość zapowiadała raczej deszcz niż grzmoty i błyskawice. Przechodziłem właśnie przez skrzyżowanie, kiedy najpierw oślepiający błysk, a potem huk, od którego bębni w uszach mogły popękać, oznajmiły, że burza może wyniknąć z każdej chmury. Przyjemnie jest obserwować taki żywioł przez okno bezpiecznego pokoju, gorzej, gdy tuż nad głową buzuje kilkanaście tysięcy woltów różnicy potencjałów. Patrzenie na zegarek i odliczanie czasu od błysku do grzmotu nie miało sensu — były to zjawiska niemal równoczesne — zresztą spieszyłem się.

Dopiero po chwili dotarł do mnie dziwny fakt: deszcz nie padał. Wszedłem do najbliższej bramy i postanowiłem poczekać kilka minut. Nie, nie boje się burzy, to nie to, ale nie lubię tego hałasu. Może tylko atawistyczny odruch człowieka pierwotnego kazał mi się cofnąć parę kroków i przysunąć do ściany, ale i z tego miejsca mogłem obserwować, jak raz po raz od nisko wiszącej chmury odrywa się oślepiająca szpryca. Przejechało kilka samochodów z zapalonymi reflektorami i zupełnie niepotrzebnie włączonymi wycieraczkami. Ulica opustoszała. Deszcz wciąż nie padał. Powiniennem jednak pójść, przedwczoraj spóźniłem się do biura, wczoraj też... Przebiegłem

kilkanaście metrów i znów musiałem schronić się w bramie. Stad widać już było szary i niepozorny biurowiec. Podniosło mnie to na duchu. Pewnie nie tylko ja się dzisiaj spóźnię, będzie nas więcej, a w gromadzie zawsze różniej.

Odniosłem wrażenie, że burza się kończy. Wychodziłem właśnie z bramy, kiedy z podstawy chmury strzeliła niebieska spirala. Przypominała szeroką u góry i zwężającą się przy samej ziemi neonową serpentynę. Trwało to sekundę, może dwie. Światło w odróżnieniu od innych błyskawic nie było oślepiające, raczej łagodne. Z chwilą gdy serpentyna wkręciła się w ziemię, usłyszałem kilka następujących po sobie niegłośnych dźwięków o niskiej częstotliwości — bum, bum, bum, bum... Powstała jakaś dziwna wibracja — wyraźnie czułem pod nogami drżenie ziemi, ze sklepienia bramy posypał się tynk. Pociemniało mi w oczach, miałem wrażenie, że siedzę na karuzeli, ziemia kołysała mi się pod nogami, a może to ja? Było to bardzo przyjemne uczucie. Przez ciało przebiegało mi ciepło, to znów chłód. Jednocześnie poczułem obecność innych osób, zupełnie blisko coś się działo, słyszałem jakby gaworzenie dzieci, nieśmiałe szepty i śmiech. Odczułem nieokreślony związek z tym czymś, co mnie otaczało — dziwne, po policzkach spływały mi łzy. Pęd karuzeli zmniejszył się, ziemia przestała się obracać, głosy i szmery ucichły. Otworzyłem oczy, oślepił mnie blask przeraźliwie jasnego słońca. Odwróciłem się gwałtownie. Dopiero po chwili pulsujące czerwone kręgi znikły mi spod powiek. Stałem w tej samej bramie, na fiołkowym niebie, jakby odkurzonym, świeciło poranne słońce. Gdzieś z



oddali dały się jeszcze słyszeć grzmoty przegonionej przez wiatr burzy. Spojrzałem na zegarek: 10 minut spóźnienia jak w pysk strzelił!!! Pobiegłem na skróty przez park — gdzieś tutaj musiało lupnąć... musiało to być bardzo silne wyładowanie. Widocznie mnie ogłuszyło... Dla pewności kilkakrotnie potarłem uszy palcami

Na betonowej ścieżce alejki leżały martwe wróble, zauważyłem też gołębia. To ten piekielny huk je zabił. Biedne stworzenia nie wytrzymały takiej kupy decybeli. Ale nie miałem czasu dłużej się nimi zajmować.

Pchnąłem zielone obskurne drzwi i całym ciałem gnałem już do przodu, kiedy okazało się, że drzwi są zamknięte. Z rozpędu wyrzuciłem głowę we framugę. A to co? Nie mam już wstępu do tej instytucji? Cofnąłem się i spojrzałem w okna — wszystkie były zamknięte. Takie rześkie powietrze po burzy, a oni... Chciałem zwrócić na siebie uwagę. Niechby ktoś zszedł i otworzył mi te drzwi. Dlaczego je w ogóle zamknięto? Nie pamiętam, by kiedykolwiek były zamknięte o tej porze. W żadnym oknie nie poruszyła się nawet firanka.

Przeszedłem się kilkakrotnie wzdłuż budynku. Koło rosnącej naprzeciw lipy znów zauważyłem kilka martwych wróbli. Przemknął koło mnie bury kot z podniesionym ogonem, przeraźliwie miauczając i jeżąc sierść. W budynku w dalszym ciągu panowała martwa cisza. Zaczęło mnie to niepokoić. Krzyknąłem coś, rzuciłem kamyczkiem w szybę, potem w drugą. Cisza. Usiadłem na krawężniku naprzeciw i postanowiłem poczekać. Przyszło mi do głowy, że może przez tę burzę wszyscy się

spóźnili, a ja jestem pierwszy. Rozejrzałem się nawet po ulicy, ale nikogo nie zauważyłem. Podniosłem nieżywego wróbla. Miał matowobiałe oczy i otwarty dzióbek, jeszcze był ciepły. Ostatni impuls obumarłego mózgu kazał mu owinąć łapkę wokół mojego palca, jakby chciał wbić weń pazurki. Myślałem, że może jeszcze żyje, nawet chuchnąłem w jego otwarty dzióbek, ale to już był koniec. Położyłem go ostrożnie na ziemi z poczuciem nieokreślonej, niewytłumaczalnej krzywdy.

Po chwili wstałem i poszedłem na tyły budynku. Wszędzie te pozamykane okna. Na placu przed garażem z gumowego węża lała się woda. Służbowa nysa stała pośrodku ogromnej kałuży — a więc ktoś tu był przed chwilą... Wyglądało na to, że kierowca zamierzał umyć samochód. Zakręciłem kran. Drzwi od podwórza też były zamknięte. Przypomniałem sobie, że na samym dole mają ciężką, metalową zasuwę, zardzewiałą i nie używaną od lat. Kto zadał sobie trud, żeby ją przesunąć? I po co? Przecież nie po to, żebym nie mógł wejść do środka. Pokręciłem się jeszcze trochę po placu i wróciłem pod drzwi frontowe. Dopiero teraz zauważyłem, że na gałęziach drzewa dyndają pozrywane druty linii wysokiego napięcia. Jeżeli nie wyłączono prądu, mogło tu być niebezpiecznie, tym bardziej że znów zerwał się wiatr. Zaczynałem kojarzyć fakty. Burza zerwała przewody, budynek został pozbawiony energii, nie ma światła, nie działają telefony, więc dyrektor pewnie kazał wszystkim Iść do domu. Tak to musiało wyglądać. Na wszelki wypadek napisałem kartkę, że byłem, nie mogłem się dostać do środka i podpis

— żeby nikt nie mógł mi nic zarzucić. Kartkę wetknąłem w drzwi i postanowiłem jechać do domu — jutro wszystko się wyjaśni.

## II

Autobus nie był przepełniony, rzecz zrozumiała, wzięwszy pod uwagę porę dnia. Pozwoliłem sobie nawet usiąść, co zdarza mi się bardzo rzadko. Przede mną dwie starsze panie prowadziły ożywioną, rozmowę, kilkakrotnie padło słowo „burza”. Przywołało mi ono z pamięci obraz tego niezwykłego wyładowania, które zastało mnie w bramie. Pierwszy raz byłem świadkiem czegoś takiego. Czytałem gdzieś o piorunach kulistych, ale piorun spiralny? Tak to sobie na zwałem. I to późniejsze drżenie ziemi... albo głosy... zdrowo musiało rąbnąć.

W domu z czystej ciekawości zacząłem przeglądać encyklopedie. Pod hasłem „piorun” znalazłem skrótowe określenia, że tak, różnica potencjałów, temperatura około 18 tysięcy stopni. Tak, kulisty też jest, bardzo rzadkie zjawisko, przyczyny powstawania i sama istota fenomenu trudne do wyjaśnienia. Hasła „piorun spiralny” nie znalazłem. Czy wobec tego powinienem wyciągnąć wniosek, że nic takiego nie ma? A może trafia się, ale bardzo rzadko, powiedzmy, raz na 200 lat, i dzisiaj rano minęło właśnie 200 lat od ostatniego tego rodzaju zdarzenia? Może... W książce telefonicznej wyszukałem numer Wydziału Fizyki na uniwersytecie, tam powinni coś więcej wiedzieć. Zgłosił się dziekanat, poprosiłem o rozmowę z jakimkolwiek pracownikiem naukowym, który zajmuje się elektrycznością albo czymś pokrewnym. Dość szybko połączono

mnie z doktorem Korzewskim czy Korzyńskim — niewyraźnie wymówił nazwisko. Przedstawiłem mu krótko całe zdarzenie i zapytałem, czy kiedykolwiek odnotowano takie zjawisko. Roześmiał się:

— Nie buja mnie pan przypadkiem?

Poczułem się obrażony,, wytłumaczyłem mu więc, że nie lubię zmyślać ani bujać. Zresztą po co miałbym to robić? Doktor Korzewski albo Korzyński zmienił ton:

— Nie, proszę pana, nauka nic nie wie o takich zjawiskach. To, co pan widział dziś rano, to optyka, złudzenie. Piorun uderzył bardzo blisko, prostopadle do powierzchni ziemi. Panu jego kształt mógł przypominać spiralę lub serpentynę, to sprawa autosugestii. Nie ma człowieka, na którym bliskie i silne wyładowanie nie zrobiłoby wrażenia. Przepraszam pana za ten początek, ale studenci bardzo często robią mi głupie kawały.

Jak dotąd wydawało mi się, że mogę polegać na swoich zmysłach, a tu się okazuje, że wszystko jest względne. Skoro nauka twierdzi, że czegoś nie ma, a człowiek mimo to uważa, że coś jest, to znaczy, że zadziałała sfera autosugestii — a na to najlepszym lekarstwem jest zdrowy i mocny sen, po którym wraca się do tak zwanej normy. Chociaż i taki pogląd jest z gruntu subiektywny. Dobrze, że nie opowiedziałem mu o tych śmiechach i szeptach, pewno rzuciłby słuchawkę na widelki. Swoją drogą ciekawe, czy oprócz mnie jeszcze ktoś to widział? Może z samochodu, może z okna... Zapytam jutro z samego rana.

### III

Przed domem z piskiem opon zatrzymał się milicyjny radiowóz, wysiadło z niego dwóch cywilów, którzy szybko wbiegli do klatki schodowej. Podświadomie czułem, że przyszli do mnie. Po chwili dzwonek zadzwonił u drzwi.

— Stanisław Piotrowicz?

— Tak.

— Proszę się ubrać, pojedzie pan z nami.

Nie wyglądali na nowicjuszy w swym fachu dlatego zdziwiła mnie śmiertelna bladeść ich twarzy. Musiało stać się coś naprawdę niedobrego, co chyba dotyczy również mnie. Nie pytałem o nic, bo nie liczyłem na odpowiedź — przynajmniej teraz. Wyszliśmy na zewnątrz. W myślach zrobiłem rachunek sumienia: z pewnością nic mi nie mogą zarzucić, a tym bardziej udowodnić. Już w samochodzie jeden z milicjantów powiedział:

— To dobrze, że pan się nie denerwuje. Wszystkim nam dzisiaj potrzebne są mocne nerwy..

Coś utknęło mi w gardle — nie potrafiłem powiedzieć ani słowa. Nie mogłem wykrztusić pytania: Co się właściwie stało? Jaki ja mam z tym związek? Dokąd w ogóle jedziemy? Po dziesięciu minutach szybkiej jazdy znaleźliśmy się przed budynkiem Komendy Miejskiej

### IV

Siedziała w fotelu, kurczowo trzymając się poręczy. Kręciła głową we wszystkie strony ! powtarzała w kółko:

— Ja nic nie wiem. Zostawcie mnie...

Potem zerwała się nagle i krzyknęła:

— Ich trzeba ratować! O Jezu, Jezu!

Trwało to już dobre pół godziny. Szok i środki uspokajające sprawiły, że stała się zupełnie niekomunikatywna. Major Gruszcak wezwał oficera dyżurnego:

— Zawieźcie ją zaraz do domu. Niech pani wstanie, pani Kulimowa, pojedzie pani do domu. już wszystko w porządku.

Oficer wyprowadził pochlipującą kobietę i zamknął drzwi. To właśnie Kulimowa zawiadomiła milicję o wszystkim. Zawiadomiła — dużo powiedziane. Wybiegła z budynku, siadła na środku jezdni i zaczęła krzyczeć. Dobrze, że akurat przejeżdżał tamtędy radiowóz. Opinie wszystkich naocznych świadków były zgodne — czegoś równie potwornego do tej pory nie oglądano. Dyrektor, którego ściągnięto z narady, doznał ataku serca i trzeba go było zawieźć do szpitala. To był taki spokojny teren, zdarzały się, owszem, morderstwa i gwałty, ale do takich spraw wystarczała zawodowa rutyna, a tutaj... Od samego widoku robi się niedobrze, trudno sobie coś podobnego wyobrazić. Czynności rutynowe? Tak, ekipa śledczo-dochodzeniowa siedzi już tam od kilku godzin. Zabezpieczą ślady, zbiorą inne materiały, przesłucha się świadków... Tylko jak się, kurczę, ustosunkować do tego wszystkiego? Co napisać w notatce służbowej o prawdopodobnych przyczynach zdarzenia? Tok rozbieganych myśli majora Gruszczaaka przerwało wejście oficera dyżurnego.

— Przywieźli już tego Piotrowicza, siedzi na razie w sekretariacie. Nie wie jeszcze o niczym albo tak udaje... Mam go wprowadzić?

— Natychmiast!

Oficer wyszedł, a major Gruszczak wyciągnął wyrwaną z notesu kartkę — pierwszy ślad w tej cholernej sprawie. Po chwili drzwi znów się otworzyły.

## V

Zza biurka wyszedł do mnie siwiejący mężczyzna z dystynkcjami majora. Przedstawił się poprosił, bym usiadł. To z tego pokoju wyprowadzono przed chwilą Kulimową. Nie zauważyła mnie, cały czas płakała, a więc moja bytność tutaj ma związek z biurem, a raczej z czymś, co się tam wydarzyło. Major był człowiekiem konkretnym, podał mi kartkę i zapytał:

— Czy to pan pisał?

Była to ta sama kartka z notesu, którą napisałem rano przed biurem i wetknąłem w drzwi. Potwierdziłem ten fakt.

— Która to mogła być godzina?

— Była chyba za dziesięć ósma, na zegarek nie patrzyłem, ale mogę się mylić najwyżej o trzy, cztery minuty.

— Niech pan sobie dokładnie przypomni całą drogę. Autobusem pan dojeżdża? A więc od dworca autobusowego aż do momentu napisania tej kartki.

Włączył przycisk na biurku — do gabinetu weszła protokółlantka. Major skinieniem dłoni dał mi do zrozumienia, żebym zaczął mówić. Opowiedziałem wszystko po kolei, jak biegłem spóźniony, jak zaskoczyła mnie burza, jak przeskakiwałem z bramy do bramy. Wspomniałem krótko o bardzo silnym wyładowaniu, które mnie ogłuszyło. Wreszcie powiedziałem mu o

tym, co zastałem przed biurkiem. Skończyłem — protokółantka wyszła. Zniecierpliwilo mnie to owijanie w bawełnę. Coś się stało, w związku z czym potrzebne są moje informacje, a ja w dalszym ciągu nie wiem co.

— Mógłby mi pan powiedzieć, co się właściwie stało?

Zadałem mu chyba bardzo trudne pytanie. Wstał i podszedł do szafki, z której wyciągnął pękatą butelkę i dwa kieliszki, co jeszcze bardziej mnie zdenerwowało:

— Majorze, czy ja tu przyjechałem tylko po to, żeby się wódki napić?

Nalał i podał mi kieliszek.

— To nie jest wódka, tylko koniak. Radzę wypić. Ja też się napiję, mimo że jestem na służbie.

Wypiłem jednym haustem i spojrzałem wymownie na majora, jakbym chciał powiedzieć: mów pan wreszcie, do cholery!

— Widzi pan, stało się nieszczęście... Pańscy koledzy z pracy ulegli chyba zatruciu gazem. Pan oczywiście zna wszystkich... Mamy pewne kłopoty z identyfikacją. Sprzątaczką jest w szoku, dyrektor dostał ataku serca. Pan, niestety musi nam w tym pomóc. Teraz już pojedziemy, samochód czeka.

Otworzył drzwi i wypchnął mnie do sekretariatu, a stamtąd na korytarz. Musiał mnie popychać, bo nogi miałem jak dwa kawałki drewna. Sam nawet nie wiem, kiedy znów znaleźliśmy się w samochodzie. W głowie nie przestawały mi huczeć dwa słowa: zatrucie i identyfikacja.



## VI

Przed budynkiem stało kilka karetok pogotowia. Ulicy dojazdowej strzegł kordon milicjantów, przed kordonom kłębił się tłum ludzi zwabionych niecodziennym wydarzeniem. Przepchnęliśmy się z trudem, kierowca kilkakrotnie mu siał używać klaksonu. Powoli zajechaliśmy pod drzwi wejściowe. Stojący na kamiennych schodach sanitariusz otworzył szeroko drzwi i wtedy zobaczyłem coś, co sprawiło, że zupełnie zeszywniały położyłem podbródek na oparciu fotela. Właśnie wynoszono przykryte prześcieradłem zwłoki... Raz, dwa, trzy cztery, pięć... W karetkach pogotowia włączono sygnalizację świetlną. Zmienne niebieskie światło rzuciło na białe prześcieradła upiorne cętki, co wywoływało wrażenie ruchu. Wydawało się, że za chwilę ktoś zrzuci z siebie biały całun, wstanie i powie, że to był tylko żart... Zauważyłem gdzieś wysuwające się z noszy ręce i nogi. Takie buty nosił przecież.. Po chwili trzaśnięcia klap sanitarek — raz, dwa, trzy, cztery, pięć — oznajmiły, że wszyscy zostali już załadowani. Na czoło kolumny wysunął się milicyjny radiowóz. Ruszyli.

— Spokojnie, spokojnie, musi pan być przy gotowany na jeszcze gorsze widoki. Zaraz pójdziemy na górę. Z identyfikacją tych tutaj nie było kłopotów, mieli przy sobie dowody osobiste. Gorzej z resztą...

Bez słowa pochyliłem dwukrotnie cały tułów do przodu na znak, że rozumiem. Wsiedliśmy z samochodu, gdy kolumna zniknęła za zakrętem.

Szedłem po schodach, trzymając się pomalowanej na czarno

poręczy. Tyle razy tedy przerodziłem i nie kojarzyła mi się z niczym, teraz jednak wydawała mi się fragmentem trumny zgubionym przez sanitariuszy. Odruchowo podrosłem rękę. Czułem się tak, jakbym i ja za chwilą miał umrzeć. Na półpiętrze kilku zupełnie obcych mężczyzn, żadnej znajomej twarzy. Stali i palili papierosy. To pewnie technicy od ubezpieczania śladów... Za żółtymi drzwiami prowadzącymi na pierwsze piętro słychać było liczne głosy, ktoś przechadzał się korytarzem. Major nie poganiał mnie i tak weszliśmy na pierwsze piętro. Panował tu duży ruch, błyskały flesze, ktoś mierzył taśmą długość korytarza. Wszystko przenikał ostry zapach chloroformu, poczułem silny skurcz żołądka, pobiegłem do znajdującej się po lewej stronie ubikacji męskiej. Ktoś zagroził mi drogę i krzyknął:

— Tam jeszcze nie wolno!

Odepchnąłem go z całej siły — zatoczył się i upadł. Wbiegłem do ubikacji. Zauważyłem, że koło okna leży jakaś postać. Nie miałem czasu, by się dokładnie przyglądać. Wpadłem do pierwszej z brzegu kabiny, żołądek skakał mi jak zwariowany, w ustach — nagła gorycz. Odetchnąłem głębiej, wytarłem nos i usta w chusteczkę. Wyszedłem z kabiny. Dopiero teraz przyjrzałem się leżącej pod ścianą postaci. Piotrek Mścisłowiak — martwy, w kałuży krwi. Krew zakrzepła wokół ust sprawiała wrażenie, jakby był pobrudzony czekoladą. Miał szeroko otwarte oczy, a zastygłe mięśnie twarzy układały się w groteskowy uśmiech. Wszedł major Gruszczyk:

— No, to już pan wie, jak to wygląda. Zna go pan?

— To Piotrek Mścislowski. A mówił pan zatruciu gazem..

Mruknął coś pod nosem i wyszedł. Też miałem taki zamiar, ale żołądek jeszcze raz zmusił mnie do skorzystania z kabiny.

Po schodach znoszono znów trzy osoby. Zaczęła się kosztowna wędrówka po wszystkie pomieszczeniach. Zadawano mi wciąż pytania

— Zna go pan? Zna pan ja? Proszę podać imię i nazwisko...

Nieswoim głosem podawałem imiona, nazwiska, adresy, które chyba ktoś zapisywał. Przecież to moi znajomi, przyjaciele, koledzy.

Leżeli lub siedzieli, pokurczeni, pozginani w ostatnim paroksyzmie życia i pierwszym stadium ekstazy śmierci. Po obejrzeniu dwóch pomieszczeń doszedłem do wniosku, że o zatruciu gazem nie może być mowy. Wszystko wskazywało na to, że zginęli śmiercią samobójczą. Widziałem w ich powykrzywianych grymasami twarzach jakaś niesamowita, zachłanna radość pośpiech. Jakby bali się, że coś ich ominie, coś im ucieknie, nie zdążą... Najbardziej zdumiewające były sposoby, przy pomocy których kończyli ze sobą. Oprócz siedmiu chyba osób, które co brzmi paradoksalnie, po prostu się powiesiły, reszta użyła sposobów, od jakich włos się jeżył na głowie. Bo ileż trzeba samozaparcia i zarazem nienawiści do świata, żeby walić skronią w róg biurka aż do śmierci?... Sekretarka kawalkiem lusterka najpierw rozcięła sobie żyły, a potem zadzierzgnęła sobie na szyi przewód telefoniczny... Były i osoby z nożami kuchennymi wbitymi w serce — choć w tym wypadku można było mieć wątpliwości, czy to samobójstwo.

Najbardziej wstrząsające wrażenie zrobiła na mnie śmierć kolegi, z którym pracowałem twarzą w twarz. Podpierając ręką głowę z lewej strony wbił sobie w prawą skroń metalowy długopis. Krew, płyn ustrojowy i kawałki mózgu pociekły wprost na kupon totolotka, który wypełniał. Nie zdążył skreślić nawet pierwszego okienka — odczytałem liczby 7, 14, 35. Podjął widać błyskawiczną decyzję. Na łańcuszku od wywietrznika wisiała Kasia Lis, obok niej leżało przewrócone krzesło. Już wychodziliśmy stamtąd, kiedy pod jednym z biurk co się poruszyło. Leżał tam człowiek chyba jeszcze żywy. Bardzo ostrożnie wyciągnęliśmy go stamtąd. Oskarowicz. Miał rozciętą głowę, ale żył.

Major krzyknął:

— Nosze!!! Szybko!!! I sprawdzić wszystko jeszcze raz!

Po chwili Władka Oskarowicza wynoszono z pokoju — jako jedyny nie był przykryty białym prześcieradłem. Wyszliśmy na zewnątrz. Zrobiłem wszystko, co do mnie należało w tym miejscu.

— Jest pan wolny, zaraz powiem, żeby pana odwieźli do domu.

Skinąłem głową na znak, że dobrze by było, gdybym nie musiał wracać do domu autobusem. Kolejna kolumna sanitarek zniknęła za zakrętem drogi. Chciałem majora zapytać o coś, poznać jego zdanie, ale po tym, co zobaczyłem na górze, mogłem tylko rozłożyć ręce w geście bezradności.

Kierowca gadał po drodze i gadał, że tyle naszego co dzisiaj. I co im przyszło do głowy?

— Tak, ma pan rację, proszę stanąć na rogu.

Wysiadłem, choć mógł mnie zawieźć pod sam dom. Wszedłem do restauracji „Polonia”. W smugach tytoniowego dymu drzemało nad stolikami kilkanaście osób. Poza piwem, wódka i koreczkami z jajka nic więcej nie podawano. Siadłem przy stoliku w samym rogu sali. Stosunkowo szybko przedarła się do mnie kelnerka. Bez słowa pokazałem na palcach, ile ma przynieść. W oczekiwaniu na zamówioną wódkę wróciłem myślami do tragedii w biurze. Przed oczami przesuwały mi się twarze martwych kolegów i koleżanek. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że uśmiechał się nie tylko Piotrek Mścisłowiak, ale chyba wszyscy. Nie potrafiłem wytłumaczyć sobie tego faktu. A może w grę znów wchodziła „sfera autosugestii”?

Popełnili samobójstwo jak na komendę. Tok myśli przerwała mi kelnerka, która właśnie przyniosła cztery pięćdziesiątki najtańszej wódki i koreczek z jajka, który zaraz wyrzuciłem do stojącego w rogu kosza na śmieci. Jeszcze nie całkiem przełknąłem zawartość pierwsze] kieliszka, a już wlewałem w siebie następny. Bo tak trzeba, bo nic innego zrobić nie mogłem. Alkohol podziałał prawie natychmiast — zamroczyło mnie. Po raz pierwszy w dniu dzisiejszym zdałem sobie sprawę z prostego faktu: dobrze jest żyć! Tylko dlaczego się uśmiechali? Takim ironicznym uśmiechem, jaki mają niektórzy pasażerowie, gdy kierowca autobusu zamknie komuś drzwi przed nosem. Kto tu się zabrał, a kto został? I dokąd ta droga prowadzi? Rozumowałem jasno i logicznie, chociaż w głowie huczało mi jak w ulu. Przed stolikiem zamajaczyła jakaś postać. Pijany typ wybełkotał:

— Ale wie pan, rozumie pan...

Podniosłem metalowa popielniczkę i bardzo serdecznie popatrzyłem pijakowi w oczy. Zniknął nagle, jak się pojawił, ale przerwał mi wątek myślowy. Ze złością wypilem ostatni kieliszek. Podeszła kelnerka, wyciągnąłem z kieszeni jakieś banknoty. Chciałem wstać, ale nie mogłem, wobec czego zamówiłem jeszcze raz to samo. Nie wiem, czy sam to wszystko wypilem, czy ktoś z obecnych mi pomógł. Pamiętam jeszcze, że do sali weszli Cyganie, grali i śpiewali. Podeszedłem do nich i strzelając palcami wybijałem rytm melodii. Może tylko wydawało mi się, że to słyszę? Też chyba wydawało mi się, że jeden z Cyganów powiedział:

— Ale strzela, jak piorun spiralny.

Poczułem drżenie ziemi, cała obskurna restauracja „Polonia” razem z Cyganami zawirowała w ogłupiającym tańcu. Nie wiem, w jaki sposób i czy o własnych siłach dotarłem do domu. Nad ranem z potwornym bólem głowy obudziłem się we własnym łóżku.

## VII

— W dniu wczorajszym w B. w budynku biurowym Przedsiębiorstwa Inwestycji Handlowych doszło do tragicznego w skutkach zatrucia gazem, śmierć poniosło 86 osób. Nie dysponujemy jeszcze materiałami filmowymi z miejsca zdarzenia. Przyczyny tragedii bada specjalna komisja powołana przez ministra. Będziemy państwa informować o wynikach jej prac. Rodziny zmarłych otoczone zostały bardzo troskliwą opieką.

## VIII

W ciągu pięciu dni dokonano najniezbędniejszych czynności zabezpieczających. Do akt sprawy włączono wyniki oględzin lekarskich, analizy chemiczne i fizyczne. Była więc najwyższa pora, by podsumować zebrane materiały w sprawie, którą oznaczono kryptonimem „Zamknięte drzwi”. W naradzie, oprócz funkcjonariuszy prowadzących śledztwo, udział wzięli przedstawiciele komisji rządowej oraz kilku zaproszonych naukowców z różnych dziedzin. Zagaił major Gruszcza:

— Może pokrótce przedstawię stan faktyczny. 15 bieżącego miesiąca sprzątaczką Kulimowa o zwykłej porze weszła do budynku, gdzie mieści się Przedsiębiorstwo Inwestycji Handlowych. Skorzystała z własnych kluczy, ponieważ drzwi wejściowe były zamknięte. Wewnątrz znalazła zwłoki 86 osób i powiadomiła nas o tym tragicznym fakcie. Wstępne oględziny zwłok nasunęły przypuszczenie, że wszyscy zginęli śmiercią samobójczą. Należy zaznaczyć, że chyba po raz pierwszy w naszej praktyce zetknęliśmy się z tak różnorodnymi sposobami odbierania sobie życia. Jeżeli oczywiście wstępnie przyjmiemy taką wersję zdarzeń, wysoce prawdopodobna również ze względu na inne ujawnione przez nas fakty, a więc zamknięte od wewnątrz drzwi i okna oraz brak śladów włamania. Jeżeli mogą się tak wyrazić, układ był hermetyczny. Stąd zasadny wydaje się wniosek, że przyczyn tej zbiorowej psychozy szukać należy wewnątrz budynku, jeżeli oczywiście odrzucimy świadome działanie, śmierci uniknęły trzy osoby: dyrektor, który był na

naradzie, Stanisław Piotrowicz, który spóźnił się do pracy, zastał drzwi zamknięte i wrócił do domu, oraz Władysław Oskarowicz, który też usiłował umrzeć, ale mu się to nie udało. Dotychczas nie odzyskał przytomności. Lekarze stwierdzili zakłócenia pracy mózgu, więc na razie nie może nam pomóc. Obdukcję zwłok przeprowadzili lekarze sądowi pod kierownictwem doktora Gnoszewskiego. Proszę, doktorze, może teraz pan...

— Badania prowadziliśmy w różnych płaszczyznach. Od badań na okoliczność urazów mechanicznych po testy na wykrywanie toksyn i badanie treści pokarmowej denatów. Na wstępie chciałym od razu wykluczyć działanie trucizn jako bezpośrednich czy pośrednich przyczyn zejścia... Trucizn nie wykryliśmy, przynajmniej tych, które znane są współczesnej medycynie i chemii. Do tego zagadnienia chciałym wrócić jeszcze za chwilę. Bezpośrednimi przyczynami zgonów były urazy mechaniczne, i to we wszystkich bez wyjątku przypadkach. Były to typowe działania o charakterze samobójczym: powieszenie, przebicie, upadek, podcięcie żył i tak dalej. Nie znaleźliśmy dowodów na to, by denatom pomagał ktoś z zewnątrz. Było oczywiście kilkanaście przypadków śmierci zadanej w zupełnie nietypowy sposób, ale również i one mieszczą się w granicach przyjętej wersji samobójstwa. Co zaskoczyło mnie i moich współpracowników, to pewna łatwość w uzyskaniu skutku w postaci zejścia śmiertelnego. Chodzi mi tutaj szczególnie o niewspółmierność przyczyn i skutków. To znaczy, w stu identycznych przypadkach stłuczenia podstawy czaszki gwarantuję



przeżycia ma 70 osób, tymczasem w naszej sprawie tego typu stłuczenia zakończyły się śmiercią we wszystkich przypadkach. Moim zdaniem nie powinno się to było tak skończyć. Ale fakty są faktami! Chciałbym teraz wrócić do kwestii toksyn lub substancji o działaniu psychotropowym. Jak już wspomniałem na początku, takich substancji w organizmach denatów nie stwierdziliśmy za pomocą dostępnych nam metod. Nie oznacza to oczywiście, że nie zostali oni poddani działaniu nieznanego środka. Po prostu my nie potrafiliśmy go odkryć. Uważam, że wszyscy ulegli działaniu środka psychotropowego, chociaż, jeszcze raz zaznaczam, przy pomocy dostępnych nam metod nie takiego nie wykryliśmy. Poddaliśmy również mózgi denatów obdukcji pod kątem zmian patologicznych: bez rezultatu. Trudno zresztą, wyobrazić sobie inny wynik; byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności, gdyby u 86 osób zatrudnionych w jednej instytucji stwierdzono takie zmiany. Sprawdziliśmy karty chorobowe tych osób z różnych szpitali i przychodni: w żadnej nie znaleźliśmy najmniejszej wzmianki o chorobie psychicznej. Z rozmów z rodzinami wynika, że w ostatnim czasie wszyscy zachowywali się normalnie i nic nie wskazywało na to, że ktoś zdecyduje się na tak desperacki krok. Jedynym wytłumaczeniem jest więc nagłe działanie środka psychotropowego. Inaczej tej zbiorowej psychozy śmierci nie potrafię wytłumaczyć. Na marginesie do dam, że badanie treści pokarmowej denatów również dało wynik negatywny. Jeszcze raz zdecydowanie chciałbym podkreślić, że jest to tylko teza; bezpośrednich dowodów nie znaleźliśmy

Nikt nie próbował polemizować z doktorem Gnoszewskim. Wysunięta przez niego teoria wy dawała się jedyna możliwa do przyjęcia. O wynikach swych badań poinformowali również inni specjaliści. Poszukiwania „czegoś”, co mogłoby rzucić światło na tę makabryczną sprawę, w wodzie z sieci kanalizacyjnej, w gazie, w powietrzu, w żywności przyniesionej do pracy też nie przybliżyły rozwiązania. Nie znaleziono tani nic tajemniczego. Woda jak woda, żywność jak żywność...

Dyskusja na temat czyjeś świadomego działania na szkodę 86 osób utknęła w martwym punkcie. Komu i dlaczego miałyby zależeć na śmierci tych ludzi. Chyba że to dzieło genialnego szaleńca lub szalonego geniusza w dziedzinie chemii czy mikrobiologii. Przypadek? Jeszcze większy nonsens! Jałowość domysłów przerywało bębnienie palcami, zabawa zapalkami lub pilne zapisywanie czegoś bezużytecznego. Przez moment nikt nie odezwał się słowem. Niezręczną ciszę przerwał ściągnięty z uniwersytetu ekolog, dr Jurkowski, który dotychczas nie brał udziału w dyskusji:

— Proszę państwa, muszę stwierdzić, że nasza dotychczasowa dyskusja nie przyniosła nic sensownego. To oczywiście zrozumiałe, biorąc pod uwagę niezwykłość przypadku. Ja również nie powiem nic takiego, co mogłoby w logiczny sposób wytłumaczyć bezpośrednią przyczynę śmierci tych ludzi. Tym niemniej państwo pozwolą, że podzielę się swoimi uwagami na ten temat.

Ciągłe zmiany zachodzące w otaczającym nas środowisku są trudne do uchwycenia, o ich skutkach niewiele umiemy

powiedzieć. Weźmy powietrze atmosferyczne: przecież nasz region to istne laboratorium chemiczne! Nieustannie powstają, tu nowe związki i mieszaniny. Inne rozkładają się tylko po to, aby błyskawicznie połączyć się w całkiem odmienną substancję. Analogiczna sytuacja panuje w wodach gruntowych, podskórnych i w glebach. Wszystko kreci się jak na zwariowanej karuzeli... Czy spaliny samochodowe są szkodliwe dla zdrowia? Oczywiście, że są. Chlorowana woda też najchętniej na zdrowie nie wpływa. W szklarniowych pomidorach brak jest mikroelementów, a spryskane środkami owadobójczymi jabłka nie zawsze dokładnie się myje. Cóż, wszyscy doskonale wiemy, jaka jest cena postępu. Podobno inaczej nie da się go osiągnąć. Mówi się, że kiedyś tam, w przyszłości, doprowadzimy środowisko do poprzedniego stanu: znów będziemy oddychać świeżym powietrzem, pić czystą wodę, oglądać zwierzęta w gęstych lasach. Tylko przy takim sposobie rozumowania nie bierzemy pod uwagę czynników niespodziewanych, które mogą pozbawić nas kontroli nad sytuacją, a wtedy ceną postępu będzie śmierć. Dlaczego o tym mówię? Bo na ludzi z biura Przedsiębiorstwa Inwestycji Handlowych mógł podziałać splot bardzo wielu przyczyn zewnętrznych i wewnętrznych. W tym otaczającym nas „bulionie” związków i mieszanin mogło powstać coś, co doprowadziło tych biednych ludzi do skrajnej depresji... Ciśnienie świata i jego zawilość mogły im się wydać tak ogromne, że jedynie wybierając śmierć mogli doznać, w ich rozumieniu, ulgi. To również tylko hipoteza. Nieznany czynnik

mógł spełnić rolę katalizatora na niewielkim obszarze i w krótkim czasie, a potem szybko rozłożyć się na nieszkodliwe substancje, których pełno w organizmach ludzi, dlatego nie możemy go wskazać jako sprawcy tego nieszczęścia. Do tej pory na przykład pominęliśmy milczeniem fakt, że rankiem tego feralnego dnia nad naszym miastem przeszła gwałtowna burza z bardzo silnymi wyładowaniami atmosferycznymi. Może właśnie w zjonizowanym powietrzu powinniśmy doszukiwać się tego katalizatora. Znamienne pod tym względem jest doświadczenie Stanleya Millera z quasipierwotną atmosferą Ziemi, przez którą przepuszczono prąd...

Tak więc i doktor Jurkowski mimo całej swojej elokwencji i erudycji wniósł do sprawy jedynie kolejną nie popartą dowodami hipotezę. Major Gruszczaak zakończył naradę stwierdzeniem, że trzeba dołożyć wszelkich starań i... liczyć na szczęście. Być może znajdzie się jakiś ślad, przysłowiowa niteczka, która w końcu doprowadzi do kłębka, czyli rutynowego wyjaśnienia tej niecodziennej sprawy. Przedstawiciel komisji rządowej cały czas kiwał głową w rytm słów majora Gruszczaaka, że tak, że właśnie tak trzeba zrobić. Skrzyp odsuwanych krzeseł oznajmił koniec narady. Jak zwykle w takich razach przy drzwiach zrobił się korek.

Już po wyjściu wszystkich oficer dyżurny przyniósł meldunek: w czasie burzy nad dzielnicą, w której znajduje się biurowiec, krążyła awionetka z pobliskiego lotniska.

— Tak, to może być jakiś konkretny ślad, nie jakieś tam bajdurzenia. Trzeba to zaraz sprawdzić.

Już w chwili potem major Gruszczyk wydawał stosowne polecenia.

## IX

— Dlaczego wylecieliście w taką pogodę?

— Kiedy startowałem, pogoda była dobra. Nic nie zapowiadało tak gwałtownej zmiany. Dopiero na wysokości 1100 metrów zauważyłem, że z południa bardzo szybko nadciąga front burzowy. Zaczął wiać silny wiatr, samolot zaczęło rzucać. Woląłem nie ryzykować lądowania w takich warunkach. Samolot jest mały i lekki, najmniejszy błąd przy podchodzeniu do lądowania może zakończyć się katastrofą. Dlatego nabrałem wysokości, wszedłem na 2000 metrów, ponad front burzowy, i postanowiłem poczekać na sprzyjające warunki. Meldowałem zresztą o mojej decyzji kontroli lotów.

— Dlaczego wylecieliście w tym dniu?

— Panu wydaje się, że lot zależy od widzimisię i humoru pilota: wezmę samolot i po lecie...

— Nic mi się nie wydaje, proszę odpowiadać na pytanie!

— Samolot wrócił z remontu i trzeba go było oblatać. Otrzymałem takie polecenie od komendanta lotniska. Jest odpowiedni zapis w książce lotów i w zeszycie poleceń.

— Macie rodzinę za granicą?

— Nie mam.

— Na pewno?

— Powiedziałem przecież wyraźnie!

— A to co jest?

— To? Sproszkowany grafit. Używa się go do smarowania

niektórych elementów tocznych w samolocie.

— Dowiemy się, co to jest... A dlaczego znaleźliśmy to na fotelu pilota?

— Mówiłem już, że samolot był po remoncie, grafit musiał rozsypać się któremuś z mechaników. Ja na to nie zwróciłem uwagi.

— To też sprawdzimy.

— No to sprawdzajcie!

— Dlaczego się denerwujecie? Piloci podobno słygną, z mocnych nerwów.

— Ja też słygnę, ale wszystko ma swoje granice!

— Kto wam to kazał rozsypać?

— ...

— Radzę mówić prawdę.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Sami nie wiecie, w co się pakujecie.

— Moja rzecz.

— Zobaczymy, czy tylko wasza. Na razie możecie iść. Czy tam w powietrzu nie zauważyliście czegoś podejrzanego?

— Co podejrzanego można zobaczyć z wysokości 2000 metrów? Chociaż...

— No mówcie.

— Trudno to nazwać czymś podejrzanym... Jak krążyłem nad tą chmurą, w pewnym momencie zauważyłem bardzo regularny błysk i zaraz potem zassało mnie. Chyba trafiłem w silne zawirowanie powietrza. Przez maszynę przeszła wibracja i momentalnie straciłem jakieś 80 metrów wysokości. Zaraz potem wszystko wróciło do normy. To tyle.

— No, to są wasze lotnicze kłopoty, nieistotne dla sprawy. Jesteście wolni.

## X

Dużo piłem ostatnio. Nie dlatego, że męczyła mnie koszmarnie sny, nie, nie... Tak mnie nastrojała ogólna sytuacja. Zresztą dla swego postępowania znajdowałem pełną, aprobatę w każdym środowisku, w którym zdarzyło mi się popić, jeśli tylko napomknąłem, że pracowałem w biurowcu, że unikałem śmierci, bo się spóźniłem, że widziałem ich wszystkich... Dużo się przy tym nasłuchiwałem przypowieści o czasie, który płynie i robi swoje, więc dobrze robi, o młodości i przyszłości, i o tym, że wszystkich nas to czeka prędzej czy później.

Na pogrzebie nie byłem, chociaż kręciłem się koło muru okalającego cmentarz. Nie znalazłem w sobie dość siły, by wejść i wysłuchać wszystkich podniosłych przemówień. Oczywiście ze brał się żądny sensacji tłum — jak zwykle w takich wypadkach. Przepychano się i deptano inne groby. Nie mam pojęcia, co by naprawdę mogło usatysfakcjonować tych gapiów — chyba tylko nagle zmartwychwstanie denatów. Koło bramy zatrzymała się karetka pogotowia: znów kogoś wynoszono na noszach. Dopiero później dowiedziałem się, że dyrektor przemawiając nad zbiorową mogiłą po raz drugi dostał ataku serca. Przewieziony do szpitala, nie odzyskał przytomności i w nocy zmarł. Fakt ten został przychylnie skomentowany przez tłuszcę i nadrzędne czynniki oficjalne, bo przecież miejsce kapita-  
na jest obok załogi. Jako członek owej załogi nie miałem najmniejszego zamiaru rozwijać dalej tej analogii. Jest mi bardzo przykre ale żyję... I Władek Oskarowicz też żyje, choć podobno

Jest zupełnie do niczego i sztucznie podtrzymuje się jego organizm.

Uroczystość udała się, mimo że nie zdarzyło się nic sensacyjnego — widziałem to w twarzach wychodzących z cmentarza. Nie codziennie w końcu zdarza się oglądać pochówek 86 osób. W tłumie mignęło mi kilku znajomych. Nie chciałem z nikim rozmawiać, nikomu ścisnąć ręk... Pospiesznie oddaliłem się z tego miejsca.

Kiedy nie piłem, zaczynałem myśleć o tamtym dniu. Może pod wpływem alkoholu szczegóły zdarzenia zatarły mi się w pamięci, nosiłem w sobie tylko ogólny jego zarys. Kiedy starałem się odtworzyć szczegóły, okazywało się, że za każdym razem otrzymuję inna od poprzednich wersję tego, co przecież sam oglądałem.

Najgorzej było, gdy na niebie pojawiały się chmury. Wydawało mi się wtedy, że za chwilę zacznie błyskać i grzmieć, że pociemnieje mi w oczach, usłyszę głosy różnych osób, a podłoga w domu zacznie drżeć. Czułem wielki niepokój, nie mogłem patrzeć w niebo, wchodziłem do łazienki, zamykałem drzwi i puszczałem wodę z obydwu kurków. Po pięciu minutach takiego szumu dochodziłem do siebie. Najbezpieczniej czułem się nocą albo kiedy w oknach zaciągnięte były zasłony. W dzień bardzo niechętnie wychodziłem z domu — tylko po zakupy. Najlepsze samopoczucie miałem wieczorem, wkraczając do ciemnego baru, gdzie mogłem się napić. Wracałem do mieszkania nad ranem i spałem do południa. Telefon przestał mi być potrzebny. Dzwoniła kilkakrotnie Teresa, ale zbyłem ją jakimś wymyślonym wyjazdem. Gdyby przyszła, dowiedziałbym się



zaraz, że tak nie można, że trzeba się ogolić, zjeść coś ciepłego i koniecznie zacząć pracować. A ja mam w nosie to wszystko. Piję, bo lubię i mam jeszcze pieniądze. Na dzwonki sąsiadów nie odpowiadam. Nie podchodzę do drzwi i udaję że mnie nie ma. Sypiam dobrze, złe są tylko przebudzenia, kiedy z pierwszym przejawem świadomości atakuje mnie ból głowy.

Wiele razy na trzeźwo zastanawiałem się, dla czego to wszystko robię. Może to długotrwały szok po tamtych przejściach? Jeśli minie, może znów stanę się sobą, choć coraz mniej pamiętam, jak to wyglądało i jak powinno wyglądać. Staram się nie oceniać swojego postępowania, bo po co? Czasami coś przeczytam i tak leci dzień za dniem. Szyby w oknach zakleiłem gazetami, nie drażni mnie już widok nieba i chmur. Sąsiadom powiedziałem, że remontuję mieszkanie i nie chcę, żeby się szyby zachlapały. Uwierzyli.

## XI

Na ten telefon major Gruszczyk czekał już od rana. Zakazał łączenia innych rozmów, żeby nie blokować linii. Kiedy usłyszał sygnał, odruchowo stanął na baczność i drżącą ręką podniósł słuchawkę. Rozmowa dotyczyła sprawy oznaczonej kryptonimem „Zamknięte drzwi”. Posypały się fakty, liczby i specjalistyczne określenia. Major powoli nabrał pewności siebie. Był przecież zawodowcem z wieloletnią praktyką, nie zaniedbał niczego, co mogłoby się przyczynić do wyjaśnienia sprawy. Właściwie śledztwo tkwiło w tym samym miejscu co przed

czterema miesiącami. Nie znaleziono najmniejszego śladu wskazującego na działanie o charakterze przestępczym. Nie można nawet mówić o poszlakach, jedynie o nie popartych żadnym dowodem hipotezach kilku mądrali. Nic nie wskazuje również na to, żeby w przyszłości ten stan mógł ulec zmianie. Koronny świadek — jedyna osoba, która przeżyła — faktycznie nic nie wie albo nie chce mówić i nie ma sposobu, by go do tego zmusić. Dlatego kiedy usłyszał ostatnie zdanie swojego rozmówcy, poczuł, że kamień spada mu z serca. Nareszcie będzie mógł wrócić do pospolitych przestępstw, za którymi stoją ludzie z krwi i kości, gdzie łatwo odnaleźć motyw, gdzie zawsze można doszukać się błędu popełnionego przez sprawcę. Skwapliwie potwierdził, że zrozumiał wydane mu polecenie, lepszej wiadomości nie mógł się spodziewać w dniu dzisiejszym. Miał tylko jeszcze jedną wątpliwość:

— A co z komisją rządową?

Okazało się, że i ona zakończyła swoje prace z takim samym skutkiem. Opinia publiczna zostanie poinformowana, że było to jednak zatrucie gazem, a bezpośrednią przyczyną nieszczelność instalacji. Społeczeństwo dowie się również, co zostanie zrobione w przyszłości dla uniknięcia tragicznych wypadków. Z tym że opinią publiczną major Gruszczyk nie powinien już sobie zawracać głowy.

Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę, major radośnie zatarł ręce. Poprosił o kawę, a z biurka wyciągnął druk zatytułowany „Umorzenie śledztwa z braku cech przestępstwa”, na który popatrzył z prawdziwą satysfakcją. Sprawę pod kryptonimem

„Zamknięte drzwi” można było uznać za zakończoną. Otworzyły się drzwi, do gabinetu wkroczył oficer dyżurny i zameldował;

– Znów przyszedł ten Piotrowicz. Jest pijany,

– Czego chce?

– Bełkoce o jakichś piorunach spiralnych i martwych wróblach.

– I musieliście z tym przyjść do mnie? Nie wiecie co się z pijakami robi? Ta sprawa jest zakończona!

– Tak jest!

Oficer dyżurny wyprężył się na baczność i wyszedł z gabinetu. Major Gruszcak poprosił do siebie maszynistkę.

## XII

Stan Władysława Oskarowicza w dniu przywiezienia go do szpitala był beznadziejny. Lekarze stwierdzili ogólną niewydolność organów wewnętrznych. Przyczyna tkwiła w mózgu, a ściślej, w jego częściowym porażeniu, spowodowanym stłuczeniem potylicy i kości ciemieniowej. Oskarowicz leżał w separacie na oddziale intensywnej terapii, opleciony przewodami od kroplówek i dializ jak baleron. Nikt nie rokował mu przeżycia dłużej niż tydzień, góra dwa tygodnie. Czy można zresztą nazwać życiem tę podtrzymywaną sztucznie roślinność? Ale Władysław Oskarowicz był jedynym i dlatego bardzo cennym świadkiem w sprawie, która zbulwersowała wszystkich. Tylko on mógł cokolwiek wyjaśnić. Dlatego dokładano wszelkich starań, by go utrzymać przy życiu. W takim stanie przeżył miesiąc, choć poza wyglądem nie różnił się niczym od stojącego na

oknie asparagusa. Po sześciu tygodniach pojawiły się pewne symptomy poprawy. Słabo, ale zaczęły pracować nerki. Jednocześnie encefalograf wykazał lekka aktywność mózgu. W drugim miesiącu pobytu w klinice można było odłączyć płucoserce, choć pacjent w dalszym ciągu nie odzyskał świadomości, a pożywienie dostarczano mu tylko skłutymi jak sito żyłami. Mimo to opiekujący się Oskarowiczem lekarze orzekli, że nastąpiło przesilenie i obecnie można się spodziewać poprawy. Było to pod koniec czwartego miesiąca pobytu Oskarowicza w klinice. Pielęgniarka czuwająca nad chorym zobaczyła coś zupełnie zdumiewającego — pacjent własnoręcznie powyrywał sobie igły od kroplówek. Kiedy przybiegli zaalarmowani lekarze, leżał spokojnie i głęboko oddychał. Nie pozwalał już podłączyć się do kroplówek, wyczuwał obecność lekarzy i pielęgniarek. Każdy gwałtowniejszy ruch powodował, że zwracał w tym kierunku głowę. Wyglądało na to, że odzyskuje świadomość. Tego samego dnia wieczorem otworzył oczy. Wyglądał strasznie. Przez żółtą, przezroczystą skórę prawie przebijały wystające kości policzkowe. Spieczona, popękane usta i obwisła, pofałdowana skóra na szyi dopełniały obrazu całości. Oskarowicz stracił dokładnie 42 kilogramy, a więc prawie połowę swej poprzedniej wagi. Na pytania nie odpowiadał, nie było też pewne czy rozumie, co się do niego mówi. Według opinii psychologa zmysły Oskarowicza działały w miarę sprawnie, natomiast świadomość była wyłączona lub w znacznym stopniu ograniczona, co najprawdopodobniej wywołała też amnezję. Nie zareagował na widok żony i dzieci; jeśli nawet

zarejestrował obraz tych osób, to z niczym emocjonalnie ważnym go nie skojarzył.

W miarę upływu czasu stan Oskarowicza po prawił się tak dalece, że zaczął samodzielnie przyjmować posiłki. Zdaniem lekarzy był to ogromny sukces. Pewnego dnia dyżurna pielęgniarka zerwała się na równe nogi.

— Gdzie ja jestem? — cicho, lecz wyraźnie zapytał Oskarowicz.

Były to jego pierwsze słowa od dnia, kiedy przywieziono go do kliniki. Rozpoznawał rodzinę i znajomych, pamiętał wszystko poza dniem, kiedy nieudolnie próbował popełnić samobójstwo. Przypominał sobie tylko, że sięgnął po zapalki i w tym momencie stracił przytomność. Co było dalej? Nie pamięta — świadomość odzyskał dopiero w klinice.

Przesłuchany oficjalnie i wielokrotnie jeszcze w szpitalu, ku rozczarowaniu prowadzących śledztwo funkcjonariuszy nie wniósł nic nowego do sprawy. Cały czas był bardzo spokojny, uśmiechał się, można było jednak odnieść wrażenie, że nie mówi prawdy, że coś ukrywa. Nie zgodził się na eksperyment z wariografem, gdy tylko wytłumaczono mu, na czym polega działanie tego aparatu. Z wywiadu przeprowadzonego wśród rodziny i znajomych pana Władka — jak nazywano go w klinice — wynikało, że przed wypadkiem był gadatliwym, uzewnętrzniającym swe uczucia typem ekstrawertyka, teraz zaś stał się małomówny i zamknięty w sobie. Przyczyn tej metamorfozy można było dopatrywać się w przebytej bardzo ciężkiej chorobie, choć z drugiej strony dominantą nastroju pacjenta powinna być radość z ocalonego życia. Tymczasem Oskarowicz odnosił

się do tego faktu obojętnie, nawet z pewną nonszalancją. Rodzinę i przyjaciół witał serdecznie, zjadał rosół i pomarańcze, ale naprawdę był zadowolony dopiero wtedy, gdy już zbierali się do wyjścia. Wiadomość o tragedii, która rozegrała się w biurze, przyjął spokojnie i tylko smutno pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć:

— Tak, wiem, byłem przecież z nimi...

Ale nie powiedział nic. Nie pytał o przyczyny nieszczęścia, o szczegóły śmierci kolegów, najwyraźniej go to nie interesowało. W dniu, gdy wypisano go ze szpitala, podziękował za opiekę lekarzom i pielęgniarkom, wręczył kilka wiązanek kwiatów i odjechał wraz z żoną, do domu.

W tym czasie akta sprawy „Zamknięte drzwi” przekazano już do archiwum. W świadomości publicznej całe to zdarzenie zajęło miejsce w rzędzie katastrof lotniczych, tragicznych trzęsień ziemi, słowem, nieszczęść, o których z biegiem czasu szybko się zapomina.

### XIII

Sprzedalem telewizor — nie jest mi już do niczego potrzebny. Do izby wytrzeźwień też mnie już nie zabierają., staram się po prostu nie wychodzić z domu. Wczoraj znowu ich słyszałem, chociaż na niebie nie było najmniejszej chmurki. Dostali się do mojego azylu w łazience, w jaki sposób, nie wiem, przecież wszystko było szczelnie zasłonięte... Mówią, coraz głośniejszy, nie zagłusza ich już nawet szum płynącej wody. Długo myślałem, gdzie by tu się schować... Może w szafie? Ale tam ktoś

jest, żaden z nich, chyba ktoś inny. Jak tylko sobie pójdzie, ja tam zaraz wejść. Dzisiaj na dworcu kupiłem okazynie butelkę „Autowidolu”. W smaku jest przykry, ale tylko z początku. Zaraz po wypiciu robi się tak ciepło, ciepło... wtedy ich nie słyszę. Ten z szafy nie ma zamiaru się wynieść, pukałem tam kilkakrotnie, ale mi nie otworzył. Wczoraj, jak wyszli ode mnie ci ludzie, z którymi był milicjant wpadłem na genialny pomysł. Pozbierałem z podłogi wszystkie stare gazety i zamknąłem się w łazience. Zapalałem je po kolei zwinięte w rulon i omiatałem ściany i sufit. Gdzieś koło wy wietrznika usłyszałem bolesne piski. To tam jesteście! No to macie! I jeszcze raz! Wyszedłem z łazienki z załzawionymi oczami, ale zadowolony z siebie. Codziennie wam tak będę robił, aż się wyniesiecie z mojego mieszkania. Otworzyłem szeroko drzwi od łazienki. W powietrzu u nosiła się sadza — jak czarny śnieg. To już zima? Wcześniej przyszła tego roku. Poczulem zimno i jeszcze coś gorszego. Z początku jeden głos, a potem cały tłum. Usadowili mi się w głowie i w żołądku, wyraźnie czułem ich obecność. Sprawy zaczęły przybierać bardzo zły obrót. Bo jak ich wypędzić z siebie? Podszedłem do szafy i powiedziałem:

— Możesz już tam zostać. Słyszysz? Ja wychodzę. Jakby ktoś o mnie pytał, to powiedz że poszedłem...

Chodziłem bez celu po ulicach, jakoś nie przeszkadzało mi dzienne światło — nie słyszałem nic podejrzanego. Zauważyłem, że ludzie pokazują mi palcami — to przyjemne uczucie być znanym, rozpoznawanym na ulicy... podziwianym... Wypiąłem dumnie pierś, łaskawie pozdrowiłem gestem dłoni kilka

osób na znak, że woda sodowa nie uderzyła mi do głowy. Właściciel straganu patrzył na mnie trochę dziwnie, kiedy wziąłem sobie jedno jabłko i natychmiast zjadłem razem z pestkami i ogonkiem, ale mnie nie przegonił. Potem poszedłem pod budkę z piwem, gdzie również przyjęto mnie bardzo przychylnie: mogłem pozlewać sobie nie dopite piwo z kilku kufli. Ktoś ze śmiechem poklepał mnie po plecach, byłem w bardzo dobrym nastroju, dlatego nie zareagowałem na taką poufałość. Przypomniałem sobie nagle, że w domu czekają te moje sprawy i ten z szafy, który mi się jeszcze nie przedstawił.. A bo ja wiem, kto to jest? Postawiłem kufel i uciekłem.

#### XIV

— Mam was dość! Wynoście się stąd wszyscy!!! Zabraliście mi ten... — Nie mogłem sobie przypomnieć co.

— Parasol — odpowiedział mi ten z szafy, ale jemu nie można wierzyć, jest złym i fałszywym typem. Przez środek pokoju przejechał pociąg — zupełnie tak samo jak wczoraj na dworcu. Chciałem pomachać wyglądającym przez okno ludziom, ale już ostatni wagon zniknął w otworze pod dywanem — jeszcze nigdy tam nie zaglądałem. Odwinąłem dywan, uciekły mi spod niego te dwie jaszczurki, które gonilem rano, ktoś musiał je tutaj nasłać. Otwór zaczął zarastać najpierw pajęczyną, a potem klepkami. Po chwili nie było po nim ani śladu. Nie dałem się oszukać, omijałem to miejsce z daleka, bo mógłbym wpaść... Idźcie już stąd!!! Proszę was! Usiadłem bezradny na



podłodze. Nie, płakał nie będę... Niech sobie nie myślą... Gdzie ja właściwie jestem? Czy to zdemolowane mieszkanie z pozrywanymi tapetami jest moim domem? Ale chyba nie zwariowałem? To wszystko co widzę, jest przecież takie realne... No choćby te dwie jaszczurki, które chodzą po parapecie... One na pewno są... Nie może mi się to tylko wydawać! Ogień!!! To najlepsze lekarstwo na wszystko! Niech się pali!

Już dawno nie czułem się tak dobrze jak teraz, kiedy zacząłem zapalać firankę. W środku robiło się najpierw stale powiększające się kółko. Paliło się tylko na obwodzie. Zapach dymu przypominał mi dzieciństwo, kiedy nieumyślnie podpaliłem choinkę — a więc święta. Od firanek zapaliły się zasłony. W pokoju zrobiło się gorąco, dym gryzł w oczy, musiałem wycofać się do przedpokoju, ale cały czas patrzyłem w ogień. Zajął się już fotel i stolik. Ten z szafy zaczął kaszleć — dobrze mu tak, teraz nareszcie wyjdzie. Kazałem iść do diabła tym, którzy walili pięściami w drzwi wejściowe. Niby dlaczego miałbym ich wpuszczać do środka? Jeszcze co ukradną... Jak nie będę już mógł wytrzymać żaru, to wyskoczę przez okno i pójdę... na dworzec. Musiałem odskoczyć na bok, kiedy wyważyli drzwi, chciałem uciekać w stronę okna, ale pochwyciły mnie czyjeś ręce, byłem za słaby, żeby... Wyciągnięto mnie na korytarz, znów chciałem uciekać, ale ci w białych fartuchach trzymali mnie mocno. Nie opierałem się, kiedy zakładano mi coś, co krępowało ruchy. Dopiero teraz do mieszkania wpadli strażacy i wszystko zaczęli rąbać toporami — wandale. Cały korytarz

wypełnił gryzący dym. Po schodach zbiegali ludzie obładowani różnymi sprzętami. Wyglądali na przestraszonych. Stałem spokojnie. Kiedy ustał ruch na schodach, wyprowadzono mnie na zewnątrz. Koło karetki pogotowia i dwóch wozów strażackich kłębił się tłum ludzi. Czuję, że są niechętnie do mnie usposobieni, chociaż nie zrobiłem im nic złego. Wszyscy patrzyli na mnie — no to pokazałem im język, żeby sobie nie myśleli... Ktoś pogroził mi pięścią, usłyszałem wołanie:

— Trzeba było to dawno zrobić, miesiąc temu zgłaszaliśmy przecież. Wszystkich by nas spalił, wariat jeden!!!

Jeszcze raz pokazałem im język, a potem spojrzałem w okna. Wszystkie szyby były powybijane, z czarnego wnętrza wydobywał się jeszcze dym i straszliwy smród spalenizny. Interesowało mnie, czy tego z szafy też wyprowadzą, bo chyba razem powinniśmy jechać, ale nie, on chyba pojedzie później. Wpakowano mnie do karetki pogotowia — zupełnie niepotrzebnie, nie byłem wcale poparzony. W karetce było czysto i schludnie, co zrobiło na mnie korzystne wrażenie. Przez szyby patrzyli na mnie jacyś ludzie. Co we mnie takiego osobliwego? Uśmiechnąłem się do lekarza, który właśnie robił mi zastrzyk w przedramię. Samochód ruszył. Poczulem ciepło w całym ciele i błogi spokój. I ulgę, dużą ulgę, że tymi tam w domu zajmą się strażacy — już oni mają swoje sposoby. Jechaliśmy, za oknami mijał nas rozpędzony świat. Jeszcze raz uśmiechnąłem się do lekarza i do tego faceta w białym fartuchu, który zupełnie bez powodu trzymał mnie za nogi. Zasnąłem.

Zachowanie Oskarowicza od momentu powrotu do domu było dziwne. Na pytania odpowiadał niechętnie, najwyżej jednym krótkim zdaniem. Całymi godzinami przesiadywał przy oknie i zamyślony patrzył daleko przed siebie. Wszelkie próby wyrwania go z tego stanu spełzały na niczym. Najbardziej nie lubił licznych odwiedzin. Sztuczna wesołość wprawiała go w rozdrażnienie, co przejawiało się szybkim podnoszeniem i opuszczaniem kolan. Nie chciał nigdzie wychodzić, z nikim się spotykać. Na wszelkie tego rodzaju sugestie lekceważąco machał ręką. Nikt więc nie protestował, kiedy nagle wyraził chęć udania się na cmentarz — na grób kolegów z pracy, żona zakupiła w tym celu niewielką wiązanekę z jodły i goździków. Reakcja Oskarowicza na ten zakup była nieoczekiwana. Wybuchnął głośnym śmiechem, wyrwał żonie wiązanekę i rzucił na podłogę. Potem powiedział coś, co wprawiło ją w konsternację:

— To im niepotrzebne. Nie chcę się ośmieszać.

Pojechali więc bez kwiatów. Bystrej pani Oskarowicz zachowanie męża dało wiele do myślenia. Na cmentarzu prawie że podbiegł do długiej kamiennej płyty z szeregiem wrytych nazwisk. Nie zwracając najmniejszej uwagi na żonę, oparł się rękami o płytę i zaczął się monotonicznie kołysać w tył i w przód. W końcu wybełkotał:

— No i co? Nie udało mi się... No śmiećcie się teraz z głupiego Oskarowicza! Śmiećcie się!

Potem bezwładnie osunął się na ziemię. Zemdlał. Nadbiegła przestraszona żona, która niewiele zrozumiała z tego, co mówił

jej mąż. Pracujący nie opodał grabarz pomógł Oskarowiczowi odzyskać przytomność — bijąc go kilkakrotnie ręką po twarzy. Poskutkowało. Grabarz był człowiekiem na tyle uczynnym, że pomógł jeszcze zaprowadzić Oskarowicza na postój taksówek.

Wezwany do domu lekarz stwierdził, że takie omdlenie może się zdarzyć, zważywszy przebytą chorobę. Tego samego dnia wieczorem Oskarowicz zamknął się w łazience i nikomu nie chciał otworzyć. Powtarzał tylko w kółko:

— Zostawcie mnie w spokoju...

Starszy syn zdecydował się wyważyć drzwi. Oskarowicz stał przed lustrem i brzytwą dokonywał na swoim lewym przedramieniu delikatnych nacięć naskórka. Z kilku miejsc sączyła się krew. Krzywdy, rzecz jasna, nie mógł sobie zrobić w ten sposób, jednak widok brzytwy i krwi — bez względu na jej ilość — spowodował panikę. Starszy syn siłą wywłókł ojca z łazienki; sam przy tym uderzył głową o framugę i rozbił łuk brwiowy. Drugi już raz w tym dniu pod dom Oskarowicza zajęła karetka pogotowia. Pomijając urazy psychiczne, pomocy medycznej bardziej potrzebował syn, który wyważył drzwi, niż ojciec. Rozbity łuk brwiowy wyglądał naprawdę nieciekawie. Oskarowiczowi wystarczyło posmarować rany jodyną i założyć plaster. Tym niemniej ze względu na okoliczności, w których doznał okaleczenia, został za zgodą rodziny zabrany do szpitala. Przebywał tam okrągły tydzień, poddano go szczegółowej obserwacji, podawano środki uspokajające. Zachowywał się w miarę normalnie. Konsultant psychiatra nie znalazł powodów,

dla których Oskarowicz miałby dłużej przebywać w szpitalu. Pacjent wrócił więc do domu. W zasięgu wzroku i ręki nie znalazł przedmiotów ostrych ani takich, które by z łatwością skrecały się w pętle. Postarała się o to żona. Popatrzył na nią wymownie i syknął poirytowany:

— Ty głupia babo!

Przez kilka następnych dni nie odezwał się do nikogo. W czasie wizyty proboszcza miejscowej parafii — o co również postarała się żona — siedział zamyślony i nieobecny. Słowa otuchy i pocieszenia, wypowiedane głosem zawodowego psychoanalityka, nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Wreszcie wstał, postukał się palcem w czoło i powiedział:

— O, tu, tu...

Niejakiego natomiast pocieszenia doznała żona Oskarowicza, kiedy ksiądz na odchodnym powiedział sentencjonalnie, że powinna być dzielna i wierzyć, że wszystko będzie dobrze...

Atmosfera w domu stawała się coraz bardziej nerwowa i napięta. W domownikach dojrzewało przekonanie, że ich ojciec i mąż jest niezrównoważony psychicznie. Oskarowiczowa powiedziała to wprost do sąsiadki:

— On szuka śmierci, trzeba go cały czas pilnować, nie śpiemy z synem po nocach. Bo to wiadoma, co mu do głowy przyjdzie?

Sąsiedzi współczuli Oskarowiczowej, że tak się musi męczyć z wariatem. W miesiąc po powrocie ze szpitala znów podjął groteskową próbę samobójstwa. Połknął całą zawartość nie oznaczonej etykietą fiołki z witaminą C. Skończyło się na wymiotach. Jednak lekarz pogotowia, stały bywalec tego domu,

nie miał do zakomunikowania zbyt pomyślnych wieści:

— Musi pani pomyśleć o leczeniu zamkniętym, nie widzę innej możliwości... Pierwszym krokiem byłby wniosek o ubezwłasnowolnienie. Na razie proszę go pilnować.

Po wyjściu lekarza Oskarowiczowa po raz pierwszy popatrzyła na swego męża jak na obcego człowieka. Być może był to skutek zwykłego zmęczenia. Po raz pierwszy też poczuła do niego niechęć... i nie odpędziła jej od siebie. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie. Powodem tego była zmiana zachowania Oskarowicza: stał się bardzo agresywny i po swoim nieobliczalny. Pewnej nocy wstał cicho z łóżka i zaczął dusić siedzącą w fotelu żonę. Oskarowiczowa, już pewna, że to nie żarty, ostatnim wysiłkiem zdołała zawołać: Ratunku! Wbiegł rozespany syn i rozdzielił szamocących się rodziców. Oskarowiczowa była sina, łapała powietrze jak ryba. Oskarowicz na czworakach wpełzł pod stół. Dłużej nie można już było czekać z decyzją. Jeszcze tej samej nocy Oskarowicz znalazł się w zakładzie zamkniętym.

Postępowanie o ubezwłasnowolnienie, wszczęte na wniosek żony, było czystą formalnością. Biegły psychiatra z dużym autorytetem naukowym nie potrafił właściwie nazwać schorzenia, które dotknęło Oskarowicza. Katalog chorób psychicznych jest ciągle jeszcze niekompletny — stwierdził. Niepoczytalność pacjenta nie budziła jednak wątpliwości, jak również to, że zagrażał otoczeniu. Sędzia wykorzystał te fakty w uzasadnieniu do orzeczenia ubezwłasnowolniającego Oskarowicza.

Biegły psychiatra obiecał osobiście zająć się tym ciekawym przypadkiem. Oskarowicz miał przebywać w zamkniętym szpitalu aż do momentu, kiedy jego psychika zmieni się na tyle, że ludzie normalni będą go mogli zaakceptować. Dla Oskarowicza wysoki mur szpitala miał być odtąd granica między akceptacją a jej brakiem. Granicę umowną, ale nieprzekraczalną.

W domu Oskarowiczów nastał wreszcie spokój, dość gorzki w smaku.

## XVI

Jedyne, co pamiętam od momentu przewiezienia mnie tutaj, to ciągłe przesuwanie się wokół łóżka ubranych na białą postaci. W głowie czułem pustkę i spokój. Tak — byłem spokojny. Chwilami wydawało mi się, że tylko po to przyszedłem na świat i przeżyłem jakiś czas, by teraz leżeć w tym łóżku i mieć spokój. Czułem się w dziwny sposób wyróżniony. Powoli przypominałem sobie coraz więcej szczegółów z własnego życia. Również i ten moment, kiedy się to wszystko zaczęło.

Wiedziałem, że i ten okres mógłbym sobie dokładnie przypomnieć, gdybym tylko chciał — ale nie chciałem. Woląłem go traktować jak wejście do ciemnej i dusznej piwnicy, w której znajduje się jadowity pająk. Nie chciałem tam wchodzić. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że znajduję się w szpitalu. Musiałem w takim razie być chory i widać jestem w dalszym ciągu. Nie mogłem mówić. Głos wiązał mi w gardle, wydawałem z siebie jedynie głuche, zwierzęce pomruki. Najbardziej bolało mnie to, że jestem bezradny jak dziecko. Na

pytanie: co dalej, wolałem nie znać odpowiedzi.

Kilkakrotnie do sali wchodził ubrany w pasiastą pizamę mężczyzna. Jego twarz wydawała mi się znajoma, lecz nie potrafiłem sobie przypomnieć, skąd go znam. Odniosłem wrażenie, że on zna mnie również. Olśnienie przyszło nagle: przecież to Oskarowicz. On wtedy... Ucieszyłem się, że nie jestem wśród samych obcych. Nie mogłem mu w żaden sposób okazać, że chcę, aby częściej przychodził. Nerwowe przebieranie palcami mogło oznaczać wszystko. Musiał mnie jednak zrozumieć, bo zjawiał się odtąd codziennie po obchodzie. Nie odzywał się do mnie, aczkolwiek podniesionym do góry kciukiem prawej ręki dawał mi do zrozumienia, żebym się nie martwił. Chyba również za sprawą tego kciuka — choć nie wyłącznie — stawałem się z każdym dniem silniejszy. Pierwszym słowem, jakie wypowiedziałem, było:

— Pić...

Powtarzałem je w kółko, dostawałem więc wodę z sokiem, herbatę albo kawę zbożową. Pielęgniarka miała bardzo niewyraźną minę widząc, że zaciskam usta, kiedy podaje mi kubek z płynem, po czym znów powtarzam: pić, pić... Nieporozumienie wyjaśniło się dopiero wtedy, gdy zacząłem wymawiać więcej wyrazów — nie zawsze pozostających w logicznym ze sobą związku. Nie miałem na to wpływu. W każdym razie trochę lepiej mnie rozumiano.

Obok mnie leżało jeszcze dwóch mężczyzn. Dokonałem bardzo nieprzyjemnego spostrzeżenia: ci dwaj musieli być nałogowymi alkoholi kami — w ostatnim stadium tej choroby.



Ze smutkiem pomyślałem o swoim pobycie tutaj... Mimo to uważałem się za kogoś lepszego od nich, choć nie miałem najmniejszych nawet podstaw, by tak sądzić. Jeden z nich wkrótce umarł, na jego miejsce przyszedł następny— w podobnym stanie. Nie wydawało mi się, bym miał umrzeć, a moje ciepłe, wygodne łóżko miał zająć ktoś inny.

Powoli odzyskiwałem władzę w kończynach, mogłem już poruszać rękami i zginać kolana, pozwoliło mi to usiąść o własnych siłach. Wypowiadałem z każdym dniem więcej słów, mówiłem z trudem, ale wyraźnie, a najważniejsze, że z sensem. Podświadomie broniłem się przed zbyt szybkim powrotem do zdrowia. Wiedziałem, że nie mam gdzie wracać, poza tym powrót oznaczał nieuchronny kontakt z przeszłością, której przecież nie dało się tak zupełnie wymazać z pamięci. Mogę ją sobie wyobrażać jak chcę — by nie pamiętać realnych faktów — ale ona istnieje i nic na to nie mogę poradzić... Ani na to, ani na cokolwiek innego.

## XVII

Do chodzenia bezceremonialnie zmusił mnie lekarz kilku mocnymi słowami i ciągnięciem za rękę. Wstałem więc i zacząłem chodzić. Wydawało mi się, że wszyscy mnie obserwują i śmieją się z mojej nieporadności, ale to było tylko złudzenie. Większość pacjentów pochłonięta swoimi „napoleońskimi” sprawami nie zwracała na mnie uwagi. Z Oskarowiczem zamieniałem zaledwie kilka słów:

— Jak leci?

- Pomaleńku.
- A co u ciebie?
- Też w porządku...

Na koniec zawsze podnosił kciuk do góry na znak totalnego optymizmu i dodawał tajemniczo:

– Koniecznie musimy pogadać, ale jeszcze nie teraz, może później... Koniecznie musisz poznać Bogdana, to bardzo mądry facet.

Poza tym właściwie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. To znaczy, ja nie chciałem, żeby powiedział coś, co przypomni mi tamten okres. Zacząłem go unikać, również i z tej przyczyny, że w czasie spotkań natarczywie patrzył na moje trzęsące się ręce i nogi; nie mogłem tego opanować, a takie ciągłe gapienie się działało mi na nerwy, co powodowało, że zaczynałem trząść się jeszcze bardziej. Trząśłem się również na widok ciemnych pomieszczeń. Nie, wcale nie musiałem tam wchodzić, wystarczyło, że tylko spojrzałem na nie. Poprosiłem, by przeniesiono mnie do izolatki, gdzie mogłem spać przy zapalonym świetle. Czułem ulgę, kiedy mogłem się wyizolować z otaczającego mnie świata. Całymi godzinami gapilem się w jeden wybrany punkt i pod wpływem tego przestawałem się trząść, ale któregoś dnia przyszedł lekarz i powiedział, że trzeba inaczej.

Zaprowadził mnie na poddasze, gdzie znajdował się ni to zakład tkacki, ni to sala robót ręcznych. Pierwsze wrażenie było fatalne. Pomieszczenie przypominało dolny pokład średniowiecznej galery. Kilkanaście osób pochylonych nad prymitywnymi warsztatami tkackimi zajadłe lub w otepieniu łączyło wątek z osnową. W powietrzu unosił się kurz, światło było złe,

nieznośnie skrzypiały i stukwały przesuwane krosna. Siadłem na niskim zydelku przy zbitym z kilku desek stoliku, dostałem kawałek mokrej gliny z poleceniem, żebym coś z tego ulepił. Zacząłem od rozklepywania gliny pięścią — i na nic więcej nie było mnie stać. Powoli przywykłem do panującego w salce półmroku. Za brudnymi szybami widać było cienkie gałązki drzewa — przypominały kłębowisko drutów zerwanej linii wysokiego napięcia. Skojarzenie było nieprzyjemne, poczułem się nieswojo. Ze zdwojoną siłą zacząłem walić pięścią w cierpliwy kawałek gliny, przypominający teraz olbrzymi naleśnik. Prowadząca zajęcia pani w szarym fartuchu wyszła z pomieszczenia. Po chwili za plecami usłyszałem ciche psyknięcie. Odwróciłem się. Tuż za mną siedział pochylony Oskarowicz i wyplatał koszyk z wikliny. Podałem mu na powitanie brudną od gliny, trzęsącą się rękę. Powiedział:

— Tam pod oknem siedzi Bogdan, reszta się nie liczy, to wariaci.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Brodaty facet z przepaską na bujnych włosach lepił domek z zapalek. Również spojrzał w moim kierunku i uśmiechnął się; między wargami trzymał kilka przygotowanych zapalek. Podniósł do góry prawą rękę i dwoma palcami pokazał mi znak „V”. Nie wiem dlaczego, być może w tym szpitalu pacjenci mają zwyczaj gestykulować. Wydało mi się, że czuję nieokreśloną więź z tym Bogdanem, Oskarowiczem i całą bezimienną resztą, że znajdujemy się po tej samej stronie barykady, że coś nas łączy i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu uśmiechnąłem się: to my

mamy racje, a nie ci zza muru. Zupełnie niespodziewanie usta-  
piło drzenie kończyn. Ledwo to sobie uświadomiłem, niestety  
wszystko zaczęło się od początku; znów zacząłem przypominać  
kawałek galaretki z wieprzowych nóżek. Oskarowicz psyknął  
ostrzegawczo — wróciła ta kobieta w szarym fartuchu, której  
chyba należało się obawiać. Natychmiast przystąpiliśmy do  
naszych zajęć. Biłem z całej siły w glinę i drewniany stolik —  
mocno i coraz mocniej. Kobieta podeszła do mnie i powiedzia-  
ła:

— No nieźle, nieźle...

Nie wiem, co to miało oznaczać, nie zwracałem na nią zresz-  
tą większej uwagi. Poczulem w sobie coś, co bałem się nazwać,  
żeby nie wypłoszyć: coś, co po tamtej stronie muru nazywa się  
 optymizmem.

## XVIII

Bogdan był piromanem, doskonale zdawał sobie sprawę ze  
swego stanu i nie krył się z tą niewinną, skłonnością. Godzi-  
nami mógł opowiadać o swoich n a j l e p s z y c h podpale-  
niach z okresu, zanim jeszcze tu trafił — tutaj jeszcze nic nie  
podpalił.

— Gdyby postawić — mówił — znak bezwzględności w sto-  
sunku do straży pożarnej i do mnie, to wynik byłby 1:1. Ani ja  
nie jestem gorszy od nich, ani oni lepsi ode mnie. Robimy to  
samo, tylko z dwóch przeciwnych pozycji.

Spółceństwo wolało jednak strażaków niż Bogdana. On  
sam nie tracił nadziei, że nastąpi przewartościowanie pojęć i  
ocen, a wtedy sikawkowymi zajmą się pielęgniarze. Bogdan był

obiecującym pracownikiem naukowym, zanim udowodniono mu podpalenia. Personelowi szpitala nie sprawiał kłopotów. Łykał proszki, brał zastrzyki, budował coraz zręczniejsze domki z zapalek — celowo zaproponowano mu ten budulec — i ciągle się uśmiechał. W uśmiechu Bogdana, trochę tajemniczym, trochę głupkowskim, można było wyczytać. subiektywne zrozumienie wszechrzeczy... Nikt jednak nie oczekiwał od niego odpowiedzi na pryncypialne pytania. Wystarczyło, że jadł, spał, przyjmował lekarstwa i... nie podpałał.

## XIX

Trudno mi było ustalić porę roku. Przedwiośnie? Czy późna jesień? Po kilku dniach deszczu wypogodziło się. Chyba jednak przedwiośnie, w parku spod zwiędłych liści zaczynała kępkami kiełkować młoda trawa. Po śniadaniu i po obiedzie park, który oprócz ośmiu kilkudziesięcioletnich dębów i dwóch spróchniałych ławek innych atrakcji nie posiadał, przemierzały w różnych kierunkach poubierane w piżamy i szlafroki postacie. Spacerowały zalecane przez lekarzy, jeśli oczywiście pogoda dopisywała.

Spotykaliśmy się koło szopy gospodarczej, tuż przy okalającym zakład murze. Było tu spokojniej niż w innych częściach parku, można było usiąść na stercie desek, nikt nie podsłuchiwał, nikt nie wyklócał się o miejsce — jak to zdarzało się przy ławkach. Wysoki mur z białego ciosanego kamienia nie sprzyjał spekulacjom na temat ewentualnej ucieczki — żelazny temat rozmyślań wszystkich uwięzionych, nawet jeśli nie ma

dokąd i po co uciekać. Siadaliśmy bez słowa i wystawialiśmy blade, źle ogolone twarze na słońce. Tylko od czasu do czasu padało pojedyncze słowo na temat pogody albo docinek pod adresem któregoś z pielęgniarzy. Czuję się dobrze, potrafiłem już opanować drżenie rąk... Pozostał jeszcze strach przed ciemnymi pomieszczeniami, ale na to wciąż nie potrafiłem nic poradzić.

Od pewnego czasu zauważyłem, że Oskarowicz i Bogdan w mojej obecności wymieniają ukradkowe, porozumiewawcze spojrzenia. Kilkakrotnie szybko kończyli rozmowę, bo właśnie nadchodziłem.

Było mi nieswojo, a nawet przykro z tego powodu. Nie chciałem jednak pytać wprost o przyczynę — przynajmniej na razie. Przyszła mi do głowy dziwna myśl, że być może uważają mnie za wariata, ale zaraz zdałem sobie sprawę z całej groteskowości takiego pomysłu.

Któregoś dnia po obiedzie zaczęłem Oskarowicza na korytarzu przed jadalnią. Wyjaśniłem mu krótko, że nie mam zamiaru dłużej bawić się w kotka i myszkę, w każdym razie nie chcę być myszką. Chcę wiedzieć, co jest grane. Z początku udawał zdziwionego, ale w końcu powiedział:

— Dobrze, jutro pogadamy.

Kciukiem skierowanym do góry znów dał mi do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze, a ich zachowaniem wcale nie powinienem się irytować.

## XX

— I wiesz, wtedy powietrze zrobiło się jakby matowe. Jak zaczęły drżeć ściany, to podniósł się krzyk, że trzęsienie ziemi, ale nie, to nie było żadne trzęsienie, tylko po pewnym czasie zauważyłem, że w niektórych miejscach powietrze zaczęło gęstnieć i przybierać takie różne kształty... ludzkie kształty. Była tego masa: małe, duże, chude, grube, kobiety, mężczyźni... Wyglądali tak, jakbyś patrzył na nich przez matową szybę. Pomyślałem, że coś niedobrego dzieje się z moim wzrokiem, przecierałem oczy, ale to nie znikало. W całym biurze zrobiło się tak cicho, że słyszałem bicie własnego pulsu. Nie było czasu, żeby się nad tym zastanowić. W pewnym momencie kilka tych kształtów zaczęło wnikać we mnie, do środka. Tak po prostu. Usłyszałem w głowie taki dźwięk, jakby ktoś stroił radio, a potem głos męczyzny, spokojny i melodyjny, głos człowieka zadowolonego z siebie...

Nigdy bym nie przypuszczał, że Oskarowicz potrafi tak opowiadać. Niema] widziałem każdy szczegół. Sam zresztą zacząłem sobie przypominać t a m t e n dzień mimo wewnętrznych oporów... Tak, to mogło być wtedy, kiedy wszedłem do tej bramy...

Z wyrzutem w głosie odezwał się Bogdan:

— Ostrzegalem, cholera, żeby mu jeszcze nic nie mówić! Popatrz, znów się cały trzęsie!

Tak, trząsałem się, ale dopiero Bogdan mi to uświadomił. Potrzebnie czy niepotrzebnie przytrzymał mnie mocno za ramiona. Nie bez trudu uwolniłem się z tego uścisku i poprosiłem Oskarowicza:

— Mów... mów dalej...

Wydawało mi się, że przeskoczę jakiś próg, jakąś barierę, która dotąd mnie krępowała, nie pozwalała ani żyć, ani umrzeć. Tylko niech już zacznie mówić, niech nie zapala tego papierosa... niech szlag trafi tę moją trzęsionkę!! To był jedyny papieros, jakiego udało nam się dziś zorganizować. Oskarowicz zaciągnął się kilka razy i podał mi go. Musiał mieć spoczone ręce, bo wokół ustnika widoczna była cienka obwódka. Zaciągnąłem się tak mocno, że poczułem, jak pieką mnie palce. Papierosa musiałem trzymać w obydwu rękach, inaczej nic by tego nie wyszło. W końcu niedopałek dostał się Bogdanowi. Milczeliśmy przez chwilę. Ponagliłem Oskarowicza:

— Mówisz czy nie mówisz?

Patrzył na mnie, jakby chciał ocenić stan mojego zdrowia. Wreszcie dużo spokojniej niż poprzednio kontynuował:

— No, usłyszałem wtedy ten głos: „Cześć, jak leci” czy coś w tym rodzaju. Odpowiedziałem, że dobrze, że do przodu... Wtedy rozległ się śmiech, taki ironiczny, trochę głupi. Z czego się śmiejesz? zapytałem, śmiał się dalej, a potem powiedział, że litość go bierze nade mną, że udławię się tymi zakurzonymi papierami, że nie mam do czegoś tam dystansu i takie inne duperele. Zapytałem, co się tu właściwie dzieje i kim on jest lub raczej, kim ONI są. Zaczął głądzić coś, czego jeszcze wtedy nie rozumiałem. Sens był taki, że i on kiedyś żył, był normalnym człowiekiem, no i umarł, ale wcale tego nie żałuje, bo nic się nie kończy... Zachwalał mi wspaniałą możliwość wnikania



w ciała ludzi żyjących, wedle indywidualnych upodobań i poza świadomością tych ludzi. Mówił, że w ten sposób można doznawać najwspanialszych wrażeń życia materialnego, że czuje się naprawdę szczęśliwy, choć nie wie, jak to się dzieje, że ma świadomość istnienia... tak że zapytałem go w końcu, w jaki sposób mógłbym się dostać tam do niego. Powiedział, żebym się rozejrzał dookoła. Zrobiłem to i zobaczyłem, że tamci ze sobą kończą... Sam zresztą widziałeś, w jaki sposób. Nagle usłyszałem w sobie inne głosy, znajome i bardzo zadowolone z siebie. Najgłośniej krzyczała ta gruba Celina, wiesz która... Też wdarła się we mnie, wlaźła mi do środka i zaczęła zapewniać, że to nic nie boli, żebym się pospieszył. Popatrzyłem na te porozrzucane na biurku papierzyska: co za głupota? Zrobiło mi się tak lekko, z przyjemnością słuchałem tych głosów... Wyrzuciłem kilka razy głową w kant biurka, rzeczywiście nic nie bolało, ci w głowie podnieśli wrzawę: Brawo Oskarowicz! Jeszcze raz, jeszcze!

Poczułem w pewnym momencie, że ja i moje ciało to dwie obce istoty, że ten zakrwawiony facet, który upadł pod biurko, to nie ja, że udało mi się od niego uwolnić, że nareszcie się wyzwoliłem. Pamiętam jeszcze, że powietrze znów stało się przezroczyste, a te postacie gdzieś znikły. Straciłem przytomność. Obudziłem się dopiero w szpitalu.

Oskarowicz skończył i na chwilę zapadło milczenie. Po drugiej stronie muru ktoś zagwizdał trzykrotnie, a potem pod nogi upadło nam prostokątne kolorowe pudełko — paczka papierosów. Podniósł je Bogdan i natychmiast rozpieczętował. Na

pewno nie był to prezent dla nas, ale i tak nie mieliśmy zamiaru nikomu oddawać papierosów ani się nimi dzielić. Po chwili — jak trzy dychawiczne parowozy — otoczyliśmy się kłębam dymu. Powiedziałem przez zęby:

— To spadło jak piorun spiralny.

Nie zrozumieli, nawet Oskarowicz nie zrozumiał, chociaż wydawało mu się, że zna całą prawdę. On odczuł tylko skutki, ja chyba widziałem przyczynę...

Oskarowicz pochwalił mnie:

— Myślałem, że będzie z tobą gorzej. Nawet się tak bardzo nie trzęsiesz. Mówię ci: wszystko w porządku, a będzie jeszcze lepiej. Bogdan mi to wytłumaczył... Bogdan, tyle razy ci mówiłem, że te deski są bardzo mokre, nie zapalą się. Oddaj te zapalki! Dostaniesz izolatkę i jeszcze my przez ciebie będziemy mieli kłopoty...

Bogdan też miał mi coś do powiedzenia. Podpalanie desek to były tylko takie jego figle. Oddał zapalki Władkowi i powiedział:

— Było z tobą bardzo niedobrze, dlatego nie chcieliśmy ci niczego przypominać, ale sam się uparłeś... Mnie to wszystko opowiedział ten strażak od siedmiu boleści. Szczerze mówiąc, nie bardzo mu wierzyłem, ale nie miał powodu kłamać i chyba by nawet nie potrafił, bo on zupełnie nie ma wyobraźni. Nie twierdzę, że mam rację, ale jak chcesz, to ci powiem, co sądzę na ten temat. To bardzo ciekawa sprawa. Rozumiesz, nastąpiło przecięcie dwóch...

Przerwałem mu:

— Uderzył piorun spiralny!

Zareagował dość gwałtownie:

— Co ty pleciesz? Nie ma takiego zjawiska!

— Sam widziałem — upierałem się — byłem blisko, nawet pośrednio odczułem skutki... też czułem, że się ściany trzęsą. Słyszałem głosy, a potem wszystko ustąpiło, chyba oddziaływanie było za słabe...

Nie wdawał się ze mną w dyskusję chyba tylko dlatego, żeby mnie nie denerwować:

— Dobrze, dobrze, ważna jest nie przyczyna, ale skutek. Mówisz: piorun spiralny, a niech tam, niech będzie nawet prostopadłościenny albo owalny. No więc uderzył. I co? Na pewnym obszarze nastąpiło przecięcie się i połączenie dwóch światów, dwóch różnych wymiarów czasoprzestrzennych. I co się okazało? Że nic się nie kończy, że bagaż doświadczeń z życia materialnego nie ginie z chwilą śmierci organizmu. Trudno powiedzieć jaka jest struktura tej drugiej, jeszcze nam nie znanej egzystencji... Może to energetyczna osnowa materialno-biologicznej postaci życia? Nie wiemy i chyba nigdy się tego nie dowiemy. Bo i po co? Jest jak jest!

Spojrzeliśmy po sobie z poczuciem nieopisanej wyższości nad tymi, którzy jeszcze nie w i e d z ą... Nie mają pojęcia, że cały ten nasz ludzki interes wcale się tu nie kończy. My to co innego. My mamy pewność. Nie musimy bać się utraty naszych małych, mizernych żywocików, o które oni troszczą się jak o cenną, chińską porcelanę. Mnie zwłaszcza przyniosło to ogromną ulgę. Wracam przecież do zdrowia, wkrótce stąd wyjdę, trzeba się gdzieś urządzić. Nie znajdę sobie miejsca na tym świecie? Nie szkodzi. Spróbuję na tamtym. Jedno wiem na pewno: nie będę już zaszczutym zwierzakiem. Rozpierała mnie

niecierpliwość, dlatego kiedy Bogdan zaczął się rozwodzić o wymiarach czasoprzestrzennych, odwzorowaniach bioenergetycznych i innych takich przerwałem mu krotko:

— Przestań pieprzyć!

Oskarowicz mnie poparł:

— No pewnie, o czym tu gadać? Jest jak jest. My o tym wiemy i gęby na kłódkę. Moglibyśmy przenieść się tam od razu, to całkiem łatwe... Ale po co się spieszyć? Nic nam nie ucieknie! My to wiemy, a tamci nie i to nam daje przewagę, rozumiecie? Nic nam nie ucieknie!

Bogdan złapał nas obu za ręce, zaczął podskakiwać i śpiewać zachrypniętym głosem:

— Nic nam nie ucieknie! Nic nam nie ucieknie!!!

Kręciliśmy się w kółko jak małe dzieci, wyrzaskując na magiczną, wymyśloną przez Bogdana nutę:

— Nic nam nie ucieknie! Nic nam uciec nie ma prawa!

Przez drzwi od pawilonu wybiegło trzech pielęgniarzy i lekarz. Pędzili w naszym kierunku w rozwianych na wietrze kitlach jak wielkie, białe, niekształtne zjawy. Nie zwracaliśmy na nich najmniejszej uwagi do momentu, kiedy boleśnie wykręcone ręce nie pozwoliły nam na swobodne poruszanie się. Bogdan krzyknął, dławiąc się śmiechem:

— Oni uważają nas za wariatów! Głupcy!

Szliśmy spokojnie w stronę oszklonego pawilonu. Pozwoliliśmy się prowadzić, bo teraz i tak nic nie dałoby się zrobić. Patrzyłem pod nogi jakoś nie czułem upokorzenia. Bolała mnie tylko wykręcona ręka. Powiedziałem do popychającego mnie pielęgniarza:

— Puść pan! Przecież się nie opieram...

Nie odpowiedział, widać nie pozwalały na to przepisy. Zwolnił uścisk dopiero wtedy, gdy zamknęły się za mną ciężkie, grubo wyściełane drzwi salki dla furiatów. Zostałem sam. Myślałem, że może za chwilę wnikną we mnie jakieś istoty z tamtego świata. Może moje obecne położenie wyda im się interesujące? Siadłem na podłodze i uśmiechnąłem się do własnych myśli: powiem im...

## KONSERWA

Przerwa — wibrujący dźwięk kawałka szyny uderzanej młotkiem nareszcie pozwala nam rozprostować kości. Wszyscy kładą narzędzia obok swoich stanowisk i wolnym, ociężałym krokiem maszerują w kierunku wielkiego jak cyrk namiotu gospodarczego. Narasta gwar — dla kopaczy jest to kolejna okazja, by wyklócić się między sobą, więc gestykują żywo i pokrzykują w miejscowej odmianie arabskiego. Dla nas — ludzi z zewnątrz, z innego kręgu kulturowego — tajemnica tych sporów na zawsze pozostanie nieodgadniona. Grzebiąc w ziemi cofamy się o tysiące lat, by zrekonstruować codzienne życie przodków tych ludzi. Wzrusza nas każda odnaleziona skorupa, sprzęt codziennego użytku; pęczniej dokumentacja archeologiczna... A w gruncie rzeczy więcej moglibyśmy się dowiedzieć o życiu minionych pokoleń, gdyby ktoś zainteresował się kłótniami naszych pomocników od kopania rowów ziemnych, dźwigania kamieni i przesiewania piachu. Nie tak wiele znów zmieniło się w ich sposobie patrzenia na świat.

Słońce stoi w zenicie, najwyższa pora, by znaleźć dla zlanego potem ciała choć odrobinę cienia. Pić, pić — dużo zimnej, czystej wody, zachłannie — żeby spływała po brodzie i szyi, po piersiach i pępku... W krajobrazie dominuje kolor żółty i biały,

jest duszno. Niebo, choć i tutaj niebieskie, nie kojarzy się z niczym chłodnym, wręcz odwrotnie, przypomina płomień palnika acetylenowego. Lepiej nie dotykać, nawet w wyobraźni, bo zaraz robi się jeszcze bardziej gorąco. Nad piaszczystą, porośniętą gdzieniegdzie ciernistymi krzakami równina jak zwykle o tej porze wznosi się tafla rozedrganego, falującego powietrza. W niektórych miejscach można nawet dopatrzeć się kształtów realnie istniejących rzeczy. To tylko miraż, złudzenie zmęczonych, zalanych potem oczu. Po drugiej stronie równiny już na pewno nie omam ani urojenie: pasmo gór niezbyt wysokich, łagodnych w zarysie, wyraźnie odcinających się swoją barwą od całej płowóżółtej reszty. Nigdy nie miałem dość czasu dokładniej im się przyjrzeć, nie mówiąc o sforsowaniu równiny i przejściu grzbietem pasma dla czystej radości eksploratorazdobycy. Niestety, ta kampania wykopaliskowa w porównaniu z innymi, w których brałem udział, odznacza się wyjątkową, dynamiką — praca, praca i jeszcze raz praca. Efekty jak na razie nie nadzwyczajne, ale byłaby to krzycząca niesprawiedliwość, gdyby przy tej ilości przelanego potu miało się obyć bez rewelacyjnych znalezisk. W tej dziedzinie trzeba mieć szczęście, którego najwyraźniej brakuje kierownictwu ekspedycji. Zamiast pomyśleć lub zdać się na intuicję, przerzucamy tylko tony piasku, znajdując rzeczy mało wartościowe z archeologicznego i historycznego punktu widzenia. Szkoda. Nie przejdę grzbietem tego łańcucha, którego nazwy nie znam, nie wystarczy na to czasu. Obiad składa się głównie z podgrzanych w

gorącej wodzie konserw: wyjątek stanowi kompot, który kucharz przyrządził ze świeżych ananasów. W czasie jedzenia moje myśli błądzą wokół odległego w czasie i przestrzeni talerza bursztynowego rosółu z kluseczkami i grubą warstwą posiekanej zielonej pietruszki. Tak, ale jeszcze trzy miesiące temu, jedząc taki rosół, nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie wyjadę, kiedy znów siedząc na polowym łóżku w namiocie będę wybierał wołowinę myśliwskim nożem wprost z puszkii. Był to więc sygnał, że monotonia i przyzwyczajenie rozgościły się na dobre w mojej psychice i najwyższy czas zmienić otoczenie dla własnego i innych dobra. A teraz nie ma w nas tego napięcia, które zawsze towarzyszy poszukiwaniom. Podświadomie nie liczymy już na nic, byle dotrzeć w dobrej kondycji do końca kampanii; uważać, żeby skorpion nie ukąsił, pić tylko przegotowaną wodę i nie zadzierać z Arabami... Kierownictwo ekspedycji też jest już mocno zmęczone. Formalnie wszystko jest po dawnemu, a więc z żelazną konsekwencją realizuje się założony plan, co w naszym przypadku sprowadza się do ciągłego poganiania wszystkich. Kierownictwo jest mądre i dalekowzroczne, to tylko my jesteśmy głupi i zaślepieni, stąd właśnie brak efektów, które by zbulwersowały świat. Grzebiemy w piasku, grzebiemy, kłócimy się między sobą, narzekamy, w namiotowym zaciszu tworzymy przysłowia na temat głupoty naszych szefów. Nasi szefowie wieczorami popijają dobrą whisky i zastanawia się, k t o tu przynosi pecha, przez kogo nic się nie udaje. Repertuar klątw rzuconych przez bogów i bogom równych władców



został już dawno wyczerpany; nie można już nic zwalić na przykład na Rubizada III i jego przedśmiertne skłonności do magii i mistycyzmu. Prawda jak zwykle jest obrzydliwie prozaiczna, stoi za nią urzędnik, któremu właśnie to stanowisko archeologiczne wydało się atrakcyjne — zapewne ze względu na niską cenę. Po naprędce zorganizowanej konsultacji naukowej wykupiono koncesję — licząc, że może zdarzy się cud, bo nigdy nic nie wiadomo...

Koło mojego polowego łóżka przechadza się dostojnie cętkowany pająk, wielki jak pięść dorosłego mężczyzny. Niebezpieczny intruz. Już dawno powinienem go zabić albo przynajmniej wyrzucić z namiotu, ale nie mam dość siły i woli, żeby wstać. Może sam wyjdzie? Wyzaczyłem mu strefę bezpieczeństwa: jeśli ja przekroczy — zginie. Pająk jakby wiedział, gdzie wolno mu łązić, żeby dożyć wieczoru. Jeżeli chociaż jedna jego noga znajdzie się w pobliżu moich butów, jeśli poczuje się przez niego zagrożony, to zgodnie z odwiecznym prawem natury, prawem silniejszego, zdzielię go w kosmaty łeb grubym tomem „Archeologii śródziemnomorskiej”, która tymczasem, zanim stanie się narzędziem mordy, jest zupełnie niezłą poduszką. Trzymam ją pod głową, choć wcale przez to nie jestem mądrzejszy. Póki co stosunki z pajakiem układają się dość przyjaźnie — choć do serdeczności daleko. Pomyślałem, że mógłbym z kosmaczem zawrzeć niepisaną umowę. On straszyłyby o każdej porze dnia i nocy nieproszonych gości, to znaczy, po prostu w odpowiednim momencie pojawiałby się w miejscach, w których najmniej by się go spodziewano, ja z kolei

dbałbym o pajęczy wikt i opierunek. Symbioza w czystej postaci. Nadałbym mu imię... powiedzmy — Walduś. Może jest wybitnie inteligentnym pajakiem, absolutnym geniuszem wśród swych pobratymców, można by więc spróbować tresury. Walduś — pajak obronny, dobrze ułożony opiekun domu. Oj, mógłbym wtedy poszczuć tego i owego:

— Walduś, bierz go!

To południowe słońce sprawia, że pod czaszką zaczynają się kłębić absurdalne myśli, tak niedorzeczne, że lepiej się nimi nie dzielić z nikim. Zresztą chyba większość moich kolegów popadła już w ten słoneczny trans głupich myśli. Postanowiłem, że będę tresował pajaka. Zwiesiłem głowę z łóżka i niezbyt głośno zawołałem:

— Walduś, skurczybyku, do nogi!

Zareagował — zatrzymał się i jak najprawdziwszy pies zaczął węszyć tymi swoimi czułkami. Chciałem wydać mu jeszcze jakieś polecenie, ale w porę zauważyłem, że ktoś zbliża się do namiotu. Po chwili cień człowieka zamigotał na zasuniętym do połowy tropiku. Nie zapytał, czy może wejść, po prostu wszedł, ale taki był zwyczaj i przywilej kierownika wyprawy. Zanim cokolwiek powiedział, zdecydowanym stąpieniem rozgniół na miazgę biednego Waldusia. Uznał, że pajak tylko dlatego dłużej niż wypada żył w pobliżu człowieka, że człowiek — to znaczy ja — uległ rozkojarzeniu wskutek upału. Nieszczęsny Walduś, uchwycony za łapę, zatoczył w powietrzu szeroki łuk i wylądował bezszelestnie w rozgrzanym piasku.

Kierownik otrzepał ręce i popatrzył na mnie wzrokiem wybawcy. Powiedział:

— Co za świństwo, zawsze powtarzam, że namiot trzeba sprawdzać tysiąc razy dziennie, a i tego jeszcze mało. Wystarczy chwila nieuwagi... Widzę, że zjawilem się w porę, bo już był w panu do buta. Buty też trzeba sprawdzać. Ale ja nie o tym...

To był taki sympatyczny pajak. Szkoda. Nie mogłem już dłużej leżeć i kontemplować przemijania. Byłem niezadowolony z nagłego, wtargnięcia w mój poobiedni wypoczynek. Kiedy przychodzi szef, trzeba wstać, przyczesać włosy, przetrzeć nieprzytomne oczy i uprzejmie poprosić, by usiadł, ach, jeszcze pochwalić szybkość decyzji szefa i jego odwagę posunięta do szaleństwa, gdy w grę wchodzi życie lub zdrowie jego podwładnych. Owszem, byłem uprzejmy, ale na temat pajaka nie powiedziałem ani słowa, wcale nie podobało mi się, że go zabił. Zaproponowałem, że otworzę kilka puszek piwa, ale nie chciał pić. Nie, to nie — sam wypiję.

Jakby z ociąganiem zaczął wyłuszczać, jakie to przyczyny sprowadziły go pod mój skromny namiot. Nie wiadomo skąd uzyskał informację, że u podnóża tego łańcucha górskiego po drugiej stronie równiny znajdują się jakieś kopce ziemne, najprawdopodobniej sztuczne, że występują liczne groty i jaskinie. Jednym słowem, trzeba by to sprawdzić. Pomyślał o mnie, ponieważ wie, „że zawsze lubiłem polatać po górkach”. Zrobił przy tym taką minę, jakby polecił mi co najmniej kąpiel w szambie. Bo w jego mniemaniu propozycja spenetrowania łańcucha Górskiego była przykra — ledwie ją z siebie wydusił. Popęłniłbym duży błąd, gdybym zgodził się skwapliwie i natychmiast, na co miałem ogromną ochotę. Zamiast tego z

poważna miną zacząłem wyliczać wszelkie negatywy takiej wyprawy, a przede wszystkim całe góry czyhających zewsząd niebezpieczeństw. Godził się na wszystkie moje warunki, poczynając od w pełni wyekwipowanego poduszkowca, a kończąc na długim, bo aż dwutygodniowym terminie powrotu.

— Jeśli przygotowania przebiegać będą zgodnie z planem, to myślę, że za dwa dni zaraz po wschodzie słońca będę mógł wyruszyć — wycedziłem łaskawie.

— Dobrze, w razie trudności proszę się na mnie powołać, już ja dopilnuję wszystkiego.

Kiedy tylko wyszedł, zatarłem ręce z radości. To, co jeszcze niedawno wydawało się tylko zachcianką przegrzanego mózgu, stało się rzeczywistością. Gdybyśmy do tej pory znaleźli coś naprawdę ciekawego, zamiast propozycji wycieczki otrzymałbym polecenie pracy w godzinach nocnych celem ustalenia dat poszczególnych znalezisk. Rozumiałem sytuację kierownika i w gruncie rzeczy było mi go żal. W mojej wyprawie upatrywałem ostatnią szansę — jeśli nawet nie dla tej kampanii, to na przyszłość.

Z pewnym zaskoczeniem dla samego siebie stwierdziłem, że jestem cynikiem, małym człowieczkiem, który dla realizacji swoich zachcianek potrafi ukryć rzeczywiste zamiary. I wcale nie było mi przykro z tego powodu. Pojadę, pochodzę po górach, odpocznę od tej wrzawy i zamieszania... A cel archeologiczny? Chyba że przypadkiem natrafię na jakiś grobowiec, wypełniony po brzegi zabytkami kultury materialnej, błyszczącymi i nietkniętymi zębem czasu. Będzie to jednak cel drugorzędny. Chociaż nie powiem, by wizja odkrywcy, który dzięki

swoim dokonaniom przechodzi do historii światowej archeologii, była mi niemiła. Jestem więc nie tylko cynikiem, ale i żadnym sławy gnojkiem. Uśmiechnąłem się pobłaźliwie do własnych ułomności, bo przecież w gruncie rzeczy nie jestem znów taki zły. Gdybym był, od razu ukatrupiłbym Waldusia.

Obudziło mnie wycie psa. Stworzenie musiało być przeraźliwie samotne, skoro potrafiło wydobyć z siebie tak głuchy i żałosny dźwięk. Do świtu brakowało jeszcze półtorej godziny. Włożyłem sweter i wyszedłem przed namiot. Było zimno jak zwykle o tej porze nocy, na pokrytej rosą powierzchni namiotu odbijały się srebrnymi punkcikami tysiące gwiazd. Pogłaskałem je niezdarnie — dopiero pierwszy raz w życiu pozwoliłem sobie na taką poufałość. Pies wył. Od czasu do czasu robił krótką przerwę tylko po to, żeby nabrać w swoje psie płuca konieczną porcję powietrza. Może to zły znak? Bzdura. Atawistyczny odruch przedstawiciela gatunku, który wierzy tylko w nieomylność matematyki i fizyki oraz perfekcję urządzeń technicznych. Splunąłem za siebie na psa urok. Mogłem sobie pozwolić na ten luksus — wszyscy jeszcze spali. Jeszcze raz dokładnie sprawdziłem cały ekwipunek — niczego nie brakowało. Obliczyłem, że wody powinno mi wystarczyć nawet na taką rozpustę, jak mycie głowy co trzy dni.

Usiadłem za sterami poduszkowca. Było tu przytulnie, a przede wszystkim dużo cieplej niż w namiocie. Deska rozdzielcza tuż koło kolan świeciła całym rojem seledynowych wskaźników. Wszystkie niosły konkretną informację, lecz w tej chwili

były dla mnie tylko elementem ozdobnym, tajemniczym, mistycznie pociągającym, jak gwiazdy przebijające swym światłem oszkloną kopułę klimatyzowanej kabiny poduszki. Czułem, że kąpie się w powodzi światła — tych zielonych z deski rozdzielczej i granatowo-mlecznych z nocnego nieba. Jeszcze pomyślałem o czymś bliżej nieokreślonym i sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

Obudziło mnie natarczywe walenie pięścią w pancierz poduszki. Otworzyłem oczy. Było już jasno, słońce całym obwodem wychyliło się zza horyzontu i zabarwiło piasek na krwistoczerwony kolor. W obozie rozpoczęła się codzienna krzątanina. Obok maszyny stał zdenerwowany kierownik ekspedycji. Kiedy zobaczył, że nie śpię, przestał tłuc gdzie popadnie, za to zaczął wymachiwać trzymanym w rękę czarnym neseserem, moim neseserem, w którym znajdowały się przyrządy pomiarowe. Niemożliwe, żebym zapomniał, przecież kilkakrotnie sprawdzałem wszystko dokładnie... Otworzyłem boczną szybę, zanim jednak podał mi neseser, natarł na mnie całą kaskadą niezbyt wyszukanych słów, które układały się w jedną wielką wymówkę. Był mocno zdenerwowany i spocony, w kącikach warg miał zaschniętą ślinę. Chciałem się usprawiedliwić, ale szybko zrezygnowałem. Z rozbijającym uśmiechem „zapominalskiego” odebrałem neseser, zasunąłem szybę i bez uprzedzenia włączyłem silnik. Prawie natychmiast w powietrze wzbily się tumany piasku i pyłu, a przez karoserię maszyny przebiegło delikatne drżenie. Wolno skierowałem poduszkowiec w kierunku majaczących na horyzoncie gór. Ruszyłem.

Kątem oka zauważyłem jeszcze machających mi na pożegnanie Arabów. Kierownik ekspedycji stał odwrócony tyłem i pośpiesznie szukał chusteczki — musiało mu coś wpaść do oka.

Jechałem coraz szybciej i szybciej. Jest coś upajającego w ciągłym przyspieszaniu, zwłaszcza gdy ma się świadomość, że do osiągnięcia maksymalnej prędkości jeszcze daleko. Celowo prowadziłem pojazd na skupiska ciernistych zarośli — powodowało to krótki, agresywny szum ocierającej się o pancerz roślinności. Sama radość! Wyobrażałem sobie, że jestem przewodnikiem wielkiej kupieckiej karawany, która jak wąż wije się po pustyni. Droga nasza prowadzi do Bagdadu, a może nawet dalej... Porównanie wcale nie absurdałne, skoro pod maską poduszki warczy osiemset wielbłądów mechanicznych! W porę zorientowałem się, że takie harce po równinie — to tu, to tam — powodują zbyt dużą stratę paliwa, więc już najkrótszą drogą skierowałem się ku coraz lepiej widocznemu pasmu gór. Za sobą pozostawiłem kłęby pyłu — taka mała burza piaskowa, wywołana potężnym strumieniem powietrza wylatującego z dysz.

Po trzech godzinach podróży dotarłem do podnóża gór. Teren stał się mocno pofałdowany i całą uwagę musiałem skoncentrować na sprawnym i bezpiecznym manewrowaniu pojazdem. Nie było to łatwe, a po dalszych trzydziestu minutach okazało się zupełnie niemożliwe: kąt nachylenia stoku przekraczał możliwości poduszki. Jak okiem sięgnąć roztaczało się rumowisko różnej wielkości odłamków skalnych; erozja miała tu wyjątkowo burzliwy przebieg. Dalej w odległości 500

metrów wyrastała prawie pionowa ściana turni tak postrzępionych, jakby dopiero co przebiły się z głębi ziemi. Wyszukałem kawałek miejsca pokrytego drobnym kamieniem i postanowiłem osadzić poduszkowiec na wspornikach. Nie były to góry młode, jak by się mogło wydawać, to tylko proces wietrzenia ukształtował je w taki specyficzny sposób. Można się w nich było dopatrzeć żalu za utraconą bezpowrotnie młodością, obawy przed rozpadnięciem się na bilionowy ziarenek piasku. Otrząsnąłem się z tych porównań. Antropomorfizm nie jest najlepsza metoda tłumaczenia zjawisk przyrody.

Na zewnątrz panował upał nie do zniesienia, pokręciłem się trochę wokół poduszkowca i szybko doszedłem do wniosku, że w takich warunkach nie ma mowy o żadnej wspinaczce. Kamienie parzyły, powietrze wysuszało płuca aż do bólu, a trzeba było zabrać ze sobą wodę, żywność, plecak, namiot i ów nieszcześnie nesoser, o którym prawie udało mi się zapomnieć. Wszystko to musiałbym dźwigać, pokonując pionowe ściany metoda alpejska — asekurując się lina, czekaniem i gęsto wbijając haki do poręczowania. Nie, to niemożliwe. Dla przyzwoitości poczekam do wieczora, a potem odwrót. To powinna być niezła zabawa — jazda na maksymalnej prędkości z zapalonymi reflektorami po dzielącej mnie od obozowiska równinie... Albo tak: pędzić bez żadnych świateł na oślep, kierując się tylko instynktem samozachowawczym. Przyszło mi na myśl, że w razie wypadku do końca życia nie spłaciłbym zniszczonego poduszkowca. To był decydujący argument, żeby w drodze powrotnej nie szaleć.



Wszedłem do środka, zamknąłem kabinę i włączyłem obiegi chłodzenia na pełną moc. Zimne powietrze powoli zaczęło osuszać spocone ciało i dopiero teraz mogłem trzeźwo ocenić sytuację. Przede wszystkim tak szybkim powrotem naraziłbym na szwank swoją reputację niezłego alpinisty. Jechałem z myślą, że bez względu na warunki, które — przewidywałem to — będą trudne, powspynam się trochę. O co więc chodzi? Skwar, słońce, rozgrzane kamienie odebrały mi wolę i chęć do wspinaczki. Z chłodnego wnętrza poduszki góry nie wyglądały już tak złowrogo. Przenocuję, a jutro z samego rana, kiedy słońce nie zdąży jeszcze wszystkiego nagrzać, spróbuję zaatakować. W ciągu czterech godzin powinienem wejść na najwyższy południowy wierzchołek, który sentymentalnie nazwałem „Waldus II”.

Zjadłem konserwę, wypilem trzy puszki soku owocowego, cały czas bacznie obserwując okolicę z wnętrza mojej małej, sztucznie chłodzonej oazy. W miarę jak słońce chyliło się w kierunku zachodnim, dostrzegałem coraz więcej szczegółów istotnych dla mojej wyprawy. Tworów sztucznych, o których wspominał kierownik, interesujących z archeologicznego punktu widzenia, nie dostrzegłem, a dłużyć w kamienistym gruncie łopata albo kilofem nie miałem zamiaru. Moją uwagę przykuwała natomiast cienka jak nitka, dość nierówna przekątna, biegnąca od podstawy masywu aż do trzech czwartych wysokości największego wzniesienia. Mogła to być jedynie szczelina, ale też i coś na kształt drogi, co byłoby okolicznością wielce sprzyjającą moim zamierzeniom. Dopiero teraz też

olśniła mnie myśl tak prosta, że aż zaskakująca tą swoją prostotą. Po co forsować łańcuch w miejscu tak trudnym? Powiniennem zawrócić i starać się objechać cały masyw. Nie jest w końcu aż tak ogromny, żeby to było niemożliwe. Sam nie wiem, dlaczego nie zrobiłem tego od razu, tylko najspokojniej w świecie obżerałem się konserwami. Przerazająca gnuśność i apatia!

Jakby dla rekompensaty poprzedniej bezczynności nie czekając, aż temperatura powietrza odpowiednio spadnie, włożyłem mocne wysokogórskie buty, wziąłem czekan i wyszedłem na zewnątrz. Poszedłem prosto — na ile pozwalało skalne rumowisko — w kierunku intrygującej czarnej niteczki, szczeliny albo drogi. Już po dwudziestu minutach marszu byłem tak zmęczony, że musiałem zrobić przerwę. Dyszałem ciężko, oparty o czekan, a potem co kilkanaście kroków przystawałem, żeby odpocząć. Już myślałem, że nie dojdę, ale jakoś udało mi się przewyciężyć kryzys i złapać drugi oddech. Zresztą im wyżej, tym droga stawała się łatwiejsza, rumowisko stopniowo przechodziło w strome, ale w miarę stabilne zbocze. Przyspieszyłem kroku. Podniecała mnie możliwość odkrycia, czym jest ta poszarpana czarna kreska, coraz grubsza i wyraźniejsza na tle brudnożółtego i białego tła. Po dalszych dwustu metrach już wiedziałem, że jest to jakby przygotowana do odłupania kolejna warstwa skał, grubości około trzech metrów. Kąt nachylenia tego „plastra” do podstawy tylko w niektórych miejscach mógł przekraczać 45 stopni, największą trudność przedstawiała półka skalna tuż przed samym wierzchołkiem: nie obejdzie się bez wbicia dużej ilości haków.

W sumie byłem zadowolony, że to właśnie tak wygląda. W dniu dzisiejszym o żadnej wspinaczce nie może być mowy, będzie na to czas jutro z samego rana. Dość szybko, przeskakując co większe kamienie jak górski kozioł, dotarłem do poduszkowca. Był zakurzony, ale przynajmniej nikt nie wypisał na jego powierzchni żadnego świństwa. Sam więc napisałem wielkimi literami: BRUDAS, i był to najsympatyczniejszy moment mojej dotychczasowej przygody z tymi górami.

Pozostałą do zmierzchu część dnia spędziłem drzemiąc i nudząc się na zmianę. Kiedy tylko słońce znikło za widnokręgiem, wyjąłem owinięte płótnem kilka desek, które udało mi się przemycić do poduszkowca. Porąbałem je na mniejsze szczapy, z których ułożyłem zgrabny stosik na równiejszym kawałku terenu. Ognisko paliło się wesoło, zapach dymu odurzał, a trzask płonących desek przypominał błyskotliwy dialog dwóch osób z jakiejś wyimaginowanej sztuki teatralnej. Z miną zadowolonego z siebie głupka popijałem gorącą herbatę i wszystko wokół mnie cieszyło. To bardzo dobrze, że znalazłem się właśnie tutaj, z dala od ludzi. Mam swoje święto, święto łączności z przyrodą, które bywa udziałem niewielu.

Natłok przyjemnych myśli przerwało gwałtowne wycie psa — zupełnie bliskie. Tak jak dzisiejszej nocy. Poczulem się nie-swojo. Nie ma zresztą chyba człowieka, który by nie wzdrygnął się na taki skowyt. Niech wyje, jeśli ma taką potrzebę — poduszkowiec się od tego nie rozleci, woda nie wyparuje... Od strony gór powiał chłodny wiatr. I wtedy poczułem znajomy

zapach, którego w żadnym wypadku nie mogłem się tutaj spodziewać. Charakterystyczny zapach silnie zjonizowanego powietrza! Skąd? Pies, który przez dłuższą, chwilę zachowywał się cicho, znów rozpoczął swój niesamowity koncert. Pomyślałem, czy to nie awaria w systemie radio-nuklidowych baterii elektrycznych, zasilających obwody poduszkowca? To by oznaczało, że mogłem otrzymać bliżej nieokreśloną dawkę promieniowania. Koniecznie trzeba to sprawdzić. Z bijącym sercem badałem całą powierzchnię i wszystkie zakamarki poduszkowca. Licznik zastukał kilkakrotnie, ale była to normalna reakcja na naturalne promieniowanie tła. Nic nadzwyczajnego. W miejscach przypuszczalnego wycieku radionuklidów — absolutna cisza, zresztą producent baterii gwarantował ich stu-procentową niezawodność; jak dotąd nie słyszałem o żadnym wypadku w czasie ich eksploatacji. Wynikało z tego, że źródło jonizacji powietrza znajduje się poza poduszkowcem.

Rozejrzałem się dookoła, ale niczego podejrzanego nie zauważyłem. W tym czasie pies zaczął wycić zupełnie gdzie indziej, o jakieś trzysta metrów na prawo od miejsca, w którym zlokalizowałem go uprzednio. Ten zapach zjonizowanego powietrza może być tylko złudzeniem? Taką wężową fatamorganą? Nie potrafiłem nic mądrego wymyślić. Dopilem swoją herbatę, dopaliłem ognisko, bezmyślnie grzebiąc czekanem między żarzącym się drewnem. Spać poszedłem dość wcześnie. Dla pewności, że zasnę i z obawy przed koszmarami zażyłem dwie pigułki nasenne. Zmorzyło mnie prawie natychmiast, kiedy tylko przyłożyłem głowę do miękkiego oparcia przedniego siedzenia,

które po rozłożeniu przypominało średniej wielkości tapczanik.

Obudziłem się wczesnym rankiem z lekkim bólem głowy, który jednak przestał mi dokuczać, kiedy tylko wykonałem kilkanaście przysiadów. Powietrze było chłodne i cudownie orzeźwiający, czułem się bardzo dobrze — zupełnie jak dwa lata temu w czasie wyprawy w Karakorum. Ale wtedy nie byłem sam. Wiedziałem, że każdy mój krok jest należycie asekurowany. Tutaj nawet banalne złamanie nogi może się zakończyć tragicznie. Zaraz po śniadaniu wszystkie niezbędne rzeczy zapakowałem do wielkiego kominowego plecaka. Na sam koniec z pewnym ociąganiem przełożyłem do niego również cenną zawartość czarnego nesesera. W sumie przyszło mi dźwigać około 35 kilogramów bagażu. Wody i żywności powinno wystarczyć na jakieś trzy dni. Kodem elektronicznym zamknąłem wewnątrz poduszkowca i szybko ruszyłem przed siebie, póki jeszcze chłodno i przyjemnie.

Bez większych trudności dotarłem do podnóża, do miejsca gdzie brała początek odnaleziona wczoraj droga. Zaczęła się wspinaczka, żwawo pokonywałem kolejne progi i występy skalne; szedłem szybciej niż to zakładałem. Już udzieliła mi się charakterystyczna dla wszystkich wspinaczy zapalczywość w pokonywaniu trudności: krok za krokiem i do przodu, żalowałem tylko, że nie zabrałem ze sobą kasku ochronnego; mogło się teraz zdarzyć, że na głowę spadnie mi cała lawina mniejszych i większych kamieni. Droga była bardzo wąska, a ja znajdowałem się już osiemdziesiąt metrów powyżej podstawy

góry. Słowem, było niebezpiecznie. Trzeba mieć oczy i uszy szeroko otwarte, a nos wyczulony na wszelkie zapachy!

Tym razem nie mogło już być pomyłki. Powiał wiatr i przyniósł jeszcze intensywniejszy niż wczoraj zapach ozonu. Byłem już pewien, że źródło jonizacji znajduje się na górze — tam dokąd zmierzam. Po chwili wszystko wróciło do normy. Zdjąłem plecak i postanowiłem odpocząć, choć właściwie zmęczony nie byłem. Potrzebny mi był moment zastanowienia nad tą zagadką. Nie można wspinać się i myśleć jednocześnie o czymś zupełnie innym, nie związanym bezpośrednio z celem wędrówki. To niebezpieczne.

Dwukrotnie w ciągu doby wiał wiatr od gór i za każdym razem przynosił ze sobą zapach zjonizowanego powietrza. Sądząc po intensywności zapachu, źródło jonizacji musi być potężne. Promieniowania nie daje się dostrzec gołym okiem, można otrzymać śmiertelną dawkę i nic o tym nie wiedzieć. Gdy wystąpią typowe objawy, bywa już za późno na leczenie. Wyjąłem z plecaka dawkomierz indywidualny z wmontowanym elektronicznym urządzeniem alarmowym i zawiesiłem go na szyi. Talizman współczesności — spełniał nawet wymogi estetyki. Miałem nadzieję, że nie usłyszę cichego, acz przenikliwego dźwięku ostrzegawczego, który będzie oznaczał, że właśnie otrzymałem dawkę powyżej 150 remów. Ciągłe nie byłem całkiem zadowolony. Dawkomierz indywidualny zarejestruje jedynie fakt napromieniowania, a ja wołałbym uniknąć wejścia w niebezpieczną strefę. Po chwili namysłu sięgnąłem po licznik GM, po czym odłączyłem teleskopowy statyw — jako nieprzydatny

— sam zaś czujnik umocowałem powyżej grotu czekana. W ten sposób czekan nie tylko pomagał mi we wspinaczce, lecz spełniał również rolę przedniej straży, która w porę ostrzeże przed niebezpieczeństwem.

Po kilkunastu jednak krokach zaniechałem używania czekana w charakterze podpórki. Bałem się uszkodzić licznik; za to gęsto przeczesywałem drogę przed sobą, w każdym kamieniu upatrując domniemane źródło promieniowania. Tempo marszu wyraźnie spadło, lecz nie przejmowałem się tym— na razie było jeszcze dość chłodno, a sam marsz nie łączył się ze szczególnym udęczeniem maszerującego. Z tej wysokości „zaparkowany” na dole poduszkowiec wyglądał jak biedronka. Dopiero to uświadomiło mi, że takiej wyprawy nie podejmuje się samotnie i że trzeba było raczej zawrócić, kiedy po raz pierwszy dotarła do mnie fala z jonizowanego powietrza. Teraz nie mogłem już tego zrobić bez pobieżnego choćby zbadania całej sprawy. Już nie dla sportowych emocji, lecz z czystej ciekawości brnąłem do góry jak ślepiec. Jak dotąd licznik nie zarejestrował radioaktywności przewyższającej nawet o jeden rząd wielkości promieniowania naturalnego skał i powietrza.

Nagle w odległości dwóch metrów grzmotnęło z głuchym łoskotem kilka kamieni. Machinalnie przywarłem do ściany, chroniąc głowę w ramionach. Po chwili ostrożnie ją odwróciłem i w tym momencie tuż przed moją twarzą przeleciał z nieprzyjemnym świstem ciemny kształt. Z całą pewnością nie był to odłamek skalny. Podczołgałem się szybko nad skraj urwiska

i spojrziałem w dół. Leciał swobodnie, koziółkując w powietrzu. Co to mogło być? Z tej odległości nie mogłem zbyt wiele dojrzeć, zresztą odległość między nami stale rosła. Przypominał gigantycznego nietoperza lub jakiś dziwny, nienaturalnie miękki latawiec. Już niewiele metrów dzieliło go od skalnego rumowiska rozciągającego się u podnóża. Bezgłośnie — jak na niemym filmie — rąbnął z impetem w stos kamieni, a następnie rykoszetem przeleciał kilka metrów poziomo. Dopiero teraz zastygł w bezruchu. W tym zdumiewającym locie było coś żalostnego. Jak skarga dobiegło mnie z dołu krótkie warknięcie czy skowyt. Po chwili znów usłyszałem ten dźwięk odbity echem.

Wróciłem do miejsca, gdzie leżał plecak. Nerwowo przetrząsając jego zawartość, wyczułem wreszcie twardy futerał lornetki — schowała się pod śpiwór. Znowu podpełzłem na skraj urwiska. Nie bez trudu odnalazłem miejsce, gdzie upadło to coś... Wyregulowałem ostrość. To, co zobaczyłem, było straszne i śmieszne zarazem. Żółtobrunatne psisko, nienaturalnie wykręczone, leżało martwe na kupie kamieni. To jego musiałem słyszeć wczoraj i jeszcze wcześniej — w obozie, ślepia miał otwarte, a zdeformowany uderzeniem o kamienie pysk układał się w wyraz zadowolenia, a nawet błogości. Lewa część pyska i łba była zupełnie pozbawiona sierści, to samo dostrzegłem na grzbiecie, tylnych łapach i ogonie. Był bardzo wychudzony. Nawet z tej odległości nietrudno było postawić diagnozę: jeżeli psisko nie cierpiało na silną awitaminozę, to wypadanie sierści mogło być objawem choroby popromiennej. Taka gra skojarzeń: zjonizowane powietrze — wyliniały pies — choroba -



popromienna... Nasuwały się kolejne pytania — zagadki: W jaki sposób dostał się na wierzchołek góry? Co się tam wydarzyło? Dlaczego runął z urwiska?

Poczułem się nieco pewniej, kiedy znów mogłem zacząć obmacywać przyległy teren licznikiem GM. Szedłem dalej, całą swoją uwagę poświęcając bez reszty tej właśnie czynności. Nie chciałem jeszcze formułować żadnych wniosków czy hipotez — miałem na to zbyt mało danych.

Po incydencie z psem już nic szczególnego się nie działo, a co najważniejsze, licznik GM spał jak noworodek. Wbijalem gęsto hak koło haka, przewlekałem liny, troskliwie zabezpieczałem się karabińczykiem. Ciężka to była praca — na szczęście bez niespodzianek. Oczywiście przeżyłem wiele emocji, wisząc w powietrzu na linach, byłem jednak pewien, że wytrzymają. Tylko te zwietrzałe skały... Najpierw odpadnie jeden hak, po nim jak seria z karabinu maszynowego cała reszta. Nic się jednak nie stało. Po przejściu przez nawis wciągnąłem na linie plecak. Do szczytu pozostało jeszcze około pięćdziesięciu metrów niezbyt trudnej do pokonania pochyłości. Zanim ruszyłem dalej, sprawdziłem dawkomierz indywidualny, gdyż w czasie przejścia nie posługiwałem się licznikiem GM. Wszystko było w normie. Dopiero po ponownym zamontowaniu licznika na czekanie i spenetrowaniu otoczenia skierowałem się najkrótszą drogą ku wierzchołkowi.

Im bliżej byłem celu, tym mocniej biło mi serce i to wcale nie z powodu nadzwyczajnego wysiłku. Druga strona grzbietu,

jak ciemna strona Księżycy, pozostawała jeszcze zupełnie niewidoczna i przez to tajemnicza. Miałem ściśnięte gardło, kiedy robiłem ostatnich kilka kroków. Spodziewałem się zobaczyć strome i niedostępne urwisko, tymczasem przywitała mnie łagodnie opadająca dolina, porośnięta nawet gdzieś roślinością. Cały masyw przypominał gigantyczny słup skalny, na którego wierzchołku znajduje się półkoliste zagłębienie, pokryte pylistą substancją i z rzadka występującymi kamieniami. Miejsce to nie było enklawą — jak można by się tego spodziewać — miało roślinność typową dla tej szerokości geograficznej i znałem ją doskonale, gdyż porastała również obozowisko naszej wyprawy. W sumie miejsce wydawałoby się sympatyczne, gdyby nie to, że gdzieś tutaj musiało znajdować się źródło jonizacji. No właśnie... Licznik GM tylko od czasu do czasu pojedynczym trzaśnięciem sygnalizował obecność radionuklidu — charakterystycznego dla promieniotwórczości naturalnej. Pogoda była zupełnie bezwietrzna. Teren można by spenetrować w ciągu jednego dnia — jeśli nie zajdą nieprzewidziane okoliczności. W pierwszej kolejności postanowiłem zbadać dno doliny, choć równie dobrze mogłem ją obejść dookoła. Szedłem powoli, patrząc uważnie pod nogi, a moim najważniejszym „organem” stał się licznik GM. Pewne cechy krajobrazu doliny przypominały mi dawno oglądane zdjęcia podobnego tworu w Górach Skalistych, choć tam, jeśli chodzi o roślinność, dominowały potężne kaktusy, tutaj natomiast rosły gdzieś cierniste zarośla, takie same jak te z równiny. Jak rzędy zębów dolinę opasywały ostre krawędzie szczytów,

które widziałem z dołu. Dość miękkie podłoże sprawiało ulgę stopom zmęczonym wspinaczka po skałach i kamieniach. Czulem się coraz pewniej. Jeśli nawet natknę się na źródło promieniowania, dowiem się o tym odpowiednio wcześniej.

Skąd kierownik wyprawy zdobył informację o sztucznych konstrukcjach ziemnych? Przypomniałem sobie jego spocona, mocno zdenerwowana twarz — taki niewielki człowieczek, cały czas borykający się z problemami i przeciwnościami... Zrobiło mi się go żal i było to najzupełniej szczerze uczucie. Nie powinienem go zawieść. Przystanąłem i zacząłem się pilnie rozglądać we wszystkich możliwych kierunkach — czy przypadkiem nie dostrzegę czegoś, w co można by wbić łopatę albo kilof? Zobaczyłem!!! Zamknąłem oczy i spojrzałem jeszcze raz. Dziesięć metrów przede mną stał do połowy zakopany w piasku kamienny tors. Uznałem, że to bardzo kiepski żart przegrzanego upałem i wysiłkiem umysłu, głupi omam! Przez chwilę nie patrzyłem w tym kierunku. Wyjąłem z plecaka pojemnik z wodą, którą następnie zmoczyłem obficie kark, twarz i włosy. Woda jest jednak najcudowniejszym związkiem chemicznym, i to w skali Wszechświata. Piłem ją długo i łapczywie, jak tylko pić potrafi spragniony wędrowiec w pięćdziesięciostopniowym upale. Natychmiast poczułem się odświeżony. Spojrzałem w stronę tej kępki krzaków, obok której wydawało mi się, że widzę kamienny posąg. Nic się nie zmieniło. Naprawdę tam stał! Nie dało się zrobić nic innego, jak tylko uznać, że to, co widzę, istnieje naprawdę.

Podszedłem bliżej. Był naturalnej wielkości: tors, głowa z utraśniętym nosem, w twarzy coś monumentalnego. Cecha typowa dla rzeźby staroegipskiej, ale mogłem się mylić, nie miałem aż takiego przygotowania archeologicznego. Nieprawdopodobne. Zaledwie pomyślałem o odkryciu, a już w zasięgu mego wzroku jak na zawołanie wyrasta rzeźba — najprawdziwsze znalezisko archeologiczne! Gdzeniedzie w załamaniach kamienia widać było jeszcze ślady polichromii — bardzo już wypłowiałej. Ale to ostatnie spostrzeżenie mogłoby wskazywać, że rzeźba znajduje się w tym miejscu od niedawna, jeśliby rzecz ujmować w skali historycznej. Gdyby bowiem nieprzerwanie była wystawiona na działanie słońca, wiatru, pyłu i od czasu do czasu deszczu — nie zachowałyby się najmniejsze nawet ślady farby. Jeśli oczywiście przyjąć, że rzeźba ta powstała w epoce faraonów, że nie jest najzwyczajszym falsyfikatem... Mogła też zostać tu przeniesiona z innego miejsca, z warunków nie tak szkodliwych dla starożytnych barwników. Ten wariant wydał mi się najbardziej prawdopodobny. Dalsze spostrzeżenie sprawiło, że przestałem się uważać za odkrywcę rzeźby. Figura faraona, a może urzędnika dworskiego? — miała na szyi bardzo współczesny kawałek zardzewiałego drutu kolczastego. Ktoś tu już był przede mną. Podążyłem wzrokiem wzdłuż tego kawałka: zwisał swobodnie jak stryczek po wykonaniu wyroku. Na ziemi odnalazłem następny fragment drutu, tego niemal symbolu naszych czasów z ich tysięcznymi zakazami: nie wchodź, nie przechodź, stój, cofnij się, uważaj. Jeśli nie znasz swoich powinności wobec społeczeństwa czy władzy,

ja, drut kolczasty, mam swoje sposoby, żeby cię sprowadzić na właściwą drogę.

Ten kawałek był tak skorodowany, że rozsypywał się w pył przy każdym dotknięciu. Nie opodał znajdował się drugi posąg w znacznie gorszym stanie — z przetraconym torsem, również opasany kawałkiem drutu kolczastego. Dopiero teraz dostrzegłem, że ktoś przy użyciu posągów i drutu zmontował sobie fragment o grodzienia. Musiał mieć niebywałą fantazję albo całkowity brak rozeznania, skoro zabytek kultury materialnej z epoki faraonów wykorzystał jako najzwyczajniejszy słupek ogrodzeniowy, taki, na którym kot może usiąść i nasiusiać, jeśli ma na to ochotę.

Byłem tak zafascynowany znaleziskiem, że za pomniałem o ostrożności. Na szczęście ani po sagi, ani drut, ani teren wokół nich nie były radioaktywne. Ale jeśli ktoś ustawił ogrodzenie w tak odludnym i niedostępnym miejscu i — jak się można domyślić — olbrzymim nakładem sił i środków, to zrobił to w ściśle określonym celu. Musiała to być zaporą i jednocześnie ostrzeżenie, by żaden przypadkowy wędrowiec strefy tej nie przekraczał — dla własnego dobra. Skorzystałem z tej rady: nie przekroczyłem linii, którą wyznaczały dwa posągi, starałem się iść wzdłuż ogrodzenia. Nietrudno było odtworzyć układ linearny za pory, zwłaszcza że w mniej więcej równych od stępach odkrywałem kolejne rzeźby ludzi i zwierząt z widocznymi fragmentami drutu kolczastego. Znalazł się i nowy element — prostokątna płyta aluminiowa, oparta o sporych rozmiarów

kamień. Była gładka, mogłem się tylko domyślać, że kiedyś widniał na niej jakiś kolorowy napis lub znak. Każdy nowo odkryty posąg dokładnie badałem licznikiem GM, to samo uczyniłem z aluminiową płytą — z negatywnym skutkiem. To znaczy, skutek był właśnie pozytywny — licznik nie sygnalizował podwyższonego stanu radioaktywności, źródło jonizacji musi więc znajdować się wewnątrz tego dawnego ogrodzenia — być może w środku doliny — tam, gdzie miałem zamiar udać się w pierwszej kolejności. Każde napotkane znalezisko dokumentowałem serią fotografii, bo inaczej któż w obozie zechciałby mi uwierzyć? Nic nie powiem, tylko wyjmę fotografie i rozdram niedowiarkom i malkontentom, niech pootwierają gęby... Jeśli wrócę. Bo nie było to tak zupełnie pewne.

Ogrodzenie ciągnęło się po linii zbliżonej do owalu, z wyraźnymi łukami po południowej i północnej stronie. Oprócz kamiennych rzeźb za „słupki” służyły również poczerniałe od starości drewniane pale, kawałki metalowych rurek, a także co większe kamienie, należało więc domniemywać, że posągów użyto z braku innych materiałów.

Jadłem właśnie wysokokaloryczny krem proteinowy prosto z tubki, kiedy gdzieś ze środka ogrodzonej strefy dobiegł mnie dźwięk tak ponury i przytłaczający, że zastygłem jak sparaliżowany. Było to coś pośredniego między sykiem kobry a ostatnim tchnieniem konającego. Na pewno nie wycie psa. Nie zaobserwowałem przy tym żadnego ruchu. Po chwili dźwięk się powtórzył — ale trwał już znacznie krócej. Tym razem jednak przy skupisku kilku większych głazów zobaczyłem tuman kurzu,

który szybko u padł: Przypominał fontannę wody, którą wzbija w powietrze wieloryb. Miałem nieprzepartą chęć, by pobiec w tamtym kierunku, ale byłoby to zbyt ryzykowne. Należało działać rozważnie; skoro założyłem, że najpierw obejdę ogrodzenie, to trzeba się tego trzymać.

Pierwsze ślady krwi zauważyłem na łasze białego piasku rozciągającego się po obu stronach ogrodzenia. Nie można ich było nie dostrzec. Gęsto padające krople wyraźnie czerwieniły się na białym podłożu. Biegły też ze środka strefy i nikły na brunatnych kamieniach. Pobrałem próbkę zakrzepłej krwi. Wraz z piaskiem tworzyła łatwą do wyodrębnienia grudkę. Włożyłem ją do podręcznego spektrografu widmowego i po pięciu minutach miałem gotowy wynik. Nie była to krew ludzka, choć należała do ssaka. Zakrzepła nie tak dawno — czas można by określić w godzinach. Co najciekawsze, poziom czerwonych krwinek, które nie uległy jeszcze rozkładowi, znacznie odbiegał od średniej wartości przewidzianej dla przeciętnie zdrowego ssaka. Słowem, zaawansowana białaczka. Byłem już tego pewien. Tylko kto na nią chorował? Pies? Mógł biec właśnie tędy w czasie krwotoku tak charakterystycznego dla choroby popromiennej, tylko że musiałyby zostawić ślady łap na piasku. Takich śladów nie było. Chyba żeby leciał w powietrzu, ale o psach ze skrzydłami czy innym aparatem służącym do latania nigdy nie słyszałem! Znów wzięła mnie ochota, żeby przejść krwawym śladem po piaszczystej łasze i nareszcie ustalić coś konkretnego! Coś zmierzyć, sfotografować, dotknąć.

Pozbierałem przyrządy i ruszyłem dalej — konsekwentnie wzdłuż ogrodzenia. I pomyśleć, niewiele brakowało, a nie wziąłbym swego czarnego nesesera!

Niewiele już pozostało mi do zamknięcia pętli i znalezienia się w miejscu, z którego rozpocząłem wędrówkę. Jeszcze raz usłyszałem to niewiarygodnie ponure westchnienie i zobaczyłem znów tuman kurzu w tym samym miejscu co poprzednio. Zjawiska te musiały być w jakiś sposób ze sobą powiązane.

Czułem się osamotniony i bezradny, na dobrą sprawę nie wiedziałem, co robić dalej. No cóż, każdy człowiek w obliczu niezrozumiałych zjawisk czuje się w pewien sposób zagrożony. Konkretnie jednak nie odczuwałem żadnych negatywnych czy tajemniczych skutków fizycznych mojej wędrówki. Poza upałem, który bardzo mi już dokuczał, i mistyczną zadumą, która owładnęła moim do szpiku racjonalistycznym umysłem. A jeśli te westchnienia wydaje mumia złego urzędnika, która ożyła i myśli tylko, jak się tu wydostać z grobowca albo zdjąć z siebie kłątwe arcykapłana, żeby niszczyć i mordować wszystko, co znajdzie się na jej drodze? ślady krwi, które odkryłem, są tego najlepszym dowodem: zdjęła z siebie kłątwe! W ten sposób rozumując niepostrzeżenie przekroczyłem granicę między żartem i realnością.

Znalazłem kilka miejsc, które nadawały się pod obozowisko, tak na wszelki wypadek, bo zostać tutaj na noc nie miałem ochoty. Bałem się, najzwyczajniej w świecie się bałem. I wcale nie było mi wstyd z tego powodu. Z drugiej strony, gdybym wrócił na dół, jutro z rana musiałbym przebyć tę samą uciążliwą trasę, co też nie należałoby do przyjemności. Ale może jednak



wrócić? Zawiadomić kogo trzeba? Tylko że wtedy zaczęłoby się zamieszanie, wyładowałyby ze trzy tuziny śmigłowców z setką ludzi. Zagubiłbym się w tym zgiełku, stałbym się niepotrzebny, nie mógłbym w jednym akcie poznania o garnąć tajemnicy. Nie, nie wrócę, zanim nie zbadam wszystkiego od początku do końca, cokolwiek by się miało zdarzyć. Czasy samotnych, romantycznych odkrywców dawno się skończyły, tymczasem ja, całkiem przypadkowo, znalazłem się znów w tej starej, dobrej epoce — sam na sam z niespodzianką i tajemnicą.

Znalazłszy się w miejscu, z którego rozpocząłem wędrówkę wzdłuż ogrodzenia, nie zastanawiałem się dłużej. Z nieodłącznym GM na czekanie wkroczyłem do zakazanej strefy. Po cichu liczyłem, że zaraz potem zaczną się tam dziać rzeczy niezwykle, łatwe do uchwycenia zmysłami lub przyrządami. Nic z tego, poziom promieniotwórczości, który najbardziej mnie interesował, pozostawał bez zmian, mogłem więc sobie pozwolić na przyspieszenie kroku. Szedłem wąskim obniżeniem terenu, opadającym łagodnie ku środkowi doliny; przypominało to wyschnięte koryto okresowego strumienia, powstałego po wielkiej ulewie. Od skał, przy których odbywało się to diabelskie „oddychanie”, dzieliło mnie około pięciuset metrów. W kilku punktach zauważyłem ciekawe zjawisko. Otóż temperatura powietrza nie była jeszcze tak wysoka, żeby wywołać charakterystyczne falowanie i płynięcie, które prawie codziennie obserwowałem na równinie. Mimo to w pobliżu skał, w sześciu punktach leżących jakby na umownym okręgu, powietrze

unosilo się do góry sześcioma regularnymi słupami, różniącymi się od wyraźnie chłodniejszej reszty. Wszystko odbywało się zgodnie z prawami konwekcji. Konwekcja — dla fizyka brzmiało to swojsko, ale w tym wypadku nic nie wyjaśniało.

W pewnym momencie wyraźnie poczułem pod stopami trzęsący się grunt. Nie było to nic wielkiego, nic, co mogłoby zwalić z nóg dorosłego mężczyznę. W chwilę potem usłyszałem znów to przeraźliwe wycie z wnętrza ziemi i zaraz w powietrze wzbił się obłok pyłu i kurzu pod znacznym ciśnieniem. Prawie natychmiast ustało trzęsienie ziemi. W ruchach konwekcyjnych rozgrzanego powietrza żadnych zmian nie zauważyłem. W jakim więc miejscu się znalazłem? Nieznany czynnik we wnętrzu ziemi wywołuje upiorne dźwięki, silne nagrzewanie powietrza w niektórych punktach i wreszcie jego jonizację. Do tego kamienne posągi ze starożytnego Egiptu. Trudno by znaleźć drugie takie miejsce na Ziemi, które równie silnie oddziaływałyby na wyobraźnię. Czy nie jest ono pustynnym odpowiednikiem Trójkąta Bermudzkiego? Niejedna karawana mogła już przepaść bez wieści, jeśli tylko nieopatrnie zapuściła się w te strony. Fakty te nie nabrały rozgłosu, bo miejsce jest tak odludne, że nie było po prostu świadków zaginięć. Na szczęście nieczęsto się to zdarza, skoro od kilku godzin włączę się po całej okolicy i jak dotąd nikt nie starał się mnie porwać ani zdematerializować. A może znajduję się już w zupełnie innym przedziale czasoprzestrzennym, tylko nie zdaję sobie z tego sprawy? Dla mnie mogło upłynąć zaledwie kilka godzin,

gdy tymczasem w świecie, z którego przyszedłem, minęły już całe wieki?

Człowiek!!! W jednej chwili przestałem snuć fantasmagorie. Zobaczyłem go zaraz po obejściu piaszczystego pagórka. Siedział odwrócony do mnie tyłem, opierając się prawym bokiem o pochyłość pagórka. Ubiorem nie odbiegał od wyglądu naszych poczciwych kopaczy, jak oni ubrany był w długą płócienną galabiję i turban. Nie ruszał się. Jeśli spał, mógł nie odczuć mojej obecności, zachowywałem się przecież cicho. Nie chciałem go spłoszyć ani wystraszyć, dlatego głosem najbardziej uprzejmym, na jaki było mnie stać, zwróciłem się do niego uniwersalnym, ogólnoludzkim zawołaniem:

— Hej...!

Nie zareagował. Zawołałem jeszcze raz, tyle że głośniejsze, a potem jeszcze raz — naprawdę już bardzo głośno i niezbyt uprzejmie. Podeszedłem do niego, dość bezceremonialnie złapałem za ramię i potrząsnąłem. Był niewładny, wydawał się przy tym lekki jak piórko, jakby mocno podniszczona galabija kryła jedynie kilka patyków i trociny. Zdecydowanym ruchem przewróciłem go na plecy. Turban spadł. I wtedy ukazał się widok tak przerażający, że jak uderzony batem w twarz odskoczyłem kilka kroków do tyłu. To była wysuszona słońcem mumia, kości powleczone żółtą, pomarszczoną skórą z dobrze zachowanym owłosieniem, no i ta twarz... Otwarte, zasuszone oczy, policzki pobrużdżone i nierówne jak księżycowy krajobraz, żółte, prawie brunatne zęby, sterczące w różne strony z ust pozbawionych warg — jakby chciał coś powiedzieć i nie

zdążył. Nie można było patrzeć w tę twarz bez obrzydzenia. Chociaż w życiu wykonałem już setki analiz szczątków ludzkich w różnym stanie, to jednak nigdy nie uległem przyzwyczajeniu zawodowemu. Czynności te zawsze wykonywałem na pograniczu torsji, taką mam po prostu naturę. Zawsze też podziwiałem lekarzy, którzy z czasem obojętnieją, na tego rodzaju sprawy. Musiałem się jednak dowiedzieć, od jak dawna ten człowiek nie żyje. Sądząc po ubraniu, zgon nastąpił nie tak dawno. Należało jednak wziąć poprawkę na suchy, pustynny klimat i jego konserwujące właściwości. Pomyłka w ocenie mogła tu wynosić nawet kilkaset lat, zwłaszcza że krój ubrania okolicznej ludności osiadłej i rzadkich już plemion koczowniczych nie zmienił się prawie od wieków.

Nie chciałem już patrzeć w twarz tego człowieka, dlatego próbkę tkanki do badań pobrałem z jego pięty. Zapomniana przez wszystkich, leżąca na piasku bezimienna istota w swym o wiele za dużym ubraniu przypominała teraz płamę na obrusie. Czego tu szukał? W jaki sposób zginął? Skąd pochodził? Na te pytania metoda badania połowicznych rozpadów  $^{14}\text{C}$  nie udzielała odpowiedzi. Po chwili miałem przed sobą jedyny możliwy do uzyskania wynik: przestał żyć pięćdziesiąt lat temu. Właściwie spodziewałem się takiego wyniku — bardziej za sprawą intuicji niż logiki. A więc od pięćdziesięciu lat leżał w nie zmienionej chyba pozycji, schnąc jak wiór, bez szans na ludzki pochówek. Umarł czternaście lat przed moim urodzeniem. Jeżeli tylko dane mi będzie wrócić do świata żywych, to zabiorę go stąd. Niech ziomkowie wyprawią mu tradycyjny

arabski pogrzeb. Może znajdzie się wśród nich ktoś, kto będzie pamiętał człowieka, który pięćdziesiąt lat temu wyszedł z rodzinnej wioski i nigdy do niej nie wrócił...

Tuż za pagórkami, przy którym znalazłem mumię, rozciągała się kamienista niecka z czerwoną plamą pośrodku. W miarę zbliżania się do niej licznik GM coraz intensywniej strzelał ostrzegawczym tatatatatata. Stop, ani kroku dalej! Cofnąć się na samą krawędź niecki! Promieniowanie! Wyglądało to tak, jakby ktoś wylał w tym miejscu ogromną kroplę radionuklidu, zabarwionego na czerwono dla ostrzeżenia lub odstraszania. W powietrzu rozchodził się intensywny zapach ozonu, zbyt intensywny, by wdychać go bez szkody dla zdrowia. Powiał lekki wiatr, postanowiłem obejść plamę w bezpiecznej odległości, cały czas z wiatrem, żeby się nie nałykać ozonu. Udało się. Posługując się lornetką stwierdziłem, że takich plam jest więcej, trzeba uważać, żeby w którąś nie wdepnąć. W pobliżu jednej z nich leżały łopata, oskard i zwoje lin. Musiały należeć do niego... Wybrał się widać na poszukiwanie skarbów. Pięćdziesiąt lat temu intensywność promieniowania musiała być dużo większa. Nie zaszedł daleko. Kiedy zorientował się, że coś jest nie w porządku, było już za późno. W popłochu rzucił więc narzędzia, o, właśnie w tym miejscu, zaczął uciekać na oślep, przewrócił się i nie mógł już wstać. Może krzyczał i wzywał pomocy... W ten sposób mógł męczyć się nawet kilka dni. Prawdopodobnie zmarł we śnie, na co mogła wskazywać pozycja, w której go znalazłem. Pomoc w mojej osobie przybyła o pięćdziesiąt lat za późno.

Idąc dalej toczyłem ze sobą walkę. Powinno być zawrócić.

Wystarczy dojść na skraj urwiska i zjechać w dół na linie — szybko i bez wysiłku. Jeszcze mogę to zrobić. Droga odwrotu nie jest jeszcze odcięta. Zatrzymałem się nawet na chwilę, ale tylko po to, żeby być w porządku wobec siebie. Chciałem mieć całkowitą pewność, że dalszy marsz jest przemyślanym wyborem, a nie głupim zaciętrzewieniem. W gruncie rzeczy było to głupie zaciętrzewienie, tyle że silniejsze ode mnie, silniejsze nawet niż instynkt samozachowawczy i dobre, choć nudne rady zdrowego rozsądku.

Żadna rozterka nie krępowała mi już ruchów, szedłem przed siebie, a jedynym moim problemem było w tym coraz niebezpieczniejszym terenie znaleźć w miarę bezpieczną drogę, by cało dotrzeć do celu. Chociaż w najmniejszym nawet stopniu nie miałem rozeznania, co jest właściwie tym celem, ku czemu zmierzam.

Kręciłem się teraz jak w labiryncie, raz w lewo, raz w prawo, tylko tam, gdzie licznik GM milczał. Kilka razy musiałem zawracać i kluczyć, gdy zdarzyło się, że plamy, które powinienem omijać, leżały obok siebie zbyt gęsto. Początkowo, wytyczając kierunek marszu, wykorzystywałem wiatr, żeby nie wdychać zjonizowanego powietrza. W miarę jednak jak przybywało radioaktywnych plam i gdy zorientowałem się, że znajduję się w samym środku ich skupiska — nie mogłem już ustawiać się z wiatrem czy pod wiatr. Na szczęście miałem maskę z filtrem jonów i zacząłem z niej teraz korzystać. Wielka szkoda, że nie mogłem pobrać próbki tej czerwonej substancji, ale było to zbyt niebezpieczne. Dla większej pewności dodatkowo zamontowałem na czekanie licznik scyntylicyjny. Łatwiej mi było

teraz zlokalizować strefy cechujące się szczególnie wysoką promieniotwórczością.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy wreszcie przeszedłem przez pas czerwonych plam. Zdjąłem maskę z pochłaniaczem i przez kilka minut oddychałem ciężko. Znalazłem się teraz wśród ruin, połamanych kolumn i rzeźb. Destrukcja była celowa i systematyczna. Komuś chyba zależało na tym, żeby ruiny były niewidoczne z lotu ptaka. Cel swój osiągnął: nawet przez lornetkę nie mogłem odróżnić ruin od zwyczajnego rumowiska skalnego. Prawdopodobnie była to nekropola i ośrodek kultu któregoś z egipskich bóstw. Rozpoznałem kilka budowli. Były to grobowce w formie piramid schodkowych i jeszcze starszych mastabowych. Mogłem to stwierdzić na podstawie ułożenia kamieni, z których były zbudowane, i wyglądu niektórych elementów nośnych. Rząd powalonych kolumn musiał dawno temu podpierać sklepienie świątyni. W kilku miejscach zauważyłem ślady użycia materiałów wybuchowych, wskazywał na to znów układ kamieni, a także ciemne, jakby osmalone centra wybuchu. Co za barbarzyństwo! Choć i tak dla archeologów był to prawdziwy raj. W naszych czasach odkrycie nekropoli to rewelacja, która zdaniem większości egiptologów nie może się już zdarzyć. A jednak!!! Tu mimo zniszczeń wszystko da się jeszcze odtworzyć. Całe rzesze archeologów będą w przyszłości ciągnąć na płaskowyż jak do Mekki. Wiele czasu upłynie, zanim całość zostanie zrekonstruowana i oddana do użytku turystycznego.

Nareszcie mogłem odpocząć. Teren nekropoli był wolny od promieniowania — licznik GM milczał jak grób, a lampka scyntylatora nie rozbłysła ani razu. Usiadłem w cieniu zwalonej kolumny, wspartej na tak solidnym bloku fundamentowym, że rzucał wystarczająco dużo cienia. Było to też odpowiednie miejsce na nocleg... Wszystko bowiem wskazywało na to, że noc spędzę w tej diabelskiej dolinie. Nie chciałem drugi raz w ciągu jednego dnia lawirować pośród czerwonych plam — lepiej gniewu faraonów nie kusić, skoro dotąd byli łaskawi. Nekropola leżała w strefie, którą mógłbym nazwać neutralna — między czerwonymi, radioaktywnymi plamami a słupami falującego powietrza, którego temperatura musiała być znaczna, gdyż każdy podmuch z tego kierunku przynosił fale obezwładniającego gorąca.

Mimo tylu wrażeń i niespodzianek apetyt mi dopisywał, jadłem więcej niż w czasie zwykłych wędrówek po górach. Uznałem, że to reakcja organizmu na stres, ale to dobrze, bo oznacza jednocześnie, że pod względem psychicznym i fizycznym jestem przygotowany do maksymalnego wysiłku. W cieniu zwalonej kolumny było tak przyjemnie, że sam nie wiem, kiedy zasnąłem. Spałem nie dłużej niż pół godziny, ale to w zupełności wystarczyło, bym zregenerował siły. Mógłbym już iść dalej, gdyby nie ten upał nie do zniesienia. W mojej chłodnej kryjówce postanowiłem przeczekać najgorętsze godziny. Mogłem spać, ale ciekawość wzięła górę nad innymi pragnieniami.

Przyciskałem lornetkę do oczu tak silnie, że aż czułem ból. Nic nowego jednak nie zauważyłem, sprecyzowałem tylko swoje pierwsze spostrzeżenia. Z oczywistych względów najbardziej



interesowała mnie centralna część doliny z tajemniczym skupiskiem skał pośrodku. Okazało się, że jest to raczej kamieniołom — z tego miejsca starożytni budowniczo wie czerpali czerwony piasek do budowy nekropoli. Dwukrotnie w czasie tych obserwacji dało znać o sobie małe trzęsienie ziemi. Zaraz po nim rozległo się wycie i syczenie jakby z wnętrza ziemi, a potem w powietrze wzbil się tuman piasku i pyłu. Widziałem to już kilka razy. Starłem się nawet uchwycić, ile czasu upłynęło między poszczególnymi „wyziewami”, żadnej jednak prawidłowości nie odkryłem. Powtarzała się tylko w każdym przypadku kolejność poszczególnych faz — trzęsienie ziemi, wycie, kłęby pyłu i piasku.

Rozpocząłem zwiedzanie ruin. Poza kamiennymi bryłami, z których zbudowana była nekropolia, nie znalazłem tutaj nic szczególnie interesującego. Oczywiście był to punkt widzenia laika pośrednio zainteresowanego archeologii z racji swojej specjalności zawodowej. Całość wydała mi się dziwnie martwa. Wszystkie ruiny są martwe, ale nabierają życia i szczególnego kii matu, gdy nagle spod bryły kamienia wyłoni się dobrze zachowany fragment fresku czy choćby pospolity przedmiot codziennego użytku — taki grzebień z kości na przykład... Jeśli założyć, że obiekt wraz z całym wyposażeniem do momentu celowego zniszczenia znajdował się w dobrym stanie, to wiele z tych rzeczy powinno leżeć w zasięgu ręki i oka. Ten, kto zniszczył mury, mógł, rzecz prosta, wcześniej wywieźć i zabezpieczyć co cenniejsze zabytki sztuki, ale czegoś takiego można

by się spodziewać po ludziach na pewnym poziomie kultury i wykształcenia. Ktoś taki nie użyłby rzeźb i fragmentów kolumn jako zwykłych pali w ogrodzeniu. Kto dokonał zniszczenia nekropoli przy użyciu materiałów wybuchowych i w jakim celu? Nie mogłem sobie wyobrazić, że zrobił to współczesny, cywilizowany człowiek, raczej skłonny byłem przypuszczać, że kryje się za tym grupa fanatycznych i przesadnych Arabów, którzy postanowili zniszczyć to przekłete miejsce, jakim musiał im się wydawać masyw górski z jego zagadkowymi zjawiskami. W takim razie szkielet, który znalazłem, mógł należeć do jakiegoś zapalczego Araba... A ci inni? W jaki sposób udało im się dostać na teren nekropoli bez przyrządów wykrywających promieniowanie? Więcej zwłok przecież nie znalazłem. To był właśnie słaby punkt rozumowania zakładającego działanie zabobonnych Arabów. Bo reszta tajemnic wydawała się możliwa do wytłumaczenia przy odrobinie znajomości fizyki nuklearnej i geologii.

Sztuka starożytnego Egiptu zawsze wywierała na mnie ogromne wrażenie przez swoją monumentalność, która nakazuje patrzącemu dostrzec własną znikomość wobec świata, przez prawdziwy artyzm wykonania. Jest to szczególnie widoczne w sztuce sakralnej i pogrzebowej. Zacząłem dokładnie oglądać wszystkie ocalałe fragmenty rzeźb i ze zdziwieniem stwierdziłem, że to bardzo kiepska robota — wykonywana w pośpiechu albo przez pozbawionego talentu rzeźbiarza. Było to bardzo nieudolne naśladownictwo oryginalnych wzorów. Jeśli nawet do robót zaangażowano samych nieudaczników, to dla-czego potem te niewydarzone dzieła ich rak znalazły się w

nekropolii? Czy zleceniodawca był również zupełnie pozbawiony smaku?

Tak więc moja wstępna ocena ruin nie okazała się trafna, nic jednak nie tracąc na sensacyjności. Chyba że budowę rozpoczęto nie w czasach faraonów, ale dużo, dużo później — powiedzmy, współcześnie. Od ciągłego zadawania pytań: kto i po co? rozboleła mnie głowa, zresztą od nadmiaru wrażeń już dawno powinna była mnie rozboleć. Nadal biłem się z myślami, bo przecież charakterystyczne cechy poszczególnych budowli — możliwe do zarejestrowania mimo zniszczeń — sugerowały, że nekropola jest bardzo stara; grobowce mogły pochodzić z różnych okresów istnienia państwa egipskiego. Jeśli tak, upadała zarówno koncepcja pośpiechu, jak i rzeźbiarskich partaczy, choć narzucała mi się nieodparcie, gdy oglądałem fragmenty ruin. Pamiętam przecież doskonale dzieła z Doliny Królów. Trudno nawet o porównanie. Ale znów samo usytuowanie nekropolii w miejscu tak odludnym i niedostępnym było typowe dla starożytnych egipskich władców: już wtedy przecież okradanie grobowców i bezczeszczenie mumii spędzało sen z oczu przyszłych zmarłych. Zabezpieczano się więc przed tą plagą w rozmaity sposób — byle tylko przechytryć przeciwnika...

Atrapa! Ależ tak! Sam nie wiem, dlaczego od razu na to nie wpadłem? Przecież to tak oczywiste. Te gruzy nie pochodzą z prawdziwej nekropolii, to tylko tania, choć solidnie zbudowana atrapa. Zmumifikowane szczątki szacownych zmarłych — wśród których mógł się znajdować nawet jakiś faraon — leżą

pewnie gdzie indziej — w miejscu dyskretnym, nie rzucającym się w oczy. Może nawet w tej dolinie. Rabusie docierali tu z wielkim wysiłkiem tylko po to, by ku ogromnemu rozczarowaniu stwierdzić, że ktoś ich uprzedził. Bo nekropolia zionęła pustką, jakby rzeczywiście została okradziona. Jeśli i w tamtych czasach występowała tu promieniotwórczość, to mało kto wracał żywy. Klątwa faraonów nabierała realnego znaczenia. Ze wszystkich koncepcji, które wysnułem penetrując ruiny, ta ostatnia — atrapy i pułapki jednocześnie — wydała mi się najbardziej sensowna i pozbawiona słabych stron wcześniejszych rozważań.

Słońce swoim obwodem zaczynało już z wolna dotykać linii horyzontu. Zbyt wiele czasu straciłem przeszukując nekropole. Czuję się teraz zmęczony, nie miałem ochoty na dalszy marsz ku środkowi doliny, na powrót też już było za późno. Rysowała się więc nieprzyjemna perspektywa spędzenia nocy wśród ruin. Było tu wprawdzie bezpiecznie, ale może gdzie indziej czułbym się mniej osamotniony, łatwiej byłoby zasnąć. To był naprawdę najbardziej niesamowity dzień w moim życiu. Był? Trwa nadal i może przynieść dalsze niespodzianki.

Wróciłem do miejsca, gdzie zostawiłem plecak, i zabrałem się do rozbijania prowizorycznego obozowiska. Początkowo chciałem nawet postawić namiot, niepodobieństwem było jednak wbicie raków w twardy piaskowiec, z które go zrobione były elementy budowli. Miękkie go gruntu nigdzie jak dotąd nie znalazłem. Zjadłem szybko kolację i wsunąłem się do śpiwora, przykrywając się dodatkowo namiotem. Noc na pewno przyniesie ze sobą dotkliwy chłód. Zmrok zapadał szybko; leżąc

z głową zwróconą w kierunku nieba, wypatrywałem pierwszych gwiazd. Na moment zapomniałem, gdzie jestem i co się wokół mnie dzieje. Patrzenie na gwiazdy ma w sobie magiczną moc — trudno wzrok oderwać od ich migotliwego, tajemniczego światła. Trudno też wyzbyć się wrażenia, że jest się obserwowanym, że czyjeś oczy penetrują Wszech świat i być może właśnie w tej chwili „zakotwiczyły” w okolicy Słońca.

Myślałem, że szybko zasnę i w ten sposób po zostawię poza świadomością wszystko, co może się zdarzyć w nocy. Chciałem spać, należał mi się przecież solidny wypoczynek po całym dniu ogromnego wysiłku. Niestety. Kiedy tylko zmrok zapadł na dobre, dolinę wypełniło przenikliwe buczenie o niskiej częstotliwości. Nie byłem w stanie określić, skąd pochodzi ten dźwięk, Był uciążliwy, czułem się tak, jak gdyby tuż nad moją głową pracował generator wielkiej mocy. Miałem irracjonalną ochotę opętać się przed nim jak przed rojem zjadliwych komarów. Narastał ból w skroniach i rozdrażnienie — typowa reakcja na fale dźwiękowe o niskiej częstotliwości. Nowy „diabeł” i chyba nie ostatni.

Już od jakiegoś czasu dojrzewała we mnie myśl, która mogła wyjaśnić przyczynę tych wszystkich zjawisk. Może pod warstwą skał znajdują się złoża rudy uranowej albo innego pierwiastka promieniotwórczego? Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego — w wielu miejscach na Ziemi wydobywa się surowce rozszczepialne; wiele jest jeszcze takich złóż nie rozpoznanych przez geologów. Tutaj mogło dojść do takiego uwarstwienia złoża i wymieszania z innymi minerałami że góra w

sposób naturalny zaczęła pracować jak najprawdziwszy reaktor jądrowy! Przypadek? Tak, tyle że o niskim współczynniku prawdopodobieństwa. Jeśli jednak ten współczynnik nie równa się zeru — zjawisko ma prawo zaistnieć. Jest to fakt nieemożliwy do obalenia z matematycznego punktu widzenia. Całe szczęście, że w środku góry nie uformowało się coś na kształt bomby atomowej. A może teraz właśnie się formuje? I niebawem nastąpi potężna eksplozja, która spowoduje ogólnoswiatowy kataklizm. Kto wie, jak wielka ilość materiału rozszczepialnego jest zaangażowana w ten propos? Było to myślenie dość absurdałne, jakbym o technice jądrowej nie miał najmniejszego pojęcia, jakbym nagle pozbył się wiedzy zdobytej w czasie studiów i późniejszej praktyki zawodowej. Roześmiałem się głośno i rzuciłem kamieniem — dla uspokojenia siebie i całej śpiącej teraz spokojnie ludzkości. Reakcji lawinowej nie spowodowałem. Zajęty myślami, przestałem zwracać uwagę na dokuczliwe buczenie, które stało się mniej intensywne.

Żarty żartami, a hipoteza naturalnego reaktora jądrowego najlepiej wyjaśniała wszystkie te zjawiska, które jeszcze niedawno traktowałem autonomicznie — jako niezależne od siebie. Działanie reaktora byłoby przyczyną, natomiast jonizacja powietrza, promieniotwórczość i ogrzanie wnętrza góry, co przejawia się z kolei ogrzaniem warstw powietrza, jedynie skutkami ubocznymi. Nagromadzone ciepło wypromieniowywane jest na zewnątrz; odbywa się to prawdopodobnie w miejscach, w których zaobserwowałem wznoszenie się powietrza w

postaci charakterystycznych słupów. Wszystkie te elementy pasowały wręcz znakomicie do przyjętego założenia. A jaka jest przyczyna wycia, które wydaje góra od czasu do czasu, albo tego generatorowego buczenia? To też może być skutek modyfikowanego rozpadu jąder atomowych ciężkich pierwiastków. To nic, że takie efekty nie występują w sztucznych reaktorach... Są to rzeczy nieporównywalne. Nie mam do tej pory ani jednego bezpośredniego dowodu na poparcie mojej hipotezy, dlatego wszelkie porównania rzeczy realnie istniejących z hipotetycznymi są niebezpieczne — mogą prowadzić do absurdalnych wniosków.

W monotonne buczenie wdarł się nowy dźwięk — krótki, podobny do tego, jaki wydaje gaszona świeca: pach. Tym razem nie miałem kłopotów z ustaleniem źródła dźwięku — działo się to w samym centrum doliny przy kamieniołomie. Z tego też miejsca wytrysnął nagle w powietrze seledynowy, zygzakowaty strumień światła i zafalował jakieś pięćdziesiąt metrów nad powierzchnią, tworząc fantastyczne wzory. Zaraz potem do góry wzniosła się druga porcja falującego światła, tym razem purpurowego. A więc „niespodzianek ciąg dalszy.

Pierwszy raz w życiu widziałem coś równie pięknego. Z zapartym tchem obserwowałem szaleńczy taniec wzajemnie się przenikającego seledynowego i purpurowego światła. Ale ten układ linii wznoszących się i opadających, poświata, kolory... Na pewno już to gdzieś widziałem.. Ależ tak, na filmie w czasie studiów, na zajęciach na temat magnetosfery ziemskiej. Pokazano nam wtedy piękny film z zarejestrowaną zorzę polarną.

To, co teraz oglądałem w naturze było miniatura takiej właśnie zorzy. Przy odrobinie wyobraźni można to było przewidzieć. Wszak zorza polarna, poświata, świecenie chmur pojawia się wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia ze zjonizowanymi cząsteczkami powietrza. Zorze polarne występują w okresie wzmożonej aktywności Słońca. Wiatr słoneczny jonizuje zewnętrzne warstwy atmosfery Ziemi, czego wyrazem może być to wspaniałe zjawisko. Tutaj natomiast czynnikiem sprawczym jest promieniowanie emanujące ze środka góry. Ciekawe, czy świecenie zjonizowanego gazu występuje regularnie? Ostatniej nocy nic takiego nie zauważyłem. Nie może to być zjawisko częste, inaczej już dawno tajemniczy masyw zostałby odkryty. Takie świecenie musi być widoczne w promieniu wielu kilometrów.

Znów usłyszałem dźwięk przypominający zdmuchnięcie świecy — pach — i pustynna zorza zaczęła przygasać. Odbyło się to bardzo szybko. Po kilkunastu sekundach na niebie pozostała tylko niewyraźna poświata, przez którą z łatwością przebijało się światło gwiazd. Umilkło też przykre buczenie. Zapanowała cisza prawie że absolutna. Od czasu do czasu tylko przerywana graniem cykad, które wśród ruin miały widać swoje kryjówki. Najwyższa pora, by wreszcie zasnąć. Przyłgnałem policzkiem do szorstkiej materii namiotu. Ogarnęło mnie zniewalające uczucie błogości — jak zawsze tuż przed zaśnięciem. Jeszcze tylko resztki myśli podtrzymywały świadomość. Byłem już prawie pewien, że mam do czynienia z działaniem reaktora jądrowego, ukształtowanego w sposób naturalny. Musi pracować od bardzo dawna — od setek tysięcy lub nawet



setek milionów lat. Kapłani egipscy wiedzieli o jego istnieniu, dlatego właśnie tutaj wybudowali nekropole — pułapkę dla złodziei grobowców. Tylko w jaki sposób budowniczym udało się uniknąć szkodliwych skutków promieniowania? W tamtych czasach ludzie nie dysponowali przecież indykatorami wykrywającymi promieniowanie. Ta ostatnia wątpliwość zapadła we mnie jak kamień w studnie, nie zdążyłem się jednak zdziwić, zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, było już widno i dość ciepło. Przespałem więc nieprzyjemny okres nocnego chłodu. Trochę bolały mnie kości i mięśnie, poza tym czułem się wypoczęty. Zamknąłem oczy, żeby odwlec moment wstawania. Sam nie wiem, kiedy odniosłem wrażenie, że nie jestem sam w tych ruinach, że ktoś mnie obserwuje... Ostrożnie otworzyłem jedno oko. Źrenica nie od razu przystosowała się do zwiększonej dawki światła, dlatego widziałem jak przez mgłę. Mimo to zobaczyłem, że po fragmencie muru od strony kamieniołomu toczy się beżowa kula pokryta pianą albo śluzem — wyraźnie zmierzała w moim kierunku. Zerwałem się gwałtownie, tym razem źrenice miałem szeroko otwarte ze zdumienia. Tam gdzie przed chwilą widziałem toczącą się kulę, był tylko mur, nic poza tym. Pognąłem tam, wspiąłem się na mur i zacząłem szukać śladów wydzielin, która pokrywała kulę — bezskutecznie. Po drugiej stronie muru też nie działo się nic niezwykłego. Nie pozostało mi nic innego, jak uznać, że domniemana kula była tylko złudzeniem optycznym. Uspokoilo mnie to, wróciłem do legowiska. Dzień rozpoczął się od emocji, to niezły sposób na rozbudzenie się i nabranie werwy. W błyskawicznym tempie

pozbierałem i spakowałem rzeczy, zjadłem śniadanie i sprawdziłem działanie liczników promieniowania. Byłem gotowy do dalszej drogi. Gdy tylko wystawiłem nogę poza obręb nekropoli, w okolicy kamieniołomu rozległo się wycie i w powietrze wzbił się kłęb pyłu. Szedłem szybko, dokładnie sprawdzając przed sobą drogę licznikami przytwierdzonymi do czekana. Teren nie był skażony, a droga dość łatwa — glina wymieszana z drobnymi kamieniami i piaskiem, gdzieniegdzie porośnięta niewysoką trawą. Zmierzałem wprost ku unoszącym się słupom rozgrzanego powietrza. Moim celem był kamieniołom. Robiło się coraz goręcej, temperatura sięgała już chyba 50 stopni. Trudno było oddychać, ale zwolnienie tempa marszu tylko pogorszyłoby sytuację. Musiałem koniecznie jak najszybciej przebyć ten odcinek. Każdy krok wywoływał kłujący ból w klatce piersiowej, chwilami myślałem, że pękną mi płuca. Podobny ból odczuwa się w czasie wspinaczki na dużych wysokościach, gdy zaczyna brakować tlenu, ale wtedy można skorzystać z maski tlenowej. Przystanąłem. Piekły mnie oczy, skórę miałem zaczerwienioną, już prawie zrezygnowałem z dalszej wędrówki, gdy raptownie powiał silny boczny wiatr i temperatura powietrza spadła. Nie mogłem zmarnować tak znakomitej okazji, zacząłem biec, najszybciej jak tylko potrafiłem, byle zdążyć, zanim znów zmieni się wiatr. Musiałem jednocześnie cały czas śledzić wskazania liczników, promieniowanie termiczne nie jest tak groźne jak jądrowe... Mimo korzystnego kierunku wiatru odczuwałem coraz większe gorąco.

Znów pomyślałem, że chyba nie wytrzymam. Wybrałem najkrótszą drogę między dwoma słupami rozgrzanego powietrza, żeby znaleźć się poza strefą ich najbardziej intensywnego oddziaływania, trzeba było przebiec jeszcze jakieś dwadzieścia pięć metrów. Potem też nie powinienem zwalniać, żeby już znaleźć się po drugiej stronie... Jeszcze dwadzieścia metrów... Teraz pełny gaz — ile sił w nogach! Zamknąłem oczy i tak przebyłem ten najbardziej niebezpieczny odcinek. Twarz i wszystkie nie osłonięte części ciała owiał mi żar jakby rozgrzanej blachy. Otworzyłem oczy dopiero wtedy, gdy wyraźnie wy czułem obniżenie się temperatury. W tym momencie potknąłem się o wystający z ziemi kamień, poleciałem z impetem do przodu prosto na nos, w ostatniej chwili odrzuciłem w bok czekan, a wysoki, kominowy plecak przeleciał mi przez głowę. W ustach i w oczach miałem pełno piasku, bolało mnie lewe kolano i prawy łokieć. Z najwyższym trudem pozbierałem się jakoś i kulejąc pomaszero wałem dalej. Mimo upadku byłem bardzo zadowolony, że tak sprawnie udało mi się sforsować przeszkodę.

Powietrze stawało się coraz chłodniejsze — łatwiej było od dychać, pomału dochodziłem do siebie. Jednak mnie przypie kło — w okolicy lewego boku widniała bolesna, czerwona plama — oparzenie, na szczęście niegroźne. Podeszwy butów wydzielały nieprzyjemną woń przypalanej gumy. Potłuczenia da dzą o sobie znać potężnymi siniakami. Dobrze, że na tym ko niec. Złamanie albo zwichnięcie którejś z kończyn mogłoby się skończyć tragicznie — zostałbym tutaj na zawsze... Po krótkim

odpoczynku w chłodnym miejscu i uzupełnieniu zapasu wody w organizmie ruszyłem dalej. Teraz już niewielka odległość dzieliła mnie od kamieniołomu.

Kamieniołom nie był duży — kilka ściśle przy legających do siebie brył piaskowca. To z niego w przeważającej większości zbudowana była nekropola. U podnóża leżało mnóstwo nie obrobionego jeszcze kamienia. W dwóch miejscach znajdowały się szerokie pęknięcia i rozpadliny — mogły to być wejścia do podziemnych grot. Starłem się zapamiętać jak najwięcej szczegółów i jednocześnie utrwalić ogólne wrażenie z perspektywy tych kilkudziesięciu metrów. Wokół kamieniołomu panował dziwny spokój — prawdziwa oaza ciszy; trudno było uwierzyć, że tu właśnie leży centrum wszystkich tych tajemniczych, bardzo hałaśliwych zjawisk.

Szedłem powoli. Tam gdzie zawodziły nieuzbrojone oczy, pomagałem sobie lornetką i nagle odkryłem coś, co wprowadziło mnie w rozterkę. Tuż koło jednej z pionowych rozpadlin błyszcząca w słońcu tuleja przypominająca organową puszczalkę. Jakieś dwadzieścia metrów dalej stało kilka plastikowych beczek. Słowo daję, robiło to wrażenie zaplecza zaniedbanej stacji benzynowej z ubiegłego wieku. Brakowało tylko ubranego w niebieski kombinezon brodatego faceta...

Rzuciło mną potężnie o ziemię — już drugi raz w dniu dzisiejszym. Uderzenie było zupełnie niespodziewane, grunt zakołysał się jak lekki most wiszący w czasie wichury, w ułamku sekundy zawisłem w powietrzu, a potem zgodnie z prawem ciężenia dynamicznie zetknąłem się z podłożem. Po pierwszym

bardzo silnym wstrząsie nastąpiła cała seria słabszych, a potem jeszcze dwa o średniej mocy. Leżałem tam, gdzie powalił mnie pierwszy wstrząs. Ze szczytu kamieniołomu oderwało się z hukiem kilka sporych kamieni i potoczyło w moim kierunku. Nawet gdyby miały większą energię, zdążyłbym uskoczyć, zatrzymały się jednak na nierównościach terenu. Wiedziałem już, co nastąpi za chwile. Zaczęło się od chrapliwego bulgotania na znacznej głębokości, które zmieniło się w przeciągłe, narastające syczenie. Wzbierająca we wnętrzu ziemi fala powietrza natrafiła wreszcie na ową przeszkodę przypominającą usznik pieszczalki, bo rozległo się znane mi już dobrze wycie. Teraz z bliska dźwięk ten nie wydawał mi się tak przejmujący. Pył wystrzelił w górę jak szampan z butelki. I to był ostatni akt widowiska — wycie ustało, ziemia wróciła do równo wagi.

Swoją drogą nie przypuszczałem, że w pobliżu epicentrum wstrząs może osiągnąć aż taką siłę. Skutkiem tego doświadczenia było kilka kolejnych siniaków na kolanach i goleniach. Wylot tej dmuchawy znajdował się z drugiej strony kamieniołomu — właśnie stamtąd wystrzelił w powietrze obłok pyłu. Moją uwagę przykuła nagle lampka licznika scyntylicyjnego — aparat pracował! Teren wokół mnie jest skażony! Powinienem jak najszybciej opuścić to miejsce! Tylko gdzie, gdzie uciekać? Na chwilę ogarnęła mnie panika. Nerwowym ruchem wyciągnąłem z futerału indywidualny dawkomierz, który jak dotychczas nie sygnalizował skażenia zagrażającego życiu lub zdrowiu... Co za ulga! Owszem, poziom promieniowania podniósł się na tyle, żeby wywołać reakcję licznika scyntylicyjnego,

ale dawka nie przekraczała górnej granicy dopuszczalnej normy! Przy okazji odkryłem sprawcę podwyższonego promieniowania — pył, ten pył, który przed chwilą uniósł się wysoko w górę, teraz opadł na powierzchnię i uruchomił czujniki scyntylatora. No, ale takie natężenie nie może mi zaszkodzić, naprawdę groźne promieniowanie występuje tylko w strefie czerwonych plam — tam trzeba się mieć na baczności. Tutaj wystarczy obwiązanie ust i nosa chusteczki zmoczona w wodzie. Tak też zrobiłem.

Plastikowe beczki obejrzałem pobieżnie. Faktycznie musiało znajdować się w nich paliwo; 200 litrów — taka miara była wytłoczona na ich bocznej powierzchni. Były puste i pozbawione zakrętek, które leżały obok w piasku. Chyba tylko przy pomocy śmigłowca można je było tutaj przetransportować, no i na pewno nie zrobili tego starożytni Egipcjanie. Dokładniej zająłem się metalową tuleją. Wykonana była ze znakomitego materiału, na jej gładkiej powierzchni nie odkryłem ani jednego ogniska korozji. Z jednej strony była nie zaślepiona i tak jak beczki pusta w środku, z tej samej strony znajdował się nacięty na zewnątrz gwint. Zmierzyłem długość tulei, obwód i średnicę: 30, 50 i 300 cm. Te wymiary przypomniały mi pytanie egzaminacyjne:

— Proszę podać znormalizowane wymiary pojemnika na stałe odpady promieniotwórcze.

— 30, 50 i 300 cm, panie profesorze...

Nie przypuszczałem, że po tylu latach ta informacja odda mi tak nieocenioną usługę. Miałem przed sobą pojemnik na

zestalone odpady radioaktywne — pusty i mogłem sadzić, że nigdy dotąd nie wypełniany groźna substancją. Uderzyłem w niego czekaniem — wydał ładny, metaliczny dźwięk, który długo wibrował w powietrzu. Coś zaczynało mi świtać, ale na razie wolałem nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

Przedemną majączyło mroczne wejście do pionowej skalnej rozpadliny. Zapaliłem latarkę i bez entuzjazmu wszedłem do środka. Przywitał mnie miły chłód. Wewnątrz groty, a ściślej, niszy skalnej, nie było nic zasługującego na uwagę. Wprawdzie w rogu po prawej stronie leżał stos kamieni, co mogło sugerować, że pod nimi znajduje się zejście na niższy poziom, ale nie byłbym w stanie ich odwalić. Postąłem chwilę delektując się chłodem, aż poczułem zimno — dopiero wtedy wyszedłem na zewnątrz. Ogarnęło mnie rozdrażnienie: szukam nie wiadomo czego, narażam się na niebezpieczeństwo, klecę coraz fantastyczniejsze hipotezy, a tajemnica tego masywu ciągle mi umyka. Już kilka razy wydawało mi się, że kolejny dowód potwierdzi logikę mego rozumowania, tymczasem ten kolejny dowód najpierw wprawiał mnie w osłupienie, a potem prowadził na manowce. Jak długo jeszcze?

Po wyjściu z groty skręciłem w lewo. Postanowiłem obejść cały kamieniołom i przy okazji spenetrować drugą rozpadlinę, choć nie spodziewałem się tam rewelacji. Druga grota była ludzko podobna do pierwszej z tą różnicą, że w centralnej części znajdowało się znacznie mniej kamieni. Pochyliłem się i bez większego entuzjazmu odrzuciłem kilka na bok. Coś zaczęło

się pod spodem: metal! Błyszczał w świetle latarki jak diament! Sam nie wiem, kiedy odrzuciłem resztę kamieni.

Miałem przed sobą okrągłe, metalowe drzwi, błyszczące, nie skorodowane, zaopatrzone w dwa przyciski. Były to nie tyle drzwi, co właz usytuowany dość nisko nad ziemią. Jeśli uda się go sforsować — będę musiał poruszać się na czworakach. Siadłem i przez chwilę rozkoszowałem się myślą, że nareszcie mam przed sobą rzecz konkretną, zaprojektowana i wykonana przez umysł podobny do mojego.

Metalowa pokrywa osadzona była również w metalowej obręczy, a ta z kolei obudowana murem z czarnej, w jakiś szczególny sposób wypalanej cegły. Pierwotnie więc otwór był nieco większy, ale go zmniejszono, żeby dopasować obręcz do pokrywy. Nie zdziwiłem się, kiedy na ceglanej obudowie odkryłem znak ostrzegawczy — trójskrzydłowy wiatraczek wymalowany czerwoni farbą, choć i bez niego mogłem się spodziewać, co znajduje się po drugiej stronie.

Chciałem się już zabrać do otwierania włazu, kiedy odkryłem jeszcze jeden znak, tym razem wryty w nagiej skale. Skarabeusz, święty żuk Egipcjan, znak faraonów. Czyżby te drzwi łączyły tajemnicę naszych i zamierzchłych czasów? Wcisnąłem pierwszy z brzegu przycisk: natychmiast zapłonął czerwonym światłem. Właz nie drgnął ani na milimetr, choć po drugiej stronie zaczęła się jakaś mechaniczna aktywność — przez dotknięcie wyczułem wibrację.

Włączyłem drugi przycisk — zapaliło się zielone światło, zgasł natomiast przycisk czerwony i w tym momencie pokrywa zaczęła się uchylać.



Zatrzymała się dokładnie pośrodku obudowy Wnętrze tunelu oświetlone było światłem elektrycznym, na razie jednak nie mogłem dojrzeć. Po prostu trzeba tam wejść. Sprawdziłem poziom promieniowania: w normie. Wpełzłem do środka jak wąż, ciągnąc za sobą plecak, który dwukrotnie klinował się w wąskim przejściu. Wyczułem pod nogami twarde oparcie — dość szerokie. Stałem pewnie i kiedy wciągałem już plecak, mój wzrok padł na otwór wejściowy do grotu. Tym razem nie był to omam. W wejściu kręciła się wokół własnej osi popielata kula o średnicy zbliżonej do opony samochodu małodlitrażowego. Kula wydzielala gęsta pianę, która momentalnie parowała. Chciałem rzucić w nią kamieniem, wyciągnąłem rękę po pierwszy z brzegu. Zareagowała. Zaczęła syczeć, uniosła się kilka centymetrów do góry, przestała wirować. Schwyciłem kamień, ale nie miałem już w co rzucić — znikła. Nie, wcale nie jak kamfora, po prostu przez ułamek sekundy mój wzrok prze- niósł się na kamień — to wystarczyło Co to było? Urządzenie czy żywy organizm? Nie ma przecież takich zwierząt na Ziemi. Nie ma takich zwierząt na Ziemi...

Opanowała mnie rozterka: pogonić za tajemniczym o b i e k t e m czy też przeciągnąć plecak na drugą stronę okrągłego korytarza i spokojnie kontynuować to, co rozpocząłem? Ostatecznie uporałem się z plecakiem i znalazłem się w jasno oświetlonym szeregiem żarówek korytarzu.

Już pierwsze wrażenie było szokujące, ściany korytarza pokryte były przepięknymi staroegipskimi malowidłami. Przedstawiły sceny z życia codziennego, fragmenty uroczystości

religijnych, bóstwa dawnego Egiptu. W wielu miejscach znajdowały się napisy hieroglificzne. Sufit korytarza wzmocniony był metalowa kratownicą, ze zwyczajną siatką ogrodzeniową rozpięta między prętami, zaś ściany, te na których znajdowały się freski, w regularnych odstępach podparte były stalowymi słupami – na nich to umocowano żarówki. I jeszcze coś – podłoga wyłożona była po bokach grubą warstwą tłumiącą drgania materii przypominającej gąbkę, ale znacznie bardziej sprężystej, na środku natomiast znajdowała się metalowa szyna przykręcona śrubami do podłoża.

Po trzydziestu metrach korytarz skręcał w prawo, więc dalsza jego część była niewidoczna. Należało iść dalej. Za zakrętem korytarz zaczął lekko opadać. Biegł teraz prosto jakieś 200, 300 metrów, z tej odległości nie mogłem tego dokładnie ocenić.

W dalszym ciągu podziwiałem freski, którymi pokryte były ściany. Z każdym krokiem schodziłem coraz niżej w głąb góry. Nasuwał się jeden tylko wniosek – znalazłem się w prawdziwym grobowcu, sądząc po rozmachu, w miejscu spoczynku faraonów lub arcykapłanów. To właśnie tu składano w największej tajemnicy sarkofagi ze zmumifikowanymi zwłokami dostojników państwowych. Atrapa nekropoli znajdująca się na powierzchni miała za zadanie zmylić rabusiów i wciągnąć ich w pułapkę bez wyjścia. Coś jednak niewątpliwie zawiodło, bo przecież zjawił się ktoś, kto nie dał się zwieść atrapie i odnalazł prawdziwą nekropole, a potem w sobie tylko wiadomym celu

zmodernizował wnętrze grobowca. Wiedziałem, że tym korytarzem dojdę do miejsca, w którym dowiem się, kto i w jakim celu tego dokonał. Czuję przemożną chęć po dzielenia się dokonanym odkryciem z kimkolwiek; było tego za wiele na rozum przeciętnego człowieka. Dla dodania sobie animuszu zacząłem mówić do siebie, a nawet gwizdać. Po przejściu około 150 metrów na szynie biegnącej środkiem korytarza znalazłem elektromagnetyczny wózek transportowy z wyprofilowaną platformą, przystosowaną do załadunku przedmiotów długich i wąskich. Akurat jak ten pojemnik, który leży przed wejściem do pierwszej groty. Włączyłem starter — wózek był sprawny, natychmiast podniósł się kilka centymetrów nad szynę. Wrzuciłem plecak na platformę, sam usadowiłem się w części osobowej i przesunąłem dźwignię sprzęgła. Wózek płynnie ruszył do przodu. Zachowywał stałą prędkość, na tyle bezpieczną, że w razie potrzeby będę mógł wyskoczyć w biegu. Sprawdziłem hamulce — działały bez zarzutu.

W czasie jazdy nastąpiło trzęsienie ziemi, które tutaj, w korytarzu należycie wzmocnionym stalowymi konstrukcjami, odbierałem jako nieznaczne drżenie. Wózek zatrzymał się samoczynnie — najprawdopodobniej tak był zaprogramowany — po ustaniu wstrząsów również samoczynnie się wyłączył. Niestety, niedaleko już ujechałem, bo właśnie kończył się korytarz, a rozpoczynała się ogromna, okrągła hala, z której rozchodziły się promieniście wykute w skale tunele. Wózek zatrzymał się na środku hali, tuż obok obrotowej zwrotnicy. Wysiadłem.

Dotarłem więc do komory grobowej. Tutaj jeszcze niedawno musiały znajdować się sarkofagi. Teraz pozostały tylko puste podwyższenia z marmuru. Nie było też żadnych przedmiotów, w które Egipcjanie zazwyczaj wyposażali grobowce zmarłych. Wszystko zostało już dokładnie uprzątnięte, poza ogromnym freskiem naskalnym, przedstawiającym sąd Ozyrysa. Rozchodzące się promieniście tunele nie były częścią grobowca, wykuł je w skale ten ktoś, kto adaptował dla swoich potrzeb całe wnętrze góry. Sądząc po wyposażeniu technicznym, z którym dotąd się zetknąłem, stało się to w ostatnich kilkudziesięciu latach. Lecz nie to było najistotniejsze. Na ścianie przeciwległej do wylotu korytarza widniała tablica rozdzielcza ze schematem wszystkich korytarzy i komór. Wynikało z niego, że znajduję się dopiero w przedsionku całej budowli. To, co dotąd widziałem, stanowiło jedynie niewielki fragment całości. Boczne korytarze miały 500 metrów długości. Prowadziły do ogromnych hal, oznaczonych na tablicy numerami od jednego do sześciu. Wydawało się, że właśnie te pomieszczenia są najistotniejszą częścią budowli. Na tablicy figurował też specjalny kod liczbowy, którego nie potrafiłbym rozszyfrować. Ucieszyłem się i jednocześnie zmartwiłem, że cały ten system został stworzony przez ludzi. Nie ma w tym wcale sprzeczności. Kontakt z pozaziemską cywilizacją można pragnąć i zarazem po prostu bać się takiego spotkania. To ludzkie.

Tablica rozdzielcza wyposażona była w masę przycisków i lampek kontrolnych, niestety uszkodzonych. Mimo wszystko spróbowałem uruchomić kilka przycisków — bez żadnego rezultatu.

Obróciłem wózek transportowy w kierunku korytarza oznaczonego numerem 1 i włączyłem starter. Tym razem jechało mi się mniej przyjemnie — korytarz był wąski, tak że musiałem uważać, by nie wychylić się nadmiernie w bok i nie otrzeć łokci i kolan o chropowata powierzchnię ściany. Również i tutaj wiele ton stali w postaci kratownic posłużyło do wzmocnienia kruchej skały przed wstrząsami. Zastanawiała mnie anonimowość wszystkich konstrukcji i urządzeń technicznych. Żaden szczegół, żaden znak reklamowy nie wskazywał, kto — jakie państwo, firma czy instytut badawczy — wykonał to wszystko... Czyżby chodziło o to, żeby nikt nigdy nie był w stanie ustalić, kto dokonał przebudowy grobowca?

Wózek stanął. Znalazłem się przed masywnymi jak w bankowym sejfie stalowymi drzwiami, do których przymocowana była tabliczka z czerwonym wiatraczkiem. Sprawdziłem otoczenie przy pomocy liczników — nie wykazywały radioaktywności. Drzwi zabezpieczone były jedynie masywnie wyglądającą zasuwą. Ale gdy uchwyciłem ją silnie i pociągnąłem — ustąpiła. Same drzwi były cholernie ciężkie, uchylały się centymetr po centymetrze. W końcu powstała jednak szczelina na tyle szeroka, że mogłem swobodnie wejść do środka.

Wszedłem do hali tak ogromnej, że z powodzeniem mogła się w niej zmieścić średniej wielkości fabryka, analogia nieprzypadkowa, gdyż spostrzegłem system suwnic i dźwigów. Była jasno oświetlona. Oświetlenie musiało się włączyć automatycznie, kiedy otwierałem drzwi wejściowe. Jak okiem sięgnąć wszędzie stały kilkunastopoziomowe betonowe półki, na

których jak noworodki spoczywały znajome tuleje, tyle że zaślepione z obydwu stron. No tak, sprawa jest jasna. Urządzono tu gigantyczny śmietnik odpadów radioaktywnych! Zawsze stanowiły problem dla użytkowników energii jądrowej, do chwili obecnej nie rozwiązano tego w zadowalający sposób.

Przechowywanie śmiertelnych substancji w takich pojemnikach stanowiło właśnie jedno z rozwiązań. Ale samo złożenie pojemników w bezpiecznym miejscu nie likwidowało kłopotów. Mogilnik — bo tak zwykło się nazywać miejsce składowania radioaktywnych substancji — należało systematycznie kontrolować. W czasie połowicznego rozpadu radionuklidów wydziela się znaczna ilość ciepła; w zależności od rodzaju substancji może być mniejsza lub większa. Gdy mogilnik nie jest należycie chłodzony, pojemniki mogą się nawet stopić i jadowita substancja może się wylać na zewnątrz. Wiedziałem, jak powinien wyglądać taki system chłodzenia. Rozglądałem się uważnie, ale nigdzie nie dostrzegłem żadnych czujników termicznych, nawet najzwyczajniejszego termometru. Podszedłem do pierwszej z brzegu półki i dotknąłem najbliższej leżącego pojemnika — był chłodny. Hm, pewnie znajduje się w nim radionuklid, który większą część ciepła wypromieniował przed złożeniem go tutaj.

Czas uciekał, a do zbadania pozostały jeszcze inne komory.

Wróciłem do hali z nieczynną tablicą rozdzielczą i rozpocząłem kolejny etap zwiedzania groteskowego grobowca. Cóż,

grobowiec pozostał grobowcem, tylko obiekt pochówku się zmienił. Więc tak ma wyglądać jedność historycznego rozwoju i dorobku cywilizacji ludzkiej? Nie dość, że zdevastowany został wspaniały zabytek kultury, to jeszcze składowisko nuklearnego śmiecia pozostawiono samemu sobie bez względu na możliwe do przewidzenia skutki. Zupełnie jakby ktoś podrzucił jajo, z którego nie wiadomo co się wykluje. Jedyna pociecha, że po odpowiednio długim czasie radionuklidy z przyczyny naturalnego rozpadu przestaną być niebezpieczne. Miejsce wybrano starannie, jest odludne i niedostępne, więc stopień prawdopodobieństwa, że ktoś odkryje mogilnik, jest naprawdę niewielki. To, że mnie się udało, to czysty przypadek.

Powinienem się być uspokoić, ale nie. Rozumowanie znów miało luki. Ogromna ilość złożonych w grobowcu odpadów mogła sugerować, że nie pochodzą one z pojedynczego przedsięwzięcia, lecz że kryje się za tym organizacja państwowa! Tylko dlaczego? W ostatnich kilku dziesięciu latach na całym świecie rozpowszechniło się wykorzystywanie energii wiązań atomowych i to nawet w „domowym” zakresie: w postaci radionuklidów baterii elektrycznych i akumulatorów. Stad też magazynowanie odpadów promieniotwórczych stało się sprawą tak codzienną, jak przechowywanie żywności w wielkich chłodniach. Wiele jest takich miejsc we wszystkich krajach świata. Dlaczego więc właśnie tutaj starano się o zatarcie tożsamości właściciela? Najprawdopodobniej w grę wchodzi aspekt militarny. Nieznane państwo prowadzi w tajemnicy badania nad wojskowym wykorzystaniem energii nuklearnej

— wbrew międzynarodowym zakazom. W czasie doświadczeń powstało wiele ton radioaktywnych odpadów, których koniecznie należało się pozbyć, żeby nie wzbudzić niczych podejrzeń. Działo się to jakieś pięćdziesiąt lat temu, sadzać po zwłokach tego człowieka na górze. Przez ten czas tajemnicę udawało się zachować — aż do dzisiaj. Badania wojskowe zostały przerwane po wejściu w życie ogólnoswiatowej konwencji antymilitarnej, pozostał jednak wstydlivy dowód działalności skierowanej przeciw człowiekowi, do której lepiej się nie przyznawać. Możliwe jest też i inne wyjaśnienie: badania są prowadzone nadal, tylko że przeszły w etap nie wymagający już składowania takiej masy odpadów jądrowych. Tak czy inaczej, jeśli tylko uda mi się bezpiecznie wrócić, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wiadomość o moim odkryciu ukazała się na pierwszych stronach wszystkich gazet. Nie wątpię, że znajdą się ludzie, którzy zechcą zbadać, sprawę do samego końca, aż do najdrobniejszego detalu tej afery. Choć i to może być bardzo niebezpieczne...

W miarę jak poruszałem się w kierunku ko mory składowej numer 2, rosła temperatura powietrza. Wąski korytarz wydawał się prowadzić do wnętrza piekła. Dalej już nie dało sięjechać, zatrzymałem więc wózek i wysiadłem, choć do końca korytarza było jeszcze daleko. Nie musiałem zbliżać się do komory, żeby wiedzieć, co oznacza ten upał. Odpady radioaktywne wydzielają duże ilości ciepła skutkiem połowicznego rozpadu radionuklidu. Pojemniki stopiły się i zawarta w nich substancja wylała się do komory, nagrzewając ją do temperatury



pieca plazmatycznego. Można było tego uniknąć, gdyby zastosowano urządzenia śledzące wzrost temperatury i odprowadzające wypromieniowywane ciepło na zewnątrz. Tak postępuje się we wszystkich składowiskach materiałów radioaktywnych z prawdziwego zdarzenia.

Tam gdzie skalne sklepienie komory było cieńsze, ciepło zaczęło wydobywać się na zewnątrz — co sam odczułem na własnej skórze w czasie slalomu między słupami rozgrzanego powietrza. Jeszcze teraz czuję pieczenie.

Wrzuciłem wsteczny bieg i wskoczyłem na wózek — byle dalej od tych tysięcy stopni. Znalazłem więc rozwiązanie kolejnej niewiadomej. Jeśli przyjąć, że pod każdą czerwoną plamą na powierzchni znajduje się komora mogilnika, w której doszło do radioaktywnego wycieku, to sprawa owych plam jest już jasna.

Znów znalazłem się w komorze grobowej. Bez względu na jej pierwotne przeznaczenie była o wiele sympatyczniejsza od pozostałych. Czuję się teraz dużo pewniej, nie zamierzałem już penetrować innych komór, bo wiedziałem, co mogę tam zastać. Przysiadłem na chłodnym postumencie. Nareszcie mogłem odpocząć i w spokoju delektować się wspaniałymi kolorami ściennych malowideł, zwłaszcza po monotonnej szarości korytarzy. Byłem zadowolony, że udało mi się bezpiecznie zakończyć ten etap wyprawy. Marzyłem o chwili, kiedy znów znajdę się we wnętrzu poduszkowca, który poniesie mnie do obozu. Do całości obrazu tego, co oglądałem w grobowcu, nie pasowała mi tylko zagadkowa kula. Nie pasowała

zresztą do niczego, co dotąd widziałem w życiu! Kontakt z nią był za krótki, żebym mógł zauważyć, czy wyposażona jest w jakieś narządy — oczy, otwór gębowy czy uszy. Tak czy inaczej zetknąłem się z czymś, co zdecydowanie wykraczało poza ludzkie rozumienie świata i jego przejawów.

Wśród scen z życia starożytnych Egipcjan, hieroglifów i metalowych rusztowań wzmacniających mknąłem w kierunku wjazdu. Dotarłem tam szybko i wygodnie dzięki nieocenionemu wózkowi elektromagnetycznemu.

Znów miałem kłopoty z przeciągnięciem plecaka na drugą stronę. Moje zdenerwowanie było uzasadnione, gdyż odwrócony tyłem do wyjścia, siłą rzeczy nie mogłem widzieć, co się dzieje za moimi plecami. Czuję podświadomie, że powinienem obawiać się kuli, którą tu widziałem, a w czasie wysokogórskich wspinaczek nauczyłem się nie bagatelizować takich instynktownych lęków. Odetchnąłem z ulgą, kiedy wreszcie uporąłem się z plecakiem i mogłem się swobodnie rozejrzeć. Nie dostrzegłem żadnych zmian, po kuli nie było śladu.

Badając podziemne korytarze, zupełnie straciłem rachubę czasu. Myślałem, że blask słońca uderzy mnie w oczy, nawet na wszelki wypadek przymknąłem powieki. Tymczasem okazało się, że jest już późne popołudnie. Byłem potwornie głodny i spragniony, nie mogłem tu jednak dłużej pozostać, lada chwila mógł nastąpić kolejny wstrząs, należało jak najszybciej oddalić się od epicentrum. Pociągnąłem z termosu kilka potężnych łyków wody i postanowiłem udać się w prawo, żeby obejść kamieniołom jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Doszedłem do

wniosku, że najrozsądniej będzie przenocować we wnętrzu mogilnika.

Po drodze odkryłem jeszcze kilka większych i mniejszych grot, w których najprawdopodobniej również znajdowały się ukryte wejścia do grobowca. Było to logiczne — przez jeden nie wielki właz trudno transportować taka masę ciężkich pojemników.

Po przejściu wokół wysuniętego cypla skalnego, przypominającego kocia łapę, stanąłem na przeciw urwistego wąwozu, który przecinał kamieniołom na dwie części. Wąwóz kończył się głęboka rozpadlina, największa spośród tych, które dotąd oglądałem. Właśnie z tego kierunku powiew wiatru przyniósł ostrą woń ozonu — znów skutek promieniowania. Ruszyłem ostrożnie środkiem wąwozu, moje liczniki wskazywały na podwyższony, lecz jeszcze niegroźny poziom radiacji. Miałem wrażenie, że w miejscu, w którym wąwóz przeistacza się w rozpadlinę, panuje jakiś ruch. Było to zjawisko możliwe do uchwycenia jedynie na podstawie niewyraźnych cieni migających na skalistych ścianach wąwozu. Przyspieszyłem kroku, lecz nagle w najbardziej nie odpowiednim momencie nastąpił wstrząs. Był słabszy niż ten przy wejściu do groty, ale i tak musiałem przycupnąć tuż przy ziemi. Wszystko odbyło się normalnym trybem — te same dźwięki, ten sam kurz. Właściwie już przyzwyczailem się do tego zjawiska. Zauważyłem, że wylot dyszy wyrzucającej strumień pyłu i kurzu jest gdzieś blisko, że powinienem się na niego na dziać zaraz po obejściu lewej ściany wąwozu. Trzeba będzie to z bliska obejrzeć.

Kiedy tylko ziemia przestała drżeć, wstałem i ruszyłem dalej. Z odległości kilkudziesięciu kroków rozpadlina kończąca wąwóz okazała się głęboką pieczarą. To z tego miejsca wydobywało się intensywnie zjonizowane powietrze. Już te raz wiedziałem, że nie będę mógł tam wejść, że na dobrą sprawę w ogóle nie powinienem iść dalej. Z każdym krokiem promieniowanie rosło, jego źródło znajdowało się w pieczarze. Musiałem wreszcie stanąć — indywidualny wskaźnik, który cały czas miałem na piersiach, odezwał się ostrzegawczym piskiem. Na głównej ścianie pieczary dostrzegłem regularny wzór geometryczny, składający się z ciasno przylegających do siebie „rozgwiazd”; przypominałyby finezyjnie ułożony parkiet, gdyby nie to, że po ruszały się falującym ruchem jak roślinność wodna w czasie przyływu i odpływu morza. Nie wiedząc, co właściwie myśleć o tym zjawisku, ograniczyłem się do patrzenia. Co mi przypomina ten kolor? Ależ tak, tę dziwną latającą kulę. Ze złości, że nie mogę iść dalej, za kłamię tak brzydko, jak dawno mi się nie zdarzyło! Gdybym dysponował manipulatorem i kamerą telewizyjną, siedziałbym teraz w bezpiecznej odległości i obserwował wszystko na ekranie. A tak? Mogę sobie o tym pomarzyć — dobrze, że bezpłatnie. Trzeba było szybko decydować się na jakieś rozwiązanie. Czas uciekał, a ja znajdowałem się w strefie podwyższonego promieniowania, przy czym moje płuca wchłaniały mnóstwo ozonu... Przypomniałem sobie, że przecież mam w plecaku maskę, już dawno powinienem ją założyć. Grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu maski, przypadkowo natrafiłem na futerał z kotwicą, którą zabrałem tak

na wszelki wypadek, bo mogła się przydać przy wchodzeniu na skałę lub przy zjeździe w dół. Dotąd nie było okazji, żeby ją wykorzystać. Teraz przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Przywiązałem do kotwicy linę transportowa, tę sama, na której wciągnąłem plecak na szczyt. W ten sposób miałem w ręku coś, co przypominało wędkę, tyle że bez wędziska.

Mogłem rozpocząć polowanie. Wycelowałem w sam środek pieczary i rzuciłem najsilniej jak tylko potrafiłem. Pierwszy rzut okazał się zupełnym pudłem — kotwica z głośnym brzękiem odbiła się od skały i upadła daleko obok wejścia. Kilka następnych prób dało lepsze rezultaty, raz nawet kotwica uderzyła w kolonnię, ale nie oderwała od ściany ani jednej „rozgwiazdy”. Traciłem już cierpliwość, kiedy wreszcie udało się: jedno ramię kotwicy wbiło się w sam środek kolonii! Przez chwilę starałem się nie oddychać, nie poruszyć liną ani na milimetr. Potem ostrożnie — żeby nie szarpać, żeby zachować płynność — zacząłem nawijać linę wokół przedramienia. Czuję, że kotwica jest mocno osadzona i nie wypadnie, widziałem też, że od ściany coś się odrywa — właściwie bez większego oporu. Miałem wrażenie, że to wielki opatrunkowy plaster przyklejony do powierzchni skały. Za kolejnym pociągnięciem kotwica razem ze swą zdobyczą upadła na dno pieczary. Trzeba ją było teraz jak najostrożniej doholować do miejsca, w którym stałem. Metr po metrze zbliżało się do mnie zagadkowe ciało — efekt dziwnego polowu — pozostawiając ślad na zakurzonej powierzchni.

Było szarobezwowe i wilgotne; rzeczywiście przypominało rozgwieżdżone, tyle że kształt miało bardziej regularny: z kwadratowego środka wybiegały cztery trójkątne ramiona. Twór był mięsisty, w ogóle sprawiał solidne wrażenie. Miałem go przed sobą i nie wiedziałem, co robić dalej. Przycisnąłem go ostrożnie podeszwą buta i bez większych ceregieli wyrwałem wbita w centralną część kotwicę. Twór zakołysał się. Z otworu pozostawionego przez zaczep kotwicy zaczęła wydobywać się sycząca biała piana. Odskokczyłem do tyłu, jakbym przydepnął grzechotnika. Obejrzałem dokładnie podeszwę buta, ale poza wcześniejszym przypaleniem nie zauważyłem żadnych zmian. Tymczasem piana już wypełniła ubytek, który powstał po wyrwanym ramieniu kotwicy. Po chwili po zranieniu nie było śladu. Bez wątplenia miałem przed sobą organizm żywy, roślinę albo zwierzę! Chodziłem wokół niego i obserwowałem ze wszystkich możliwych stron, przeszkadzała mi w tym maska na twarzy, więc ją zdjąłem.

Najbardziej zdumiewał mnie fakt, że organizm żywy był w stanie przetrwać, a nawet rozmnażać się, sądząc po liczności kolonii, w środowisku całkowicie wykluczającym rozwój jakichkolwiek form życia. Niewiarygodne! Czy można uodpornić się na tak zabójcze promieniowanie, jakie panuje w pieczarze? Po chwili bezruchu stworzenie zaczęło wykazywać pewną aktywność. Przejawiało się to w powolnym skręcaniu ramion w kierunku pieczary — jakby chciało tam wrócić. Dzięki temu mogłem zobaczyć, jak wygląda pod spodem. To, co dostrzegłem, ludzaco przypominało system korzeniowy normalnych roślin, z tym że niektóre z owych „korzeni” wyposażone były w

ostre zadziory Domyślałem się, że jest to coś, co umożliwia stworzeniu przyczepianie się do podłoża, nawet jeśli tym podłożem są pionowe skały. Wyglądało na to, że stwór pozbawiony jest narządów ruchu — jest więc chyba rośliną. W tym momencie zauważyłem, że moja zagadkowa zdobycz zaczyna więdnąć: oklapła, zmieniła barwę na brunatną, na obrzeżach ramion pojawiły się czarne cętki. Najwyraźniej środowisko, w którym się znalazła, działało zabójczo na jej czy jego organizm. Zupełnie nie myśląc, przykucnąłem i położyłem rękę na jego ciele — było chłodne, skórzaste i w dotyku przypominało powierzchnię rośliny. Nie wydawało się groźne — niepotrzebne więc były podchody i środki ostrożności które przedsięwziąłem. Jak się więc okazuje, czasami lepiej nie myśleć. Podniosłem stworze nie do góry, by je obejrzeć dokładnie, póki jeszcze żyje. Przez głowę znów przeleciało mi coś niedorzecznego i natychmiast to wykonałem Obwiązałem „rozgwiadę” liną — delikatnie, żeby niczego nie uszkodzić — i już za pierwszym razem udało mi się wrzucić ją do pieczary. Teraz trzeba cierpliwie odczekać na skutki eksperymentu. Drugi koniec liny — na wszelki wypadek — przywiązałem do kamienia i nareszcie mogłem odejść od pieczary na bezpieczną odległość. Jeśli wszelkie przemiany w organizmie „rozgwiadzy” zachodzą tak szybko — czego najlepszym dowodem było błyskawiczne zagojenie się głębokiej rany — to mogę przypuszczać, że wystarczy pozostawić ją we wnętrzu pieczary nie dłużej niż pół godziny — pod warunkiem, że moja niedorzeczna myśl jest prawdziwa.

Wyszedłem z wąwozu i bez celu spacerowałem wzdłuż jego wlotu. Od jednego eksperymentu zależeć będzie rozwiązanie całej tajemnicy. Oby się tylko powiodł. Słońce skryło się za widnokregiem, mrok zapadał szybko, na nieboskłonie zaczęły pojawiać się gwiazdy. Wśród tych gwiazd, myślałem, na pewno znajdują się fenomeny jak gdyby wyłamujące się z powszechnych praw ewolucji materii. Każdy fenomen, ponieważ jest czymś tak rzadkim, przeraża, zadziwia lub zachwyca. Ale przecież nic, co dzieje się we Wszechświecie, nie może stać w kolizji z jego prawami, wszystko jest więc naturalne. To tylko my jesteśmy przyzwyczajeni do niewielkiej części tych praw, i tylko ją uznajemy za prawdy. Wszystko inne bardzo chętnie określamy mianem fenomenu, a czasami patologii. A przecież to tylko wynik niedoskonałości i ograniczoności naszych zmysłów, schematyzmu w myśleniu i bezwładu w postępowaniu, świat wcale nie jest niepojęty, to tylko my jesteśmy prymitywni. Natura obdarzyła nas mózgiem bezradnym wobec emocji, którym podlegamy częściej niż procesom myślenia. Dla pojedynczego osobnika to ani źle, ani dobrze, tylko skąd u kosmicznych półwierzaków z resztką sierści na głowie bierze się tak wielkie zadufanie w trafność własnych ocen dotyczących Wszechświata i jego praw? Zadziwiająca megalomania! Pod wpływem tych myśli wpadłem w niewesoły nastrój. A jeśli mój eksperyment się nie uda? Jeśli jest inaczej niż myślę? Pozostanie mi tylko dać za wygraną i wrócić do obozu. Minał czas, który wyznaczyłem na eksperyment. Nie naciągałem już maski na twarz i tak nie pozostanę tutaj dłużej



niż kilka minut. Zacząłem delikatnie zwijać ling; każda sekunda wydawała mi się godzin. Z emocji tętno miałem przyspieszone aż do bólu w skroniach.

Pół godziny temu, kiedy wrzuciłem go do pieczary, dziwny stwór był w stanie przypominającym wędnięcie, a teraz? Omal nie podskoczyłem do góry, kiedy zobaczyłem, w jak świetnej jest teraz formie. Wiec w zabójczym promieniowaniu pieczary zdołał zregenerować zaawansowany proces obumierania? Nabrał dawnego ubarwienia i konsystencji — plamy i cętki znikły. Miałem rację! Przez chwilę patrzyłem, jak znów odchyła ramiona w kierunku wejścia do pieczary. Tak, znów znalazł się we wrogim środowisku, brakuje mu czegoś, co pozwala żyć. No to leć! Twoja śmierć nie jest mi do niczego potrzebna. Udało mi się wrzucić go w sam środek pieczary, upadł na dno; znajdzie tam na pewno lepsze warunki życia niż na ścianie, z której tak brutalnie go wyrwałem.

Była już najwyższa pora, by zacząć przygotowywać się do noclegu. Przechodząc przez właz czułem się, jak gdybym wracał z dalekiej podróży do domu, gdzie wszystko jest znajome i swojskie. Miękką wykładzina korytarza wydawała mi się królewskim posłaniem. Mimo ogromnej doniosłości dokonanego odkrycia byłem senny, powieki mi ciążyły, a głowa sama układała się do snu. Przymknąłem właz na tyle, by nic się nie wcisnęło do środka, i natychmiast po wejściu do śpiwora zasnąłem.

Trudno powiedzieć, jak długo spałem, ale przebudzenie nie było przyjemne: cały byłem zlany potem, potwornie bolała

mnie głowa, cóż, przebywałem w strefie podwyższonego promieniowania, oddychałem powietrzem przesyconym ozonem. Przez pół godziny leżałem bez ruchu — na nic nie miałem ochoty. Stan ten przypominał nieliczne chwile w moim życiu, kiedy zdarzyło mi się nadużyć alkoholu. Ślaniając się na nogach wyszedłem na zewnątrz i jałem wdychać głęboko chłodne powietrze poranka, niewiele to jednak pomogło. W czasie całej wyprawy aż do dzisiaj nie było potrzeby sięgać po środki farmaceutyczne, teraz nie widziałem innego wyjścia. Zażyłem dwie pastylki antyradiacyjne, choć moich dolegliwości nie można było nazwać chorobą popromienną — całe szczęście. Nie miałem ochoty na jedzenie, zadowolilem się kubkiem mocnej kawy z elektro termosu. Nie miałem już zamiaru nigdzie chodzić, czegokolwiek odkrywać, dziwić się lub fascynować. Zapas niespodzianek chyba się wyczerpał.

Jeszcze nie tak dawno pragnąłem, żeby moja wyprawa trwała co najmniej dwa tygodnie, tak, dwa tygodnie uczciwego sportowego wyczynu. Tymczasem już po kilku dniach — prawda, że bardzo intensywnych — czułem się stary i zmęczony. Był to też oczywiście nastrój chwili. Samotność doskwierała mi jak nigdy dotąd, jak powietrza brakowało mi gwaru ludzkich głosów, codziennej, zwykłej krzątaniny. Nic nie sprawiłoby mi większej radości niż widok dwóch szarpiących się za ubrania Arabów. Jak najszybciej znaleźć się w poduszkowcu... i pełny gaz.

Kawa i pigułki zaczęły skutkować — poczułem się zdecydowanie lepiej. Na tyle lepiej, że przestałem myśleć o natychmiastowym odwróceniu. Wszystkie moje odkrycia i przeżycia wymagały

należytego przemyślenia. Działania zbyt pochopne mogły wyrządzić same szkody — nie, nie mnie, ale zagrożony zostałby inny, bardziej ogólny sens. Najpierw sensacja: młody fizyk na usługach archeologów odkrywa... Samotnie z narażaniem własnego życia walczy z przeciwnościami, żeby udostępnić światowej nauce i ludzkości... Ale co z samym odkryciem? Biedna roślinna kolonia, fenomenalny endemit! Nic by z niego nie zostało, rozkrojono by go, zbadano aż do najdrobniejszego szczegółu anatomicznego, a potem panowie uczeni, wyposażeni w znakomite przyrządy, zeszliby aż na poziom molekuł, słowem, totalna destrukcja. Na co zdałyby się ich najbardziej nawet genialne wnioski, gdyby zniszczono całkowicie zarzewie nowego, odmiennego w swym metabolizmie życia? Może ta roślina to zwiastun nadciągającej katastrofy kosmicznej, może w tym naszym skazanym na śmierć świecie dojrzeć coś, co ma szansę prze trwać i przystosować się do nowych warunków? Wszystko zaczęło się od starożytnych Egipcjan, którzy w miejscu odludnym i niedostępnym wybudowali dwie nekropole — prawdziwą i fałszywą. Upłynęło kilka tysięcy lat i na płaskowyżu pojawili się nowi „grabarze” — już nie ludzkich, lecz radioaktywnych szczątków. Pracując w pośpiechu, nie zabezpieczyli ich odpowiednio. Radioaktywne śmieci stopiły pojemniki i jak powodziowa fala rozlały się we wnętrzu góry. Miejscowa flora w procesie mutacji zaczęła produkować nowe formy, w większości zdegenerowane i skazane na zagładę. Możliwości przystosowawcze życia są jednak nieograniczone. Zasada jest prosta — jeżeli organizm żywy nie jest w stanie wyeliminować

jakiegoś szkodliwego czynnika, to żeby przetrwać, musi nauczyć się go wykorzystywać. Tak musiało być i w tym przypadku z tą różnicą, że wszystko odbyło się niezwykle szybko. Powstał organizm lub grupa organizmów, które energią życia czerpać zaczęły z syntezy promieniowania w miejsce tradycyjnej fotosyntezy zajęła alfa, beta lub nawet gamma synteza. Trudno powiedzieć, na jakiej zasadzie oparty jest ten mechanizm, w tym jednak wypadku lepiej nie wiedzieć — bo badanie oznacza tu unicestwienie, a tego nie chcę.

Po raz pierwszy wpadłem na myśl, że właśnie tak to może wyglądać, kiedy moje zagadkowe znalezisko zaczęło wysuwać te swoje ramiona w kierunku pieczary. Dla niego było to to samo, co światło słoneczne dla zwykłej rośliny. Cóż, to, co dla jednych stanowi śmiertelne zagrożenie, dla drugich oznacza warunek przetrwania. Ten nowy organizm nie jest w stanie żyć gdziekolwiek indziej: może żyć dopóty, dopóki nie wyczerpie się energia promieniowania odpadów. Wtedy albo zginie, jak 60 milionów lat temu dinozaury, albo znów przez kolejne mutacje zdoła się przystosować do nowych warunków.

Być może we Wszechświecie działa prawo, zgodnie z którym raz dokonana przemiana materii nieożywionej w ożywioną musi być kontynuowana bez względu na zmieniające się warunki. Zmiana warunków wywołuje jedynie zmianę formy egzystencji — ale ciągłość jest zachowana. Naturze jest widać obojętne, kto w danym momencie korzysta z przywileju życia. Ci, co giną, przekazują pałeczkę w sztafecie przemian organizmom lepiej przystosowanym, i te biegną, dalej... A jeśli w

niedalekiej przyszłości Ziemi, i cały Układ Słoneczny przeszyje promieniowanie? To wystarczy, aby atmosfera ziemską została pozbawiona ochronnej warstwy ozonu, śmierć spłynie z nieba bezgłośnie, nastąpi koniec naszego świata. Ludzie, zwierzęta, rośliny staną się nawozem, który ułatwi start temu nowemu życiu. Jego inwazja nastąpi właśnie stąd, spłynie zbozcami skał, rozleje się szeroko po równinie, a potem nowe organizmy obejmą we władanie całą planetę. Na pewnym etapie rozwoju pojawi się myśl i pytanie: Jesteśmy istotami rozumny mi, chcemy wiedzieć, dlaczego podstawą naszego życia jest synteza promieniowania jądrowego?

Ziemię może nawiedzić także inny kataklizm kosmiczny — na przykład upadek meteoru zbudowanego z pierwiastków promieniotwórczych. Albo będzie to jeszcze coś innego, a może zgoła nic. Najważniejsze, żeby życie na Ziemi nie po zostało bez „rezerw”, bez możliwości przystosowania się do zmienionych warunków. Właśnie tutaj, w pieczarach, znajduje się „konserwa”, która w odpowiednim momencie sama się otworzy. Odczułem pewien żal, że stanie się to, dopiero gdy nas już nie będzie. Trudno, nie mieliśmy wpływu na powstanie życia na tej planecie, odejście również odbędzie się bez naszej woli.

Poczułem się już na tyle dobrze, że mogłem rozpocząć powrót. Marsz z ciężkim plecakiem nie sprawiał mi na razie większych trudności, obawiałem się jednak szaleńczego biegu wśród mas rozgrzanego powietrza. Było jeszcze wystarczająco wcześnie, żeby rozejrzeć się za bar dziej dogodnym zejściem.

Wróciłem do miejsca, gdzie wąwóz rozcinał kamieniołom na dwie części — chciałem jeszcze raz popatrzeć na pieczarę. Nie wiele stąd dało się dostrzec, ale i tak odczułem pewne wzruszenie. Na pożegnanie pomachałem ręką w tym kierunku — jak to robi się na wszystkich dworcach kolejowych świata. Wiedziałem, że to niemądre, ale koniecznie chciałem wykonać jakiś gest, a nic lepszego do głowy mi nie przyszło. Po chwili wąwóz i pieczarę miałem za plecami. Postanowiłem, że dojdę do północnej, znanej mi już ściany masywu, może znajdę dogodnie zejście. Po obejściu kolejnego cypla skalnego natrafiłem na lejkowaty otwór prowadzący do wnętrza góry. Wokół niego znajdowała się gruba warstwa pyłu i piasku — to stąd pewnie tryskają w górę masy sprężonego powietrza. Trzymałem się w bezpiecznej odległości, bo gejzer mógł w każdej chwili rozpocząć działalność. Musiało to być coś w rodzaju komina od szczytu góry aż do jej podstawy, działającego jak monstrualna pompa powietrzna i zarazem ogromna piszczałka, źródłem dźwięków mogły być różnice ciśnienia i temperatury: u podstawy góry zalegają masy chłodnego powietrza, które pod ogromnym ciśnieniem są zasysane przez komin i transportowane aż na wierzchołek, gdzie wraz z pyłem i piaskiem strzelają w górę jak najprawdziwszy gejzer. Po drodze musi znajdować się zwężenie tak ukształtowane, że powstaje dźwięk o niskiej częstotliwości, bardzo nieprzyjemny dla ucha. Komin ma chyba charakter najzupełniej naturalny, a cały mechanizm funkcjonuje pewnie od wielu tysięcy lat. W dawnych czasach wyjąca góra musiała napawać strachem okolicznych mieszkańców.

Potrafilo to wykorzystać Egipcjanie. Zbudowali nekropole w miejscu, które rodzi strach.

Niedługo zabawiłem w pobliżu komina. Rozciągała się teraz przede mną strefa rozgrzanego falującego powietrza, uformowanego w wyraźnie oddzielone od siebie pionowe kolumny. Bardzo ucieszył mnie szeroki odstęp między dwiema środkowymi. Na tyle szeroki, że musiała tam panować zupełnie znośna temperatura, a to oznaczało, że nie trzeba będzie pędzić na złamanie karku.

Byłem już zdecydowany rozpocząć przeprawę, kiedy dobiegł mnie niski, wibrujący dźwięk. Początkowo sądziłem, że to zapowiedź kolejnej erupcji powietrzno-pyłowego gejzeru, ale dźwięk najwyraźniej pochodził z miejsca znajdującego się poza płaskowyżem. Po chwili stwierdziłem, że się przybliżyła. Na twarz padł mi cień, a tuż nad głową rozległ się ogłuszający warkot silnika. Na niewielkiej wysokości przeleciał nade mną ogromny śmigłowiec. Gwałtowny podmuch wirujących łopat wzbili w powietrze tuman kurzu, tak że przez chwilę nie widziałem nic poza rudoczołą ścianą piasku. Natrętne ziarenka wciskały się wszędzie — do ust i nosa, oczu i uszu. Dostałem ataku spazmatycznego kaszlu i próbowałem jak najszybciej wydostać się z tej małej burzy piaskowej, śmigłowiec był nadal słyszalny, odniosłem przy tym wrażenie, że krąży nad płaskowyżem, ale nabrał już wysokości. Kaszląc pobiegłem w stronę, z której przebijało trochę słonecznego światła, i wypadłem wreszcie z pyłowego obłoku. Szybko przyszedłem do siebie. Najważniejsze, że w pobliżu są ludzie, z którymi będę mógł porozmawiać

i którzy na pewno pomogą mi dostać się do poduszkowca. W tej chwili nie zastanawiałem się, skąd i po co przylecieli.

Musieli mnie nie zauważyć, co gorsza, mogą za chwilę odlecieć, trzeba się spieszyć. Zdjąłem koszulę i zacząłem nią machać jak opętany. W przeszklonej kabynie śmigłowca znajdowało się dwóch ludzi. Widziałem wyraźnie, jak jeden z nich pokazuje mnie ręką drugiemu, prawdopodobnie pilotowi. Nareszcie mnie zobaczyli! Helikopter gwałtownie zmienił kurs i zaczął nadlatywać wprost na mnie. Dla całkowitej pewności jeszcze kilkakrotnie zamachałem koszulą. Nie było już wątpliwości, że mnie widzą. W odległości 150 metrów śmigłowiec zawisł w powietrzu. Sądziłem, że pilot i jego towarzysz szukają miejsca, gdzie mogliby wylądować. Chciałem właśnie pokazać im takie miejsce, kiedy spod oszklonej kabiny wystrzelił fioletowo-żółty płomyk, tuż koło mnie wzbily się w powietrze małe fontanny piasku i rozległa się wściekła kanonada wielkokalibrowego karabinu maszynowego. Strzelano do mnie! Uświadomiłem sobie, że jestem bez szans, znajdowałem się przecież na otwartej przestrzeni. Wykonałem kilka uników, co przypominało taniec na rozgrzanej blasze, po czym dałem nurka w nieopadły jeszcze na szczęście tuman kurzu wzbitego przelotem śmigłowca. Przestałem być widoczny, karabin maszynowy zamilkł, ale wyraźnie słyszałem, że zbliżają się w moim kierunku. Jeśli nawet nie zastrzelą mnie teraz, jeśli uda mi się uciec, to wylądują, zaczną przeczesywać teren i w końcu mnie znajdą, tym bardziej że prawdopodobnie w śmigłowcu znajduje się więcej ludzi. Powinienem mieć w plecaku rakiетnicę i kilka



naboi, ale na co się to może przydać? Dudnienie silnika było coraz bliższe, instynktownie przywarłem do skalistego podłoża... Znów zaczęli strzelać; tym razem na oślep, licząc na przypadkowe trafienie mnie. Musiałem koniecznie coś przedsięwziąć i to szybko, tymczasem bałem się poruszyć palcem — owładnął mną paraliż psychiczny.

Ostatecznie zrzuciłem z siebie plecak i przeczołgałem się tam, gdzie pył był na tyle rzadki, że mogłem dostrzec śmigłowiec. Kołysał się majestatycznie w niewielkiej odległości i co chwilę strzelał długimi seriami w różnych kierunkach, na szczęście nie tam, gdzie się rzeczywiście znajdowałem. Koniecznie muszę przedrzeć się do kamieniołomu, od którego dzieli mnie około 50 metrów — myślałem gorączkowo. Oznaczało to, że przez połowę dystansu będę znajdował się na otwartej przestrzeni, pozbawiony osłony kurzu, śmigłowiec ruszył wolno w kierunku wlotu do komina; ach, przypuszczają, że tam się ukryłem — przeceniają moje możliwości fizyczne i odwagę. Był to odpowiedni moment, żeby za ich plecami dobiec do ściany kamieniołomu. Udało się — najniebezpieczniejszy odcinek przebiegłem w błyskawicznym tempie i zziąjany jak pies przywarłem do ściany. Przynajmniej na razie byłem bezpieczny, Jeśli moi prześladowcy poprzestaną na penetracji terenu z powietrza, istnieje szansa, że ujdę cało. Ruszyłem w ślad za śmigłowcem zakładając, że nie będą po raz drugi sprawdzać tej części kamieniołomu. Nie wiedziałem, kim są ani dlaczego na mnie polują. Tak czy inaczej, miałem teraz ich maszynę jak na dłoni, sam będąc niewidocznym. Bardzo

żałowałem, że nie mam żadnej broni, chociaż zwykłym pistoletem czy nawet karabinem maszynowym niewiele szkody wyrządziłbym temu opancerzonemu cielsku. Opanowała mnie bezsilna wściekłość.

Policzkiem przyciśniętym do skały wyczułem zbliżający się wstrząs: za chwilę zacznie działać gejzer. Stało się to w następnej sekundzie. Wstrząs nie był zbyt silny, ale kiedy w powietrze wystrzelił tuman kurzu pod wysokim ciśnieniem, zdarzyło się coś, na co nie byłem przygotowany — najpierw usłyszałem straszliwy trzask, a potem coś uderzyło o ziemię z takim impetem, że aż mnie podrzuciło do góry. Zapadła cisza. Przez kilka minut nie ruszałem się z miejsca, podejrzewając pułapkę. W końcu nie wytrzymałem i odskoczyłem od ściany. Przez warstwę wirującego kurzu dostrzegłem leżący na boku helikopter z połamanymi śmigłami i strzaskanym podwoziem. Musiała zaskoczyć ich erupcja gejzeru. Dobrze im tak — chyba pierwszy raz w życiu cieszyłem się z czyjegoś nieszczęścia.

Kiedy pył osiadł, wyszedłem ze swego ukrycia. W śmigłowcu nie zaobserwowałem żadnego ruchu, wyglądało na to, że wszyscy zginęli. Dopiero teraz zauważyłem, że maszyna nie ma żadnego znaku, który pozwalałby zidentyfikować jej właściciela. Było to duże wojskowe bydlę, silnie opancerzone i uzbrojone, w tej chwili jednak nie wyglądało groźnie. Na odkształconej kabinie leżał człowiek ubrany w oliwkowy mundur bez dystynkcji. Nie żył — wskazywały na to bezwładnie wyciągnięte do przodu ręce i nienaturalnie wykręcona głowa. Podszedłem

jeszcze bliżej, spodziewając się odnaleźć innych członków załogi również martwych. Strzał z pistoletu padł z kabiny, na szczęście chybił. Rzuciłem się na ziemię i zacząłem pełznąć w stronę kamieniołomu. Ten, kto strzelał, musiał znajdować się w szoku, dlatego nie trafił z tak małej odległości. Trzeba się jak najszybciej oddalić, zanim przyjdzie do siebie... Czołgałem się dość szybko i strzelec chyba stracił mnie z oczu, bo inaczej dawno już położyłby mnie trupem.

Przez pół godziny w otoczeniu rozbitego śmigłowca nie zaobserwowałem żadnych zmian. Już zacząłem sądzić, że ten, który do mnie strzelał, wykrwawił się z ran, kiedy odsunęła się boczna szyba kabiny pilota i z maszyny wyskoczył mężczyzna z obandażowaną głową, trzymając oburącz pistolet. Błyskawicznie przeskoczył przez złamaną łopatkę śmigłowca i ukrył się za korpusem maszyny. To znaczy, jemu wydawało się, że ukrył się przed moim wzrokiem, w rzeczywistości widziałem go dokładnie. Leżał na piasku w cieniu kadłuba i co chwilę poprawiał bandaż na głowie. Rozglądał się nerwowo, w każdej chwili spodziewał się ataku z mojej strony. Dziwnym zrzędzeniem losu zamieniliśmy się rolami: ze zwierzyny stałem się myśliwym, tyle że bez broni... Musiałem czekać cierpliwie aż się ściemni lub aż mój niedoszły zabójca omdleje z ran. Myślenie o tym nie było przejawem okrucieństwa z mojej strony. Moimi przeciwnikami byli ludzie pozbawieni wszelkich skrupułów, gotowi zabijać bez emocji, na zimno. Nietrudno było się domyślić, że ich przybycie pozostawało w bezpośrednim związku z moim wtargnięciem do mogilnika. Jak mogli się o tym dowiedzieć?

Automatyczna sygnalizacja radiowa? No tak, włączyłem ją otwierając włącznik wejściowy w pierwszej grocie... Pamiętam, że najpierw niepotrzebnie zapaliłem czerwoną lampkę — wtedy widać uruchomiłem urządzenie nadawcze. Ten, kto wybudował mogilnik, czuwał więc nad nim z pewnej odległości. Brała mnie złość, że w cudowne misterium powstania i rozwoju nowego życia wtargnęła fala ludzkiej nienawiści.

Cały zapas wody pozostawiłem w plecaku, a przed zapadnięciem zmroku nie mogłem się ruszyć z tego miejsca — ciężko będzie wytrzymać tych kilka najgorętszych godzin. Pocięszające było tylko to, że mój przeciwnik znajdował się w jeszcze gorszej sytuacji. Cóż to za ludzie? — myślałem. Przylecieli tylko po to, żeby mnie zabić. Gdyby zastali na miejscu stu świadków też zastrzeliliby wszystkich bez zmużenia oka... Czy w tej sytuacji powinienem milczeć? Jeśli oczywiście wyjdę z tej próby z życiem... Sądzić należy, że siły, które 50 lat temu zbudowały mogilnik, wcale nie odeszły w przeszłość, przyczaiły się tylko wyczekując momentu, w którym pokażą swoje prawdziwe — nie-ludzkie oblicze. Ale czy informując o tym opinię światową postąpię słusznie? Bo wtedy odkryta przeze mnie kolonia tych cudownych nowych organizmów ulegnie unicestwieniu. Nie potrafiłem rozstrzygnąć tego dylematu.

Przez chwilę zajęty byłem wyjmowaniem ziarenek piasku z oczu i nie patrzyłem w kierunku rozbitego śmigłowca. Uporałem się z tym w końcu i spojrzałem. Dwie wirujące kule, jakby zawieszzone kilkanaście centymetrów nad ziemią, zbliżały się miękko, rzekłbyś, kocim ruchem, do wraku helikoptera. Czulem,

że te niepojęte stwory są moimi sprzymierzeńcami. Jedna z kul podpłynęła pod zwisające z rozbitej kabiny zwłoki i przez chwilę jakby dokonywała identyfikacji — zbliżając się i oddalając od martwych rąk i zniekształconej głowy. W tym czasie druga zaczęła okrążyć śmigłowiec od strony zadartego do góry ogona i zbliżać się do ukrytego po drugiej stronie człowieka. Gdy znikła mi z pola widzenia, wstrzymałem oddech. Nie na długo. Usłyszałem pełen przerażenia krzyk, strzał z pistoletu i zza kadłuba maszyny wybiegł mężczyzna z obandażowaną głową. Nie oglądał się za siebie, biegł prosto w moim kierunku. Sprężyłem się cały do natychmiastowej ucieczki albo walki. Tuż za biegnącym podążała kula, otulona obfitą pianą. W następnej sekundzie z jej wnętrza wystrzelił biały strumień i trafił prosto w plecy mężczyzny. Skutek był piorunujący — człowiek krzyknął, zesztyniał i z wytrzeszczonymi oczami upadł na piasek. Przez moment konwulsyjnie poruszał nogami, jakby chciał uciec od swego przeznaczenia. Kula zawisła nad plecami ofiary i całe jej ciało zaczęła pokrywać piana. Po chwili tylko niewyraźny kształt przypominał, że pod spienioną warstwą znajduje się człowiek — już martwy. Ten drugi, zwisający z kabiny, też wyglądał jak przysypany śniegiem. Piana zaczęła intensywnie parować i zmieniać kolor na bladoróżowy.

Obydwie kule skurczyły się w sobie — przypominały teraz wyschnięte i pomarszczone jabłka. Krążąc nad parującą substancją, wchłaniały ją pod dużym ciśnieniem — wyraźnie słyszałem syczenie i bulgotanie. Wcisnąłem brodę w piasek i całym

ciałem przyłgnąłem do podłoża — żeby najlżejszym nawet ruchem nie zdradzić swojej obecności. Myśliwi nie wiedząc chyba, że są obserwowani, spokojnie spożywali swoje ofiary. Nie należało im w tym przeszkadzać, bardzo szybko sam mogłem stać się deserem na tej makabrycznej uczcie. Najwyraźniej dobiegała już końca. Kule nabrały dawnego, okrągłego kształtu — bez żadnych zmarszczek na powierzchni. Cześć piany została wchłonięta, reszta wyparowała. To, co pozostało z dwóch ludzi, mogło przyprawić o torsje. Czy można bez zgrozy patrzeć na parujące szkielety, na których gdzieniegdzie znajdują się strzępy skóry, mięśni, wnętrzności i odzieży? Po chwili obydwie kule trochę ociężałe skierowały się w stronę kamieniołomu i znikły za najbliższym załosem skalnym. Z początku nie ruszałem się z miejsca — mogły tu jeszcze wrócić. Gdy jednak w nozdrza uderzył mnie nieznośny fetor ludzkich szczątków, zatykając nos pobiegłem na zawietrzną.

Ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, że dwukrotnie mógł mnie spotkać ten sam los — szczególnie gdy zupełnie bezbrony spałem w ruinach fałszywej nekropoli. Nie zaatakowały mnie ani wtedy, ani gdy schodziłem do wnętrza mogilnika. Dlaczego? Przecież były mnie w stanie obezwładnić jednym wyrzutem piany. Mogłem to wytłumaczyć jedynie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. A więc kule nie są roślinami, tylko drapieżnymi formami zwierzęcymi. Dla ich procesów życiowych niezbędne jest promieniowanie, ale budulec czerpią jak znane mi drapieżniki. Byłem tego naocznym świadkiem. A ich sposób

poruszania się? Toż to zwierzęcy odpowiednik mojego podusz-  
kowca!

Odnalazłem swój plecak. Powietrze było bardzo gorące, ale nie chciałem już czekać na sprzyjające warunki, postanowiłem wracać jak najszybciej. Choć zwierzkule dały mi się poznać od nader makabrycznej strony, to jednak nie mogłem myśleć o nich bez sympatii — nieświadomie pomogły mi w trudnej sytuacji. Do zrobienia pozostawała mi jeszcze jedna rzecz. Całe opakowanie waty z podręcznej apteczki nasączyłem zawartością butelki, w której znajdowała się łatwopalna benzoksyrina. Przytknąłem do waty płomień zapalniczki, a potem rzuciłem ognisty tampon w kierunku rozbitego śmigłowca. Już po chwili płomień strzelił w powietrze, obejmując sporą część kadłuba. Przez chwilę patrzyłem w zamyśleniu na rozprzestrzeniający się pożar. Zdecydowałem się już, że ode mnie nikt się nie dowie o tajemnicy, którą tu odkryłem.

Musiałem się spieszyć. Płomienie niebezpiecznie szybko zbliżały się do baków wypełnionych materiałem pędnym. Zacząłem biec.

Przekroczyłem strefę rozgrzanego powietrza. Jakby na pożegnanie usłyszałem za plecami silną detonację. Odwróciłem się. W miejscu, w którym leżał rozbity śmigłowiec, rozpełzała się na wszystkie strony ściana pomarańczowego ognia, dopełniał się ostatni akt dramatu. Po kilku krokach znalazłem się na krawędzi stoku. Wzdłuż stromizny opadała postrzępiona miejscami droga, podobna do tej, którą tu przy szedłem, tyle że bardziej łagodna i co najważniejsze, nie wymagająca alpinistycznych umiejętności. Niezwłocznie zacząłem schodzić w dół.

Byłem bardzo zmęczony, znów zaczynała mnie boleć głowa. Przypomniałem sobie psa, który spadł w przepaść. Bezpański, dziki pies przypadkowo — tak jak i ja — stanął w obliczu nie znanego i zginał. Szkoda, czułbym się teraz lepiej, gdyby coś żywego, z brązowymi ślepiami i chłodnym nosem szło u mego boku...

Ślizgałem się i potykałem, idąc po rumowisku skalnym. Kilka razy przewróciłem się i potłukłem dotkliwie, nie zważałem jednak na nic. Z zaciśniętymi szczękami szedłem uparcie przed siebie. Gdy zobaczyłem poduszkowiec, zacząłem biec. Wreszcie skrajnie zmęczony rzuciłem się na jego rozgrzaną maskę — nigdy nie wydawał mi się tak bliski... Wszedłem do środka i przez kilkanaście minut leżałem nieprzytomnie na miękkim fotelu. Kiedy otworzyłem oczy, słońce już zachodziło. Czerwona barwa nieba kontrastowała z bielą skal. W tak krótkim czasie wydarzyło się tak wiele. Czy naprawdę?

Jeszcze raz spojrzałem na szczyt góry, nad która wznosił się w tej chwili obłok czarnego dymu i zapaliłem silnik. Przez kadłub maszyny przebiegł dreszcz, ruszyłem ostro, kierując się wprost na odległe obozowisko naszej ekspedycji. Powinienem tam dotrzeć w nocy, kiedy wszyscy już będą spać. Jutro z samego rana zacznę kłamać: informacje o konstrukcjach ziemnych nie potwierdziły się, a same góry? Nic ciekawego, jednym słowem, wyprawa się nie udała, dlatego ją skróciłem. Jedyna pamiątka to kilkanaście potężnych siniaków i podarte ubranie. Po raz pierwszy od kilku dni uśmiechnąłem się do siebie, po czym wcisnąłem gaz do deski.



## PIERWSZY

Siedział przede mną pochylony, łapczywie za ciągał się papierosem i czekał. A ja patrzyłem na zdjęcie rentgenowskie i grzebałem w innych wynikach badań leżących na biurku. W zasadzie wszystko było jasne — guz wielkości pięści między płucami — trudno to było pomylić z grypą. Trzeba skończyć z tym idiotycznym przewracaniem papierów i coś człowiekowi powiedzieć — no, pocieszyć go jakoś. Uderzyłem energicznie dłonią w blat biurka i powiedziałem:

— Dużo pan pali, stanowczo za dużo, człowieku, trzeba zdrowie oszczędzać, tak naprawdę nie można...

Zachowywał się tak, jakbym to powiedział do kogoś stojącego obok niego, nawet spojrzał w tamtym kierunku. Wróciłem więc do miętoszenia papierów. Gdyby chciał mi pomóc, gdyby zapytał o cokolwiek... może łatwiej byłoby mi ogłosić wyrok, że oto w imieniu najwyższej medycznej niemocy, z przyczyny wyjątkowej złośliwości niektórych komórek twojego organizmu jesteś, Janie Suwalski, skazany na śmierć — jednym słowem, nowotwór i to w fazie nieoperacyjnej. Nie powiem mu przecież tego. A może by tak coś o cudach współczesnej medycyny? Już otwierałem usta, gdy Suwalski wychrypiał:

— Ale przecież mnie nic nie boli — dobrze się czuje... i w ogóle...

Nareszcie zaczął mówić. Wykorzystałem ten moment, uśmiechnąłem się przyjaźnie i zacząłem w raczej pogodnej tonacji:

— No wie pan, wyniki badań nie wyglądają najgorzej, posiedzi pan u nas parę dni, odpocznie, zrobimy jeszcze kilka badań, a potem zobaczymy.

Nie przekonałem go chyba, bo pokiwał smutnie głową i zrezygnowany odparł:

— Ale to onkologia, nie?

— No to co, że onkologia? To tylko słowo, nie potrzebnie nabierające w odczuciu społecznym grozy. To jest, proszę pana, jeden z wielu działów medycyny, zajmujący się konkretnym zjawiskiem... i mamy wiele sukcesów w tej dziedzinie.

Powiedziałem to uczennie, ale z przekonaniem jednocześnie, bo pacjent uspokoił się. Kazałem mu się zgłosić następnego dnia o godzinie ósmej. Bez słowa pożegnania Jan Suwalski, mechanik samochodowy, trzydziestoletni mężczyzna, uklonił się niezgrabnie w progu i wyszedł.

Musiałem zaparzyć sobie mocnej kawy i zapalić papierosa. Szkodliwe to wprawdzie dla zdrowia, ale jest przynajmniej czym zająć ręce. Przyzwyczailem się do widoku cierpienia, nawet śmierci, ale chyba nigdy nie przywyknę do takich rozmów. Za każdym razem jest to samo, kiedy muszę powiedzieć pacjentowi, że w zasadzie jest zdrow jak ryba, ale jednak musi u nas pozostać. Albo kiedy mówię prawdę i muszę obserwować reakcję ludzi, od tej chwili przeświadczonych, że wkrótce umrą. Rozmaicie się wtedy zachowują. Najtrudniej dociera do nich perspektywa wyleczenia; śmierć natomiast staje się czymś

bardzo realnym, wręcz namacalnym. Czy można im się zresztą dziwić?

Następnego dnia zastałem Suwalskiego już na sali chorych. Po dwóch tygodniach badań i obserwacji należało podjąć decyzję. Właściwie chodziło tylko o zgodę Jana Suwalskiego na operację, wynikającą raczej z normalnego porządku rzeczy niż dającą realną szansę wyleczenia. Doszło więc do następnej rozmowy. Powiedziałem wprost, że jeżeli nie wyrazi zgody, to ma przed sobą najwyżej trzy miesiące życia. Dałem mu dwa dni na zastanowienie się, ale przestrzegłem, że zwłoka działa tylko na jego niekorzyść.

Następnego dnia jedna z pielęgniarek przyniosła mi jakiś list.

— To dla mnie? — zapytałem, dając jednocześnie do zrozumienia, że nie wiem, w czym rzecz.

— Dziś w nocy uciekł pacjent, zostawił ten list dla pana.

Intuicyjnie zapytałem, czy ten niepoważny pacjent nie nazywa się Jan Suwalski i trafiłem w dziesiątkę. Uciekł, zachował się jak smarkacz mógł przecież najzwyczajniej w świecie nie zgodzić się na operację, poprosić o wypis i pojechać do domu. Otworzyłem list i przeczytałem: „Czuję się dobrze, nic mnie nie boli, pokroić się nie dam, Jan Suwalski”. Tak więc z czystym sumieniem mógłbym już dziś na koszt szpitala zamówić Janowi Suwalskiemu, mechanikowi samochodowemu, piękny wieńiec z goździków i gałązek jodły...

Tęgi zad ciężarówki rósł przed maską samochodu coraz szybciej i szybciej... Hamowałem, oczywiście że hamowałem,

aż do silnego wstrząsu i brzęku tłuczonych szyb. Kraksa! Bez większych obrażeń wróciłem do miasta autobusem, a mój samochód odholowano do najbliższej stacji obsługi.

Pojechałem tam po miesiącu; o tym, że mój wóz nie jest jeszcze naprawiony — byłem przekonany. Ale chciałem zobaczyć, jak postępuje robota. Stałem z kierownikiem warsztatu na środku brudnego, zagraconego podwórza, paliliśmy papierosy i rozmawiali — oczywiście o motoryzacji. W pewnym momencie — dość niespodziewanie — krzyknął w kierunku otwartego garażu:

— Panie Janku! Chodź no pan tu na chwilę!

Zrozumiałem, że pan Janek jest w jakiś sposób związany z moim rozbitym wozem. Spod jednego z samochodów wyszła ubrana w kombinezon i beretkę, wybrudzona smarami postać. Człowiek podchodził do nas wolno i wycierał ręce w pakuły. Znałem go skądś. Tylko gdzie i kiedy go spotkałem? On najwiśdoczniej pamiętał mnie lepiej, bo uśmiecnał się jakby z zażenowaniem i powiedział:

— Dzień dobry, panie doktorze.

I wtedy przypomniałem sobie, skąd znam tę twarz. Jan, nazwiska nie pamiętam — chyba Suwała czy jakoś tak — mechanik samochodowy, mój pacjent, uciekinier sprzed trzech lat. Patrzyłem zaskoczony, jak zaciąga się papierosem i na usta cisnęło mi się pytanie: Jak to się stało, człowieku, że ty jeszcze żyjesz? Wyglądasz dobrze, pracujesz... A może leczyłeś się gdzie indziej? Gdzie? Wydusiłem z siebie ni to pytanie, ni to stwierdzenie:

— Dużo pan pali w dalszym ciągu.

Nie zdziwiło go to specjalnie, bo natychmiast odpowiedział:

— Ale czuję się dobrze, nic mnie nie boli.

Trzy lata temu wyuczył się tego frazesu i w dalszym ciągu powtarza go jak katarzynka. Koniecznie chciałem z nim porozmawiać — jak lekarz z pacjentem. Gdyby tak jeszcze dał się zbadać? Okazało się, że mój samochód jest już naprawiony. Musiałem ten fakt w jakiś sposób wykorzystać, chodziło mi oczywiście o bezpośredni lekarski kontakt z moim byłym pacjentem. Ująłem go za ramię i powiedziałem, że jeśli nie sprawiłoby mu to kłopotu i mógłby przyprowadzić mi jutro samochód pod szpital, to byłbym mu niezmiernie wdzięczny, a ta wdzięczność miałaby określony finansowy wymiar. Popatrzył wymownie na swego szefa, szef poskrobał się po głowie i powiedział:

— Dobra, panie Janku,, załatwi pan to jutro.

Umówiliśmy się, że gdzieś około godziny 11.00 podjedzie pod szpital, a mnie przyniesie kluczyki. Uregulowałem rachunek i wróciłem do miasta autobusem.

Do szpitala przyszedłem wcześniej niż zazwyczaj i zaraz zacząłem wertować archiwum. Dość szybko znalazłem szarą kopertę z napisem: Jan Suwalski. Przejrzałem wszystko dokładnie. Z papierów wynikało niezbicie, że w dniu wczorajszym spotkałem upiora. Papiery nie dawały Janowi Suwalskiemu żadnych szans na spokojną starość w otoczeniu gromady wnucząt i prawnucząt. A jednak po trzech latach spotkałem go żywego. Nie było w końcu możliwości, bym go mógł spotkać w innym stanie.

Zapukał, wszedł i powiedział:

— Dzień dobry!

Zadzwoił kluczykami od samochodu, a jego twarz niedwuznacznie mówiła: Oto jestem, doktoru, przyprowadziłem samochód, daj mi teraz, co obiecałeś, i wynoszę się. O nie, panie Janie Suwalski, pan tak po prostu nie odejdzie, jest pan zbyt intrygującym przypadkiem, by tylko zainkasować swoją dolę i wyjść. Zaproponowałem mu filiżankę kawy. Z ociążaniem, ale zgodził się. No, to pierwszy krok zrobiony.

— Ostatni raz spotkaliśmy się w tym gabinecie trzy lata temu. Prawda?

Chciałem przez to zagaic rozmowę. Siorbał nerwowo kawę i nic nie mówił. Więc kontynuowałem:

— Tak, to już będzie trzy lata. Co pan porabiał przez ten czas? Leczył się pan gdzieś? Dość niespodziewanie pan nas wtedy opuścił...

A on nic. Pije kawę i patrzy w podłogę. Częstoje go papierosem — pali, ale w dalszym ciągu milczy.

— A wie pan, zupełnie przypadkowo znalazłem kopertę, tak, tę sprzed trzech lat, z rozpoznaniem pana choroby i wynikami badań. Chce pan przeczytać?

Nie wyraził większego zainteresowania, ale postawił filiżankę na tacy i powiedział:

— Przecież pan wie, panie doktorze, że trafiłem do pana zupełnie przypadkowo. Zawsze byłem zdrowy jak byk. Ale były u nas te... no, badania okresowe, mierzenie, ważenie, prześwietlenie, wie pan. I potem lekarz zakładowy kazał mi się zgłosić tutaj. Nic mnie nie bolało, czułem się dobrze, a pan mi nagle

proponuje operację!!! Zaraz, zaraz, tak ni z tego, ni z owego operacja? Ja wiem, pan mi to wszystko wtedy tłumaczył, co mnie czeka, gdy się nie zgodzę. Ale postanowiłem sobie, że się nie dam pokroić. No to zakręciłem się koło swoich ciuchów, dałem w łapę portierowi i prysnąłem do domu. No i co? Normalnie pracuję, mam rodzinę i na zdrowie nie narzekam. A jakbym się dał zoperować, to już by było po mnie.

Machnął lekceważąco ręką. i znów zaczął posiorbywać kawę. Z jego słów wynikało, że nigdzie się w tym czasie nie leczył. Wszystko zaczęło nabierać posmaku niesamowitości. Wziąłem jedną kartkę papieru z szarej koperty i poprosiłem, aby głośno przeczytał.

— Stan nieoperacyjny — wysylabizował, nie w pełni rozumiejąc w czym rzecz. Postanowiłem wejść ostro:

— To oznacza, drogi panie Janku, że trzy lata temu nie miał pan prawie żadnych szans na wyleczenie. Miał pan guza wielkości pięści między płucami. Jeżeli wtedy proponowałem panu operację, to tylko dlatego, że krył się w tym jakiś minimalny cień szansy. Ale operacji nie było, nie leczył się pan nigdzie... a teraz zdrowy, przynajmniej na oko, siedzi pan przede mną. Jak to się stało, że pan żyje, panie Janku?

Zrobiło to na nim duże wrażenie. Może nawet większe niż trzy lata temu, kiedy proponowałem mu operację. Nagle przypomniał sobie coś bardzo ważnego, bo uśmiechnął się z pewną wyższością i powiedział:

— Ale żyję! Nie?

Nic dodać, nic ująć. Postanowiłem więc wyjaśnić mu wszystko do końca:

— Powiem panu wprost, o co chodzi. Powiedzmy, raz na sto tysięcy beznadziejnych nowotworowych przypadków zdarza się cud. Nowotwór cofa się i chory wraca do zdrowia. I pan jest właśnie takim fenomenem, u pana zdarzył się właśnie taki cud. Dlatego mam do pana ogromną prośbę, której nie może pan odmówić. Nie chodzi tym razem o cuda, chciałbym po prostu, żeby zgodził się pan na powtórzenie niektórych badań.

Początkowo nie chciał o niczym słyszeć. Wymawiał się brakiem czasu, nawałem pracy, w ogóle nie chciał już do tego tematu wracać. Obiecywałem wszystko, co mogłem: pieniądze, zwolnienie lekarskie, europejska, a może nawet światową sławę; odwoływałem się do elementarnych wartości ludzkich — do konieczności poświęcenia się w pewnych wypadkach dla dobrej sprawy. Był głuchy jak pień na wszelkie moje argumenty. Po prostu bał się. Bał się kontaktu ze mną i ze szpitalem. No cóż — trzeba będzie zastosować metodę małych kroków.

— Ale na zrobienie zdjęcia rentgenowskiego może się pan zgodzić?

Nie czekałem na odpowiedź. Złapałem go za rękę, powiedziałem: chodźmy, i szybko zbiegliśmy po schodach do pracowni radiologicznej.

Historia lubi się powtarzać — po wykonaniu zdjęcia wszedł do przebieralni i drugimi drzwiami ulotnił się jak kamfora. Cholerny mechanik, nawet mu nie zapłaciłem za przyprowadzenie samochodu.

Po trzech godzinach przyszedł do mnie Krzysztof — kolega, który robił rentgen Suwalskiemu, położył jeszcze mokre zdjęcia na biurku, powiedział krótko i dobitnie: „moriturus”, i



wyszedł.

Założyłem zdjęcie na podświetlacz. Obraz, który zobaczyłem, był zupełnie nieoczekiwany. Wstrzymałem oddech i obejrzałem stare zdjęcie sprzed trzech lat, a potem znów to dzisiejsze. I w jednym, i w drugim wypadku miałem przed sobą identyczny obraz: guz wielkości pięści uśmiechał się złośliwie między płucami — jakby pozował do zdjęcia! A Jan Suwalski żyje! Dobrze i szybko naprawia teraz jakiś samochód. Potem pójdzie do domu, obejrzy telewizję i spać! A może raczej po pracy idzie na cmentarz, odsuwa płytę grobowca, otwiera wieko trumny i udaje się na spoczynek?

Po pracy wsiałem w swój naprawiony samochód. W zasadzie miałem jechać do domu na obiad, ale tak jakoś wykręciła mi się kierownica, że pojechałem do znanego mi już warsztatu samochodowego za miastem. Zostawiłem samochód na podwórku i wszedłem do kantorku kierownika. Weszło tu było. Kierownik, Suwalski i jeszcze dwóch mechaników — wypili już dwie półlitrowki i napoczęli trzecią.

— Co jest, panie doktorze? — zawołał do mnie wesoło kierownik warsztatu. — Samochód źle zrobiony? A nie napiłby się pan z nami? Proszę bardzo.

Normalnie bym powiedział, że nie piję, bo takie mam zasady i jestem samochodem. Ale przyszła mi ochota, żeby właśnie się napić. Może Suwalskiemu rozwiąże się język. I będę mógł go nakłonić... Do czego? Tego jeszcze nie wiedziałem.

Rozmowa oczywiście potoczyła się na tematy motoryzacyjne,

jak to między samochodziarzami i przy kieliszku. W pewnym momencie Suwalski zapytał:

— A jak tam to moje zdjęcie, panie doktorze?

Chcesz wiedzieć? No to wiedz, że nic się nie zmieniło i tak też mu odpowiedziałem. Popatrzył na mnie badawczo, ale o nic więcej nie pytał. Nieźle już nam szumiało w głowach, gdy jeden z mechaników klepnął mnie potężnie w plecy i powiedział:

— Janek mówił nam wszystko, ale niepotrzebnie pan sobie głowę łamie. Z tym zdjęciem to bzdura, maszyna musiała się zaciąć... On ma żelazne zdrowie, wszystkich nas przeżyje, wszystkich... Wierzy mi pan czy nie? Co, Janek? Prawdę mówię czy nie?

Suwalski uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo do kolegi. Ten musiał zrozumieć, co oznacza to mrugnięcie, bo zaraz zaproponował:

— Nasz Janek to artysta, panie doktorze, on takie sztuki potrafi pokazywać, że aż się włos jeży na głowie. Janek, pokażesz coś panu doktorowi? Może ten numer z rurą?

Pijani wysypaliśmy się z kantorku na podwórko, a stamtąd do garażu. W panującym półmroku mogłem obserwować, jak Jan Suwalski nakłada na siebie foliowy worek, do którego jeden z mechaników dołączył gumowego węża. Drugi koniec przewodu zamocował na rurze wydechowej samochodu. Worek uszczelniono, mocno zawiązując wokół kolan Suwalskiego kawałek sznurka. Wśród głośnych śmiechów ktoś włączył silnik samochodu i do worka zaczęły wciskać się spaliny. Worek napęczał. W paru miejscach musiał być dziurawy, bo na zewnątrz zaczął się przesączać niebieski dym. Silnik pracował

równomiernie. Ruszyłem gwałtownie do przodu, by przerwać to makabryczne widowisko, ale zatrzymały mnie czyjeś silne ręce. Ktoś powiedział:

— Spokojnie, panie doktorze, nic mu nie będzie, to jest właśnie cały nasz Janek.

Znieruchomiałem. Tymczasem zabawa za sprawą Suwalskiego stawała się coraz radośniejsza. A to podskakiwał jak mała, a to zbliżał twarz do powierzchni worka i robił głupie miny. Worek wyglądał jak wielki, półprzezroczysty, niebieskawy kokon, w którym porusza się poczwarka. Suwalski nie zemdlął, nie upadł, nie umarł, skakał, robił głupie miny i zaprzeczał wszelkim normom ludzkiej wytrzymałości. Ile to trwało? Kwadrans? Pół godziny? Stałem z miną wiejskiego głupka i patrzyłem na coś, co powinno być niemożliwe. A jednak!

Suwalski wyszedł z nylonowego wora i zaczął ocierać chusteczką czarną, okopconą spalinami twarz. Oczy miał zaczerwienione, ale to być może od alkoholu. Zrobiło mi się niedobrze, wyraźnie poczułem w ustach smak benzyny, w głowie szumiało mi jak w ulu. Zakręciłem się w miejscu i wybiegłem na podwórko w wiadomym celu. Moi kompani od kieliszka wykazali pełne zrozumienie dla mojej niedyspozycji. Ktoś podtrzymywał mnie za ramiona, ktoś inny za każdym odruchem wymiotnym pochylał mi głowę ku ziemi, świeże powietrze postawiło mnie na nogi. Wróciliśmy do kantorku kierownika. Pozostała do wypicia jeszcze jedna butelka. Za każdym razem kiedy spojrzałem na Suwalskiego, powracał ból głowy i odruch wymiotny. Po co ja tu właściwie przyjechałem? Dlaczego jeszcze siedzę wśród tych ludzi? Na co liczę? Czego oczekuję? A nie

śniło mi się przypadkiem to wszystko? Może pod wpływem wódki miałem halucynacje? Wódka — no tak — wypiliśmy jej sporo. W pijanym widzie jedyne, co jeszcze pamiętam, to klęczącego przede mną, również pijanego Suwalskiego, który płacze i zaklina się, że dla dobra ludzkości pozwoli pokrajać się na śledziowe dzwonka. Ależ musiałem mu nagadać. Pamiętam jeszcze, że ucałowałem go serdecznie w obydwie policzki i w imieniu znękaney ludzkości podziękowałem za bezprzykładne poświęcenie. Wszyscy byliśmy ogromnie wzruszeni. Raptem znalazłem się w jakimś samochodzie, który później okazał się taksówka. Koło trzeciej w nocy przekręcałem niemrawo klucz w drzwiach swojego mieszkania.

Przebudzenie było straszne. Dobrze, że to niedziela i nie trzeba iść do pracy. Jako lekarz byłem bezradny, tego bólu głowy nie można się ot tak, od ręki pozbyć. Oprócz normalnych w takich razach dolegliwości coś jeszcze zaczęło mi kołatać w głowie. Nie związane ze sobą strzępki obrazów. Zapach benzyny... Jakiś facet skaczący w worku... I ja na to spokojnie patrzyłem? Nie zrobiłem nic? Jakże to? Przecież jestem lekarzem, mam obowiązek ratować ludzkie życie... Jeżeli to wszystko, co teraz sobie przypominam, nie było wywołane zamroczeniem alkoholowym, to tym facetem mógł być tylko Jan Suwalski — mechanik samochodowy. Byłem świadomy, że wszystko, co się wydarzyło w dniu wczorajszym, co się działo od lat trzech i było związane z Suwalskim, wymaga wyjątkowej jasności umysłu, dlatego, biorąc pod uwagę mój obecny stan

ducha i ciała, postanowiłem z konstruowaniem wniosków wstrzymać się do godzin popołudniowych. Jednocześnie miałem wrażenie, że to, do czego dojdę w swoich dywagacjach po południu, będzie czymś bardzo ważnym z jakiegoś tam punktu widzenia, nieznanym jeszcze, ale bliskim odgadnięcia.

Wstałem. Na miękkich nogach zacząłem kręcić się po mieszkaniu i gdziekolwiek natknąłem się na lustro, tam wywalałem jęzor na całą, długość. Czemu tak robiłem? Chyba pod wpływem filmów, w których zawsze skacowali faceci wywalają jęzory do lustra. Każdą myśl na temat przypadku Suwalskiego odganiałem jak natrętną muchę. Nie pora jeszcze na to. Szykowałem właśnie coś do picia, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. W szlafroku i z niechęcią poczłapałem do przedpokoju. Otworzyłem drzwi. Nie było to kolejne przywidzenie; w progu stał uśmiechnięty Jan Suwalski. Powiedział: „cześć!” odsunął mnie na bok i bezceremonialnie wpakował się do mieszkania. Zrozumiałem, że jesteśmy na ty. Obejrzał mieszkanie, stwierdził, że nieźle się urządziłem. Dał mi kluczyki od samochodu. No dobrze... Nie będę musiał sam się tym kłopotać. Ale to nie był zasadniczy cel jego wizyty.

— No, a co będzie z tym profesorem? — zapytał nagle. — Nie umówiliśmy się wczoraj. Namówiłeś mnie przecież, że pójdziemy do jakiegoś profesora. Nie?

A więc to wszystko prawda. To, co wczoraj widziałem, zdarzyło mi się. Tak, tak — udawałem, że doskonale sobie przypominam naszą wczorajszą rozmowę. Tak, tak oczywiście — dla dobra ludzkości. Nie miałem ochoty telefonować teraz do

Nabielskiego i umawiać się z nim na jutro.

Powiedziałem więc Jankowi, że spotkamy się jutro o dwunastej w klinice — wiedział, gdzie to jest. Zabiorę ze sobą wyniki badań sprzed trzech lat i to ostatnie zdjęcie, a potem przedstawię profesorowi mojego nowego przyjaciela — Janka Suwalskiego. Ale będzie miał głupia minę, gdy zapozna się z całością sprawy. Od strony głupich min jeszcze go nie znałem. Będzie to więc ciekawe doświadczenie. Zaskoczę go, będę miał własną koncepcję na ten temat. To znaczy, mam nadzieję, że będę miał. W każdym razie postaram się coś wymyślić. Tymczasem Suwalski zbierał się do wyjścia. Powiedział krótko:

— No to cześć, do jutra.

W drzwiach dodał, że już od dłuższego czasu podejrzewał siebie... no, że nie jest całkiem normalny, ale było mu z tym wygodnie, bo mógł poszpanować przed kumplami. Poszedł.

Należało rozgryźć ten problem. Nabielski na pewno zapyta: A co pan o tym sądzi? A co ja właściwie o tym sądzę? Fakty są takie: facet z nowotworem jak stodoła chodzi po świecie od kilku lat, nic go nie boli i czuje się dobrze. Potrafi wchłonąć w siebie zabójczą dawkę spalin i dalej nic mu nie jest, czuje się dobrze. Może potrafi też i inne rzeczy? Mam wrażenie, że tak. No więc co? A może to, co w nim siedzi, wcale nie jest nowotworem? Ale badania cytologiczne potwierdziły, że to nowotwór. A jeżeli wbrew wynikom badań to nie jest nowotwór? No to czym jest, do cholery? Zadałem sobie sporą dawkę pytań — odpowiedzi nie udzieliłem żadnej.

Tak... Coś mi zaświtało w głowie, coś nieprawdopodobnego na pierwszy rzut oka, ale w końcu cała moja przygoda z Jankiem Suwalskim jest nieprawdopodobna. Gdyby tak założyć, że to, co ma w sobie Suwalski, rozszerza katalog organów człowieka o kolejny numer... Ten jego niby nowotwór jest organem, który neutralizuje działanie trucizn — przynajmniej tych, które występują w spalinach samochodowych! A skoro inni ludzie takich organów nie posiadają, to co? To Suwalski jest mutantem!!! Science-fiction, jak Boga kocham! Nabielski albo mnie odeśle do czubków, albo sam zwariuje. Wspaniała by to była sprawa. Generacja ludzi niewrażliwych na skażenie środowiska! I Janek Suwalski byłby pierwszym z tych ludzi! Bo chyba o to naturze chodziło, kiedy umieszczala w jego organizmie to coś. Niesamowita historia!!!

Zmoczyłem ręcznik zimną wodą. i obwiązałem nim głowę. Jasność umysłu przede wszystkim. Jedyny szkopał to te wyniki badań cytologicznych. Nie pasują do mojej teorii — wręcz ją obalają. A gdyby tak wszystko przepuścić przez pryzmat teorii ewolucji? Tak, to mogłoby dać ciekawe wyniki. No bo tak: człowiek w miarę cywilizacyjnego rozwoju przetwarza swoje naturalne środowisko dla własnych potrzeb — i to coraz intensywniej, ale na pewnym etapie to przetwarzanie środowiska obraca się przeciw niemu, staje się agresywne. Do tego dochodzą i naturalne niekorzystne wpływy. Organizm ludzki stara się samoistnie zwalczać te negatywne zjawiska, ale w pewnym momencie staje się bezbronny. Natura stara się zrobić coś z tym fantem. Ale to wymaga czasu, więc natura próbuje różnych

sztuczek, eksperymentuje, może tak, może inaczej — jak by tu tego człowieka przystosować — i na pewnym etapie pojawiają się paskudne choróbska. Ile to już trwa? Trzy tysiące lat? Ludzie traktuje te próby natury jako dopust boży i straszliwa plaga. Owszem, tak jest, ale tylko na pewnym etapie — etapie poszukiwań najlepszego sposobu przystosowania. Aż pewnego dnia w fiołce z napisem „Jan Suwalski” wyrasta coś, co było od dawna oczekiwane. Tak, udało się! Eksperyment nr 1001” dał wreszcie pozytywny wynik. Ten jest przystosowany. Tak trzymać! Janie Suwalski, mechaniku samochodowy, trzydziesto-trzyletni mężczyzno — nic cię nie boli, czujesz się dobrze, jesteś pierwszym, który się przystosował!

Postanowiłem więcej o tym nie myśleć. Jutro będę miał czas u Nabielskiego, żeby się wygadać. Nie sprawdzone to jeszcze, może nieporadne, ale jest jakiś punkt zaczepienia. Od czegoś przecież trzeba wyjść.

Pod gabinetem profesora warowałem już od 11.30. Czegoś się bałem, jak gdyby coś miało mi uciec. Taki nieuzasadniony wewnętrzny niepokój. Czy rzeczywiście nieuzasadniony? Nabielski to zrównoważony i rozsądny człowiek, będzie musiał spokojnie wysłuchać moich rewelacji. Właśnie ten jego rozsadek mnie niepokoił. Już dwa razy pytałem sekretarkę, czy aby na pewno profesor dziś będzie. Korciło mnie, by znów wejść i zapytać o to samo. 11.45 — dlaczego jeszcze nie ma Janka? Jeszcze kwadrans, trzeba cierpliwie czekać. Godzina 11.55, za pięć minut wybuchnie sensacja na światową skalę. Pomyślałem



o swoich pacjentach. Jaką oni odniosą korzyść z mojego odkrycia? Czy pozwoli im ono z większym poczuciem ludzkiej godności znieść cierpienia i beznadziejne oczekiwanie na śmierć? Przecież oni nie są jeszcze przystosowani, ja też nie, tylko on... Serce podskoczyło mi do gardła, kiedy przez okno zobaczyłem krocącego przez plac Janka Suwalskiego — punktualny skubaniec. Stał na krawężniku, spojrzął na przejeżdżający ładny, sportowy samochód. Zrobił kilka kroków i wtedy zza zakrętu wyłoniła się rozpedzona ciężarówka.

Chciałem krzyknąć, chciałem go ostrzec, przywarłem twarzą do szyby i jak na zwołanym filmie mogłem dokładnie obejrzeć moment zderzenia dwóch tak nierównych mas. Janek gdzieś znikł na chwałę, ciężarówka bez zatrzymywania się pojechała dalej. Na ulicy pozostał jak kupka brudnego śniegu strzępek ludzkiego ciała — już bez tajemnic i zawłości. Nie! To nie może się tak zakończyć!!! Biegłem jak zwariowany po schodach potykając się o innych ludzi, gonił mnie ich szepot: wypadek, wypadek, człowiek zabity. Co wy możecie o tym wiedzieć? Kiedy wybiegłem na ulicę, Janka na noszach przykrytych kocem niesiono do kliniki. Zebrał się tłumek ludzi. Chwyliłem za ramię jednego z lekarzy i wykrztusiłem z siebie tylko: Żyje?! Lekarz spojrzął na mnie zdziwiony i powiedział:

— Miazga.

...Wszystko skończone. Na miękkich nogach odszedłem kilka kroków na bok i oparłem się o słup ogłoszeniowy. Nie mogłem złapać oddechu. Niespodziewanie usłyszałem ciepły, znajomy głos:

— Co tu się stało, panie kolego? Czemu pan taki blady?

Stał przede mną profesor Nabielski — jak zwykle spokojny i zrównoważony. Cóż mogłem mu odpowiedzieć?

— Zdarzył się wypadek, panie profesorze. Zginął człowiek.

Powiedziałem to niezwykle spokojnie. Musiał go zdziwić mój wygląd i zachowanie, bo odparł:

— I widok krwi zrobił na panu takie wrażenie? Panie kolego...

W całym zdarzeniu musiał dostrzec coś zabawnego, bo uśmiechnął się lekko. I już statecznym, spokojnym krokiem wchodził na schody swojej kliniki. Do pracy, panie profesorze, do pracy, czekają na pana chorzy.

Wróciłem do swoich zajęć. Przez otwarte drzwi sali szpitalnej spoglądały na mnie twarze pacjentów. Co mogę wam, ludzie, powiedzieć? że miałem w ręku kawałek prawdy, ale zgubiłem ją po drodze?

Zadzwonił telefon. „Kłaniał się pięknie” profesor Nabielski. Nie omieszkał mnie poinformować, że „w zasadzie” dla tego człowieka, który zginął w południe przed klinikę, to była dobra śmierć, że „w zasadzie” był już żywym trupem, że oto ma przed sobą jego kliszę, z której niezbitnie wynika, że miał przed sobą najwyżej trzy miesiące życia,...

## Spis treści

Klinika psychiatryczna		5
Spotkanie	27	
Goście	36	
O, czasy...		53
Muzeum	62	
Wentyl bezpieczeństwa		75
Alergen	99	
Dzieci grobów		136
Konserwa		491
Pierwszy	274	